

OSTRO · BRUTALNIE · NIEPRZEWIDYWALNIE

SZAGDAJ

NADIA

TO NIE JEST AMERYKAŃSKI

FILM



SZAGDAJ NADIA

TO NIE JEST AMERYKAŃSKI

FILM



Redakcja: Jacek Fronczak

Korekta: Katarzyna Barcik

Opracowanie graficzne: Jarosław Hess

Projekt okładki: Maciej Piedo

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Pietrzak

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: mBOOKS. marcin siwiec

Zdjęcia na okładce:

shutterstock.com © Bruno Passigatti (front)

© Old City Productions (zdjęcie autorki)

Wydanie I

© Copyright by Nadia Szagdaj

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.

Bielsko-Biała 2019



Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.

ul. Barlickiego 7

43-300 Bielsko-Biała

www.wydawnictwo-dragon.pl

ISBN 978-83-8172-059-5

Wyłączny dystrybutor:

TROY-DYSTRYBUCJA sp. z o.o.

ul. Mazowiecka 11/49

00-052 Warszawa

tel./faks 22 725 2519

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

Prolog

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

Epilog

Mojej siostrze Hance

*Lecz jeśli zechcesz uprawiać łyżwiarstwo
Na cienkim lodzie nowoczesnego życia,
Włokąc za sobą nieme zarzuty,
Płynące z miliona oczu wypełnionych łzami,
Nie zdziw się, kiedy pęknięcie
Pojawi się tuż pod twoimi stopami*

Roger Waters

Prolog

Od siedzenia boli mnie kręgosłup. W ciągu ostatniej godziny spacerowałam kilka razy w tę i z powrotem. Ale ile można spacerować po pokoju dwa na dwa? Od światła jarzeniowego dwoi mi się w oczach. Łapie mnie kolejny atak duszności i mam wrażenie, że za chwilę dopadnie epilepsja. Jeszcze ten odgłos. Jedna z żarówek siada. Nie dość, że bzyczy, to jeszcze ten telefon, który dzwoni jak oszalały. Słyszę go od trzech godzin. Uporczywy, przenikliwy, odbierający zmysły. I nikt się nie zjawia. Przy kolejnym ataku duszności kładę się na podłodze. Szara wykładzina, która pamięta lata osiemdziesiąte, śmierdzi. Robi mi się niedobrze. Poza tym ciągnie od ziemi, a ja mam na sobie tylko piżamę i marynarkę brata, którą dostałam, zanim wsadzili mnie do radiowozu.

– Nic się nie martw. Zaraz się tym zajmę – powiedział i zamknęły się za nim drzwi szpitalnego pokoju. On został tam, a mnie wystawiono szybką diagnozę: „zdrowa”, po czym zabrano tutaj. Przynajmniej jego stan wyraźnie się polepszył. To dobrze, bo ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzyła, to żeby coś mu się stało.

Znów okrutny telefon. Zatykam uszy. Tego po prostu nie da się znieść. Nie wiem, czy robią to celowo, czy nie... Jeśli mają zamiar doprowadzić mnie do obłądu, to są na dobrej drodze. Muszę to stwierdzić, jako psycholog i psychoterapeutka. Teraz powiem wszystko, choć przez jakiś czas nie miałam zamiaru w ogóle z nimi rozmawiać. Najważniejsze, że mój prawnik już jedzie, ale ja przecież nie mam nic do ukrycia. Oczywiście jeśli zechcą, przytrzymają mnie tu dłużej. Dobrze, zgodzę się na to, jeśli zamienią mi ten pokój na celę z łóżkiem i czymś do przykrycia się, co nie śmierdzi jak wykładzina. Pewnie i tak nie zasnę po tym, co się stało, chyba że dadzą mi coś na uspokojenie.

Klamka drzwi szczęka głośno. Nowy dźwięk sprawia, że podskakuję. Do pokoju wchodzi policjantka. Znam ją. To aspirantka Sikora.

– Pani Olu – zaczyna. – Proszę usiąść.

Wyraża się oficjalnie, jak zawsze, ale z dużą dozą współczucia. Siadam, tak jak każe.

– Czy podzieli się pani ze mną wspomnieniami z ostatnich kilku godzin? Może tygodni? – pyta.

– Co z nim? – odpowiadam pytaniem.

– Proszę się teraz przejmować sobą, nikim innym – zbywa mnie.

– Znaleźliście go? Żyje?

Patrzy na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Szukamy.

– Jak szukacie? Chodzicie po lesie? Zaglądacie pod kamienie? Tak szukacie, jak tych, którzy...

– Szukamy z powietrza – wchodzi mi w słowo.

Zapada cisza. Zakrywam twarz dłońmi, żeby nie widziała moich łez.

– Szukacie zwłok?

Sikora nie odpowiada. Po chwili podejmuje kolejną próbę.

– Jeśli go znajdziemy, on także będzie musiał odpowiedzieć na parę pytań, bo przekroczył swoje uprawnienia. Chyba pani o tym wie, prawda? Chciał dobrze, rozumiem to. Ma więc pani okazję zacząć za niego i ułatwić nam wszystkim zrozumienie całej sytuacji. Proszę...

– Zgoda – odpowiadam krótko. – Powiem, jak było, tylko wyłączcie ten cholerny telefon.

I

Mama jest w kuchni – powiedział ojciec. Siedział na brzegu mojego łóżka od jakiegoś czasu. – Oliwia – szeptał, to znów milkł na chwilę. Gdy po kilku minutach zdecydowałam się otworzyć oczy, okazało się, że matka wyszła z pokoju.

– Dobrze, dziękuję – odparłam i znów przymknęłam oczy. Byłam naprawdę zmęczona ostatnimi dziesięcioma dniami.

– Widzę, że się naprawdę przejęłaś – stwierdził obruszony moim brakiem zainteresowania.

– Jestem zmęczona.

– Ola...

– Wolę Oliwia, jeśli pozwolisz – wtrąciłam. – Sam nadałeś mi takie imię i chciałabym być tak nazywana – skwitowałam jego zachnięcie.

– Rozumiem, że nie masz ochoty na rozmowę – zaczął spokojnie, ale widziałam, że w środku już się gotuje. – Postaraj się jednak dzisiaj być dobrą córką. Nie dla mnie. Dla niej, dobrze?

– A więc zwykle jestem złą córką? – Otworzyłam szerzej oczy. – To dlatego, że w wieku ponad trzydziestu lat znów z wami mieszkam? A mój brat, który nawet nie próbował się wyprowadzić? On także jest złym synem czy może to się tyczy jedynie niedoszłych panien młodych? – Od razu się rozbudziłam.

– Nie chcę się kłócić. I nie przeszkadza mi, że wróciłaś do domu. Mnie noga powinęła się nie raz, nie dwa. Wiem, że jest ci ciężko. Ale cię wspieram. A swoje poświęcenie ty i twój brat udowodniliście w ciągu ostatnich dni. Podziwiam wasze zaangażowanie w... Bo ja byłem na skraju wytrzymałości... – Umilkł na dłuższą, niezręczną chwilę. – Wiesz, jak jest na co dzień – skwitował. – Matka ma trudny charakter, ale to, przez

co przeszła... – Łzy napłynęły mu do oczu. – Po prostu się postaraj.

Westchnęłam.

– Postaram się być przykładną córką – burknęłam.

Matka nie była łatwym partnerem do życia. Może dlatego ojciec chętniej spędzał czas ze znajomymi? I to wcale nie w realu, a wirtualnie, każdego wolnego dnia przekopywał Facebooka i komentował zdjęcia, angażował się w politykę, która wcale go nie interesowała, czy klepał w klawiaturę na czacie. Wydawałoby się, że taki ktoś odbiera emocje w postaci zer i jedynek. Może była to jedynie bariera ochronna przed zetknięciem z rzeczywistością? Tonem głosu, zapachami, mową ciała? Ale to, co spotkało matkę, naprawdę go rozbiło. A mnie bardziej poruszył widok łez w jego oczach niż to, co się stało.

– Mama przeszła przez piekło, Oliwka. Pamiętajcie o tym, gdy znów...

– Zajdzie nam za skórę? – wtrąciłam.

To była specjalność mamy. Mamy, od zawsze układającej nam życie według własnych upodobań. Mamy, która nie uznawała odmowy i obrażała się z byle powodu. Mamy nierzadko przykrej i potwornie zaborczej. A teraz do tego wszystkiego mamy, która po dziesięciu dniach poszukiwań, gdy stawaliśmy na głowie, żeby ją znaleźć, powiedziała, że w ogóle się nie staraliśmy...

– Miej litość – powiedział przez zaciśnięte zęby i powoli wstał. Widziałam, że zaciska również pięści, by dać ujście złości. Poczekaliśmy, aż wyjdzie.

Wypełzałam spod kołdry. Ponieważ dzieliłam łazienkę z bratem, uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka. Te po drugiej stronie, prowadzące z pomieszczenia do pokoju Witka, były zamknięte. Wystarczyło tylko wejść do łazienki i zamknąć je na zamek od drugiej strony. Cicho przedreptałam w ich stronę i szybko zablokowałam.

– Ej! – usłyszałam po drugiej stronie.

– Wybacz – odparłam zadowolona z siebie i odkręciłam prysznic.

– Dlaczego... – jęknął. – Muszę skorzystać z toalety!

– Mało masz ich w domu? Ojciec nieraz proponował ci, żebyś zrobił sobie tu własne mieszkanie. – Nałożyłam pastę na szczoteczkę do zębów. – Miałybyś dwa pokoje i własną łazienkę.

– Gdzie byś wtedy wróciła te kilka miesięcy temu, co? – zapytał, trafiając w czuły punkt.

– Idź gdzie indziej. – Zignorowałam go i zabrałam się za mycie zębów.

To było niesprawiedliwe. „Te kilka miesięcy temu” zerwałam zaręczyny, więc co niby miałam zrobić? Nie chciałam mieszkać sama, w miejscu, które kojarzyło mi się wyłącznie z nim.

– Rozgryzłem to. – Witek nie poprzestał na jednym ciosie. – Chcesz po prostu, żebym zszedł na dół i odwalił za ciebie czarną robotę z matką? – powiedział już nieco ciszej.

– I tak ciebie kocha bardziej – odparłam, plując pastą na lustro.

– Dobra, załatwię to. Trudne rozmowy to moja specjalność.

– Moja też – zauważyłam prawie bezgłośnie.

Nie usłyszał mnie. Po chwili trzasnął drzwiami. Miał ponad trzydzieści lat, ale czasem wyłaził z niego podręcznikowy młodszy brat. Poza domem był dostojny i szarmancki, bardzo opanowany i poważny. Jako prokurator był profesjonalistą, okazującym emocje jedynie w domu. I zapewne właśnie o to wszystko się rozbijało. Nie miał nawet psa, do którego mógłby mówić, gdyby zechciał zamieszkać poza domem rodzinnym. Tutaj miał nas wszystkich. A niektóre z jego rozmów z matką jako psycholog odbierałam jako rodzaj wyżycia się za trudy zawodowe. Czasem pokłócił się z nią, pokrzyczał i trzasnął drzwiami, ale przynajmniej uchodziło z niego ciśnienie. Został tu dla pewnego rodzaju psychicznego komfortu, nie wspominając o gosposi, regularnym wyżywieniu i wygodzie życia w pięknej dzielnicy miasta, i dlatego był w stanie znieść wszystkie trudy wynikające ze szczególnych relacji, panujących w naszym wesołym domku. Bo bywało tu bardzo ciekawie...

Po prysznicu ubrałam się i zeszłam na dół. Było chłodno, choć na dworze świeciło słońce i wielkimi krokami nadchodziło lato. Tegoroczny czerwiec nie rozpieszczał temperaturami. Synoptycy chórem głosili, że zimno i wietrznie ma być do połowy lipca. Było to trochę smutne w kontekście upalnej majówki, którą spędziłam nad morzem. Pierwszy raz od nie pamiętam kiedy sama jak palec. Na początku roku mój długoletni związek chylił się ku upadkowi. Dzięki temu, że on nigdy nie reflektował na jego sformalizowanie, nie było trudno od niego odejść. Przynajmniej nie formalnie. Bo poza spakowaniem toreb i przeprowadzką do rodziców (czego chyba najbardziej starałam się uniknąć, nie licząc faktu, że musiałam mu zostawić ukochanego kota), było jeszcze to straszne uczucie pustki. Szczególnie po kocie... ale po nim samym też, nie oszukujmy się. Zniknęły codzienne rytuały, do których zdążyłam już przywyknąć, czy je lubiłam, czy nie. Poranna kawa i śniadanie w małej, stylowej jadalni, z widokiem na kilka wieżowców w nowej części miasta. Popołudniowa książka czytana na głos czy wieczorny spacer promenadą nad rzeką. Ale też sprzątanie bałaganu, wiecznie niedomyte naczynia i włosy z brody w niewypłukanej umywalce. Ubrania pozostawione w nieładzie i nie dlatego, że szybko je z siebie zrywaliśmy przed szalonym seksem, tylko dlatego, że byliśmy padnięci po pracy i codziennie obiecywaliśmy sobie, że sprzątniemy później. Dopiero gdy przybierały kształt wysypiska śmieci, któreś z nas z ciężkim dąsem decydowało się na ich poukładanie. Przeważnie ja. Potem już było tylko gorzej. Moja klinika zaczęła mieć kłopoty finansowe, pogrążając nasz domowy budżet. Stanęliśmy przed nowym problemem, który ostatecznie, jak wiele par, podzielił i nas. To był koniec.

Przyszło mi odkryć dobre strony fatalnego pożycia. Od tych wiecznych przepychanek i cichych dni, przedzielanych awanturami o pieniądze, bardzo schudłam. Nawet poprawiłam wynik, już po rozstaniu. Robiłam wszystko, by nie popaść w depresję, tym bardziej, że to u nas rodzinne, więc dużo płakałam, a to zdawało się oczyszczające. Jakoś się pozbierałam, a ciepła

majówka wynagrodziła mi długie lata związku, który dziś postrzegam jako toksyczny. Robiłam tylko to, na co miałam ochotę, bez pytania, proszenia się o nic, wysłuchiwania jego narzekań.

Na majówce odkryłam, że nie jestem już atrakcyjna. Że nie mogę mieć już, kogo zechcę, nie mogę uwodzić, tylko się uśmiechając. Że samotna „trzydziestka plus” przy barze nie jest atrakcją samą w sobie, jak na amerykańskich filmach. Ale dobrze mi było ze sobą samą i moimi przemyśleniami, szczególnie gdy przestałam się spinać. Odpoczęłam od popadającej w kłopoty firmy, od moich pracowników, od tego całego romansowania też. Kto by przypuszczał, że chwilę... niemalże chwilę po moim powrocie stanie się coś, co znów postawi mnie w nowej, trudnej sytuacji.

Matka stała w kuchni. Jak zawsze dłoń, w której trzymała cienkiego papierosa, spoczywała na blacie wyspy, na który obsypywał się popiół. Dym tańczył w porannym świetle słońca, lgnąc do jej perfekcyjnie ułożonych włosów. Jakby chciał powiedzieć, że za nią tęsknił. Z czułością oplatał jej ramiona, opatulał woalem mgiełki, przez którą zawsze patrzyliśmy na nią o poranku. Ale ostatnie dziesięć poranków naszej matki osnuwała tajemnica. A my za wszelką cenę musieliśmy się dowiedzieć, co się wydarzyło.

Zawahałam się chwilę, podeszłam do niej.

– Jak się czujesz? – zapytałam najdelikatniej, jak umiałam. Chciałam położyć dłoń na jej ramieniu, ale zrezygnowałam.

Matka jedynie westchnęła i nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Jesteś gotowa porozmawiać z policją? – zapytał Witek, który parzył kawę w rogu przestronnej kuchni i najwyraźniej postanowił nie bawić się w czułości.

Odwróciłam się w jego stronę i skarciłam spojrzeniem.

– No co? – zapytał bezgłośnie i rozłożył ręce.

– Dziś na pewno nas odwiedzą. Komisarza Mroza poznałaś wczoraj –

dodałam.

– Z nikim nie będę rozmawiać – wyśpiewała matka i zaciągnęła się dymem z papierosa, gubiąc po drodze belkę popiołu.

Witek zawiesił rękę w powietrzu, przerywając to, co robił.

– Znowu to samo... Ja nie dam rady – powiedział po chwili i wyszedł z kuchni.

– Przepraszam na moment – powiedziałam do matki i poszłam za nim.

Wpadłam do salonu rozwścieczona, ale policzyłam do dziesięciu i opanowałam emocje. Klótnie były nam teraz zupełnie niepotrzebne.

– Witek, matka jest w szoku – powiedziałam tak łagodnie, jak umiałam w tamtej chwili.

– Wiem. To trwa od dnia moich narodzin. Albo raczej twoich.

– Proszę cię, spróbuj postawić się w jej sytuacji. Wierz mi, że nikt nie chciałby przeżyć tego, co ona. Dobrze, że jest już z nami.

– Olka, ale co ona przeżyła, do jasnej cholery?! Nikt nie wie, co się stało, bo nie chce gadać! – krzyczał bezgłośnie. – Próbuję ją zrozumieć, wierz mi. Oboje – pokazał na mnie i na siebie – spotykamy się z osobami poszkodowanymi przez los. Wiemy, jak to działa – przekonywał. – Kiedy ją wczoraj zobaczyłem na tej drodze, w tym... stanie, serce mi stanęło. I zdaję sobie sprawę, że opowiadanie o tym, co ją spotkało, jest z pewnością potwornie trudne. Ale wiem też... – nachylił się w moją stronę, by zyskać pewność, że matka go nie słyszy. – Gdybym to ja został porwany... Gdyby to za mnie wyznaczono okup, który sukcesywnie podbijano, a potem ni z tego ni z owego zaprzestano negocjacji, by mnie wywieźć i robić nie wiadomo co... – Odetchnął. – A na koniec wyrzuconoby mnie nagiego z jadącego auta, z pewnością porozmawiałbym o tym z policją. I z wami też. A tu? Widzisz radość na jej twarzy? Powiedziała ci, że się cieszy, że wróciła? Że cię kocha i wierzyła, że będziesz jej szukać? Nie – warknął. – Wypruwałem sobie żyły, postawiłem na nogi wszystkich kolegów z prokuratury, podczas gdy oficjalnie nie wolno mi było angażować się

w sprawę o prywatnym charakterze. A ona mówi: „Z nikim nie będę rozmawiać. Mogliście się bardziej postarać, żeby mnie znaleźć”?! – wyszeptał teatralnie.

Najgorsze, że Witek miał dużo racji. Rozumiałam jego frustrację, bo sama czułam się podobnie. Wiedziałam, jaka jest matka. Postanowiłam przyjąć rolę negocjatora i postarać się załagodzić sytuację.

– Zostaw to mnie. Popracuję nad nią – zapewniłam. – Jutro się otworzy.

– Olka... – roześmiał się bezsilnie. – Pracować to ty możesz ze swoimi pacjentami. Tu nie jesteś psychoterapeutką, ale córką niezrównoważonej psychicznie matki. Jeśli ona się uprze, że nie będzie współpracować, to nic nie wskóramy. Ani ty, ani żaden z twoich pracowników, ani ja i cała prokuratura okręgowa... Ani ojciec i jego pieniądze. – Przetarł twarz dłonią. Był zrezygnowany i zły. – My i tak przeprowadzimy śledztwo. Ale ci porywacze... Tak to zorganizowali, że czarno to widzę.

– Nie do wiary, prawda? Niewykrywalni... – przyznałam.

– Zawodowcy. I w tym rzecz, rozumiesz? Trzeba ich złapać, zanim porwą kogoś następnego. Osobę, której rodzina naprawdę ich posłucha i zgodnie z ich zasadami nie wezwie policji.

Zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju. Rzucił palenie ponad rok temu, ale pomiędzy wskazującym i środkowym palcem wciąż trzymał wspomnienie papierosa. Strzepywał z niego niewidzialny popiół, a z ust wydychał nieistniejący dym.

– Porywacze jednak nie zebrali pełnego wywiadu – zauważyłam.

– Chodzi ci o mnie? – zapytał.

– No, nie wzięli pod uwagę, że jako prokurator od razu wezwiesz policję.

– Wzięli. Wycofali się w odpowiednim momencie i przepadli. Zatarli ślady, zamelinowali się gdzieś i koniec. Tylko ona może nam pomóc ich namierzyć.

– Przekonam ją – zapewniłam ponownie. – Wiesz, jak bardzo zależy jej

na... – szukałam odpowiedniego słowa – ...publiczności.

Matka zawsze była egzaltowaną egocentryczką, koncentrującą się na swoich cierpieniach. Za wszelką cenę pragnęła uwagi. Teraz to pragnienie, o zgrozo, spełniło się. Los, choć dotkliwie ją doświadczył, sprawił, że zaczęliśmy wokół niej skakać, zgodnie z jej życzeniem.

– Właśnie tego się obawiam – powiedział Witek, a ja wiedziałam, do czego zmierzał. – Im dłużej będzie milczeć, tym wierniejszą staniemy się publicznością.

Kiwnęłam głową. Znowu trafił w sedno. Postawiłam sobie za punkt honoru namówić ją do dobrowolnych zeznań. Choćby to miało trwać pół roku. Podeszłam do Witka i po przyjacielsku ścisnęłam jego ramię.

Wróciłam do kuchni. Matka paliła kolejnego papierosa. Zapewne nie robiła tego przez ostatnie dni.

– Mamo? – zapytałam, nie spodziewając się żadnej reakcji. Zgodnie z moimi oczekiwaniami nie odezwała się. – Wiem, że bardzo cierpisz. Wyniki obdukcji... – ugryzłam się w język. Wyniki były przerażające. Wielokrotny gwałt, pobicie, ślady krępowania, wychłodzenie organizmu. Mimo to nie zdecydowała się zostać w szpitalu. Chciała obudzić się w domu. Szanowałam to. – Może chciałabyś o tym porozmawiać z którymś z moich pracowników? Lub ze mną. Ze mną będzie ci najłatwiej. Rozumiem, że nie chcesz przechodzić przez to po raz kolejny, ale...

Drgnęła, a ja zamilkłam. Odwróciła się. Ewidentnie chciała, by wszystko wróciło do normy. Założyła złote kolczyki. Drogie, prezent od ojca, zupełnie jakby wybierała się do restauracji. Spod sznura pereł na szyi wyłaził paskudny siniak o czerwono-fioletowej barwie. Zapewne podobny widok skrywał długi rękaw jedwabnej bluzki. Zrobiła nawet makijaż, skromny, jak na nią, ale jednak. Ta skromność, objawiająca się w dni, gdy wychodziła do ogrodu, by się poopalać, nie dotyczyła ust, zawsze pomalowanych czerwoną szminką. Tak jak i dziś. Miała złamaną rękę i kilka żeber, cierpiała psychicznie i fizycznie, a mimo to zadbała

o pozory normalności. Tak jakby chciała odzegnać się od tego, co ją spotkało.

– Nigdy więcej nie chcę przez to przechodzić – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście, kto by chciał? – Chrząknęłam nerwowo. Nie szło mi najlepiej. – Doskonale rozumiem...

– Niczego nie rozumiesz, Oliwio – przerwała mi. – I nie życzę ci, żebyś zrozumiała – warknęła. Wrzuciła niedopałek do zlewu w kuchennej wyspie i wyszła z kuchni szybkim krokiem.

Zapatrzyłam się na dym z wciąż tłącego się papierosa.. Powinnam była współczuć matce. Próbowałam, naprawdę. Ale jestem tylko człowiekiem, a to, co odróżnia nasz gatunek od innych zamieszkujących Ziemię, to między innymi granica, za którą kończy się wytrzymałość psychiczna. Jak mnie teraz. Miałam do wyboru – pójść za nią lub ją zignorować. Wybrałam to drugie.

Zostałam w kuchni. Choć gotowałam się w środku, ze stoickim spokojem okazywanym światu zewnętrznemu zalałam papierosa wodą, wyjęłam ze zlewu i wrzuciłam do kosza na śmieci. Potem umyłam blat i całą wyspę, oddając energię pracy. Kiedy skończyłam z kuchnią, przecierając ostatnią szafkę, nasza gosposia wróciła do domu z zakupami. Szybko usunęłam dowody zbrodni. Mokrą ścierkę rzuciłam na kaloryfer, gumowe rękawice wepchnęłam do szuflady pod zlewem. Pani Czesia nie lubiła, gdy ktoś wykonywał jej obowiązki. Mimo że pracowała dla nas ze dwadzieścia lat, ciągle miała wrażenie, że skoro ja myję, Wito odkurza albo pani Teresa gotuje (co się akurat mojej matce zdarzało niezwykle rzadko), to pan Julian zapewne zechce ją zwolnić. Oczywiście ojciec ani myślał o pozbyciu się gosposi. Raczej panicznie się bał, że pewnego dnia pani Czesia odejdzie i będzie musiał szukać dla niej zastępstwa. Gosposia była jedyną osobą, która nigdy nie powiedziała matce, co o niej tak naprawdę myśli. Tolerowała ją, była na każde zawołanie, zносиła humorki,

wysłuchiwała kazań. Pewnie nie raz myślała o tym, żeby zmienić pracodawcę. Ale została, zapewne z wygody. Może bała się, że nie znajdzie równie dobrze płatnej posady? W każdym razie nie chciałam jej stresować.

– Pani Czesiu, będziemy mieć dziś gości – zagaiłam, żeby odwrócić jej uwagę od zapachu środka do czyszczenia.

– Z policji? – domyśliła się.

– Tak, o pierwszej.

– Zdążę coś upiec – powiedziała.

– Nie wiem, czy oni zdążą zjeść – skomentowałam zachowanie matki, dodatkowo kiwając głową w stronę schodów.

– Mama potrzebuje czasu – rzuciła nieśmiało.

– Oby nie do końca życia... – odparłam, choć przeczucie podpowiadało mi, że będą kłopoty.

II

Sukanie do drzwi, które rozległo się w holu, podbił inny dźwięk. Policja pojawiła się w naszym domu w tym samym momencie, w którym duży, niemal stuletni, stojący w kącie salonu zegar głośno wybił pierwszą. Komisarz Mróz i jego partnerka od razu skierowali się do salonu. Znali ten dom. Niemal mieszkali tu przez ostatnie dziesięć dni.

– Nareszcie mam szansę bezkarnie wyrazić opinię o tym salonie – zagaił.

– Proszę. – Uśmiechnęłam się do niego. Spodziewałam się pochwał.

– Fajny. Ale wolę swój. Trzydzieści metrów kwadratowych to bezpieczna powierzchnia. Tu można się zgubić – powiedział. To miał być chyba komplement, dość... wyszukany.

– Ja natomiast pamiętam, że jako dzieci jeździliśmy tu z bratem na rowerach, przez co było nam łatwiej się w nim odnaleźć – odparłam, wciąż z tym samym sztucznym uśmiechem. Pewnie pan komisarz nie miał podobnych wspomnień z dzieciństwa.

– I to są ekstra wspomnienia! Tego się trzymajmy! – skwitował Mróz i rozsiadł się w „niebezpiecznie” dużym fotelu. Oby się za bardzo w nim nie zapadł.

– Pójdę po mamę – oznajmiłam i od razu ściszyłam głos. – Nic się nie zmieniło. Ona nie ma zamiaru rozmawiać.

– Spokojnie. Prędzej czy później wszystko z niej wyciągniemy – zapewnił Mróz. Zabrzmiało to dość złowrogo. Komisarz pośpieszył z wyjaśnieniami: – Aspirant Sikora specjalizuje się w rozmowach z ofiarami przestępstw na tle seksualnym.

Partnerka Mroza skinęła tylko głową z tajemniczym półuśmiechem. Była elegancką kobietą w średnim wieku. Aż trudno było, patrząc na nią,

nie pomyśleć, że czasem wciela się także w rolę „złego gliny”. Nie brutalna wydzierającego się na aresztanta, nie. Raczej suki, która zakłada gumowe rękawiczki, łapie za nadgarstki i ze stoickim spokojem informuje, że starzy wyjadacze tylko czekają na takie ładne, młode ciało do używania w pierdlu. Przynajmniej tak to sobie wyobrażałam. Bałam się, że matka, jeśli w ogóle zechce przyjść, ucieknie na sam ich widok.

Pełna niepokoju poszłam na drugie piętro do cichego pokoiku Teresy, w którym paliła jednego papierosa za drugim, czytając książki lub słuchając *Cyganerii* czy innych – z całym szacunkiem – wypocin Pucciniego. Zapukałam, nie odpowiedziała. Jak zawsze. Uchyliłam drzwi. Stała przy oknie wpatrzona w dal. Światło dnia odbijało się w jej wielkich, brązowych oczach, nadając im głębi i tajemniczości. Oczy miała piękne, choć podobno są one zwierciadłem duszy.

– Mamo? Proszę, chociaż spróbuj – poprosiłam cicho. – Nie każ mi ich tu przyprowadzać. A zrobię to, jeśli sama nie zejdziesz na dół.

Spojrzała na mnie tak, jakbym to ja ją porwała, torturowała i gwałciła. Nikogo nie wpuszczała do swojego sanktuarium. Bez słowa wstała i wyszła z pokoju. Przechodząc koło mnie, trąciła mnie w ramię, rzuciła mi jeszcze jedno lodowate spojrzenie i wyszła, zostawiając za sobą smugę zapachu Chanel przemieszanego z odorem setek wypalonych papierosów. Poszłam za nią w pewnej odległości. Nie chciałam czuć tej słodkiej woni, która tak doskonale do niej pasowała. Papierosy i Chanel. Trucizna dla niepoznaki przykryta słodką nutą.

Na widok policjantów matka przystanęła. Potem powoli podeszła, wyciągając ku nim dłoń. Najpierw przywitała się z Sikorą, która przedstawiła się jej uprzejmie, potem z Mrozem. Usiadła wolno, zakładając nogę na nogę i układając je równolegle. Zawsze tak robiła. Miała to wypracowane, jak wiele innych gestów czy póz, a nawet min. Czasem wychodziła z niej prostaczka, ale nigdy w towarzystwie. Wtedy zarówno ona, jak i mój ojciec potrafili się zachować, choć oboje pochodzili

z komunistycznej prowincji.

Aspirant Sikora przypatrywała się Teresie z uwagą. Gospośia podała już ciepłe napoje, dlatego Mróz spoglądał na moją matkę znad eleganckiej filiżanki z kawą. On także studiował zachowanie Teresy, jakby próbował odczytać jej myśli i wspomnienia.

– Jak się pani czuje? – zapytała łagodnie aspirantka. Wciąż miałam ją za sukę w gumowych rękawiczkach. Choć może to tylko przykre okoliczności powodowały, że wyobraźnia podsuwała mi ten obraz?

– Bywało lepiej – odparła, nie spuszczać wzroku z aspirantki.

– Proszę nam wierzyć, że przez ostatnie dziesięć dni pani dom był też naszym domem. Dzień i noc grupa policjantów czekała na telefon od porywaczy, a inna grupa starała się panią znaleźć.

Być może ton głosu Sikory spowodował, że matka opuściła wzrok, wyraźnie niezadowolona z tego, co słyszy. Gdy znów go podniosła, aspirantka aż cofnęła głowę, jakby spojrzenie Teresy ukłuło ją w policzek.

– Ale mnie nie znaleźliście – wycedziła, a mnie zrobiło się gorąco. Byłam tu. Widziałam, że uwijali się jak w ukropie, a wszystko, co powiedziała policjantka, było absolutną prawdą. Nie udało im się jednak znaleźć Teresy.

– Przeszła pani gehennę – wtrącił się Mróz. – Z wieloma ofiarami porywaczy nie mieliśmy już okazji porozmawiać, jak teraz z panią. Wie pani dlaczego?

– Pan chce powiedzieć, iż mam wielkie szczęście, że przeżyłam? – Teresa sięgnęła po paczkę papierosów. Była zdenerwowana. I zła. A zresztą. Palila, gdy była zestresowana, wściekła, szczęśliwa, rozbawiona, głodna, smutna, udręczona... Papieros był jej najlepszym przyjacielem, towarzyszącym zawsze i wszędzie.

– Tak – potwierdził ze stoickim spokojem Mróz. – Następna ofiara tych porywaczy może nie mieć tyle szczęścia.

– Z tego, co wiem... – Matka wydmuchnęła dym z papierosa w stronę

Mroza. Nie pretensjonalnie, po aktorsku. Tak po prostu dmuchnęła mu w twarz. – Ofiar porwań dla okupu jest w Polsce raczej niewiele.

– Kto powiedział, że ta grupa porywa tylko dla okupu? – zapytał Mróz.

Matka zawahała się. Widać było, że tego nie przemyślała, przygotowując się do starcia z policją. A przygotowała się na pewno.

– Przecież żądanie okupu mogło być jedynie pretekstem dla ich sadystycznych praktyk. Lub wynikać z chęci uzyskania dodatkowego profitu w ramach wyrządzenia pani krzywdy. Naszym zdaniem przestępcy nie mieli zamiaru puścić pani wolno. To, że pani żyje, jest jedynie szczęśliwym, jak na te okoliczności, zrzędzeniem losu – dodała Sikora.

Teresa milczała. Sądziłam, że to może być dobry znak. Praktycznie zawsze miała gotową jakąś kontrę. Tym razem nie potrafiła znaleźć argumentów..

– Teraz wszystko, co pani zapamiętała, każdy najdrobniejszy szczegół, może okazać się niezwykle cenne. – Mróz nachylił się, aby dać jej poczucie większej intymności.

Nadal milczała. Nieznośna cisza trwała co najmniej minutę, zanim matka zdecydowała się coś powiedzieć. Ale to, co usłyszeliśmy, nie było tym, na co czekaliśmy.

– Nie należało was zawiadamiać... – pokręciła głową. – Tylko ich rozsierdziliście. A teraz moja rodzina, która mimo tego, że dostała wyraźne wytyczne – wbiła we mnie wzrok – przez własną głupotę jest w niebezpieczeństwie.

Zasłoniła się dobrem rodziny. Chyba pierwszy raz w życiu.

– Skoro pani tak sądzi, tym bardziej musimy ich odnaleźć – naciskał Mróz.

– Nie – matka zaprzeczyła i podniosła się z fotela.

– Pani Tereso, proszę dać nam szansę ich znaleźć. – Mróz także się podniósł.

– Szukajcie sobie, nie będę wam przeszkadzać. Ja nie chcę do tego wracać. Nie chcę przy tym grzebać i bardziej ich drażnić. Zostawcie mnie i moją rodzinę w spokoju – powiedziała i bez słowa pożegnania odeszła w stronę schodów.

Mróz i Sikora byli oszołomieni. Nie tego się spodziewali. Na pewno mieli doświadczenie z rozpaczą ofiar, łzami, spazmami i histerią. Z każdym rodzajem traumy, jaki może dać rozgrzebywanie czegoś, co chce się czym prędzej zakopać. Ale nie z takim postawieniem sprawy! Komisarz spojrzał na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami i westchnęłam. Byłam zapewne jedyną osobą, która taki obrót sprawy brała pod uwagę. Niechętnie podniosłam się z sofy i podążyłam za matką. Zastałam ją na schodach.

– Nawet nie próbuj – rzuciła przez ramię.

– Mamo, błagam. Co, jeśli oni mają rację? Jeśli skazujesz na śmierć niewinną kobietę?

– Tym mi oczu nie zamydliś – przerwała mi.

Znów poczułam wzbierającą we mnie złość, którą musiałam jakoś utrzymać na wodzy. Nie było to łatwe. Zawsze to samo. Jej egoizm sięgnął zenitu, a najgorsze było to, że miała dobre wytłumaczenie.

Oparłam się o poręcz schodów, czując, że opuszczają mnie siły. Zimne w dotyku drewno dziwnie mnie ocuciło, przez co zdobyłam się na jeszcze jedną próbę.

– Wiem, że niewiele cię to obchodzi. Znam cię i to całkiem dobrze. Ale proszę, spróbuj postawić się w sytuacji rodzica, który traci dziecko tylko dlatego, że nikt wcześniej... nikt, kto przeżył atak, nawet nie próbował pomóc w ujęciu sprawców. Sama jesteś matką. Moją matką. A gdyby to mnie porwano? – zaryzykowałam.

Odwróciła się i niemal natychmiast zamarła w bezruchu. Może to były wyrzuty sumienia, których nigdy nie okazywała?

– Jestem twoją matką. I matką Witolda – powiedziała, jakby utwierdzała się w tym fakcie. – I dlatego chcę jak najszybciej o tym zapomnieć.

Zostawić to za sobą i już do tego nie wracać. – Wzięła głęboki oddech. – Również dlatego, żeby nie narażać was na niebezpieczeństwo.

Straciłam siły do dalszej dyskusji. Oparłam się o zimną poręcz całym ciałem. Matka poszła na górę, a ja nie próbowałam jej gonić. Nie wiedziałam, czy naprawdę boi się o nas, czy może gra, abyśmy pozostali wierną publicznością, jak to ujął wcześniej Witek. Wiedziałam jedno – powinna porozmawiać z policją, którą teraz musiałam odprawić z niczym. Witek wyszedł już dawno, wezwany do własnych spraw. W sumie cieszyłam się, że go nie ma. Na pewno zrobiłby awanturę. Był wiecznie spięty. Napatrzył się w życiu na ludzką krzywdę. Z drugiej strony poinformowanie policji, że mama nie będzie współpracować, spadło teraz na mnie i wcale nie będzie przyjemne.

Powoli się odwróciłam, bo czułam, że od nadmiaru adrenaliny wiruje mi w głowie. Miałam wrażenie, że całe moje ciało pulsuje. Wróciłam do salonu energicznym krokiem. Stałam w drzwiach, od razu spotykając się z ich pytającymi spojrzeniami.

– Mama... – zaczęłam.

– Spokojnie. – Sikora znów była „dobrym gliną”. – Tak się zdarza. Już się z tym spotkaliśmy. Zawsze robi to na nas podobne wrażenie – dodała, tłumacząc ich wcześniejszy szok. – Do tego nie można się przyzwyczaić, jak i do wielu innych aspektów naszej pracy. – Znów się uśmiechnęła, tak łagodnie, że obraz suki w gumowych rękawicach ostatecznie znikł. Pomyślałam, że moja mina zdradza więcej, niż powinni zobaczyć. Ale psychoterapeuta też człowiek. Pewnych rzeczy nie da się ukryć.

– Porozmawiam z nią... – westchnęłam. Poziom adrenaliny opadał, czułam się coraz gorzej. Jakby uchodziło ze mnie powietrze.

– Proszę nie naciskać – zaznaczył Mróz. – Czasem lepiej nie próbować. Może gdy mamie zabraknie zainteresowania z pani strony, postanowi o czymś napomknąć, żeby je podtrzymać.

– O tak – przyznałam. – Uwielbia być w centrum uwagi.

– Może to jest sposób? – kontynuował swoją myśl. – Niech sobie odpocznie, wszystko przemyśli i poukłada. Kiedy sytuacja nie będzie już taka napięta, nerwowa, a ona trochę się rozluźni...

– Będzie chciała, żeby znów się nią zająć – dokończyłam jego myśl.

– Niedługo wrócimy. Gdyby otworzyła się wcześniej, proszę dać znać.

– Zgoda. – Sięgnęłam po swoją kawę. Była zimna i gorzka. Ale mnie już wszystko było obojętne.

Rodzinną kolację na początku wyglądała normalnie. Pani Czesia podała posiłek, a my zaczęliśmy jeść w ciszy. Niektóre rodziny odmawiały wspólną modlitwę. Jakby wszystko to, co osiągnęły, zawdzięczały jakiejś nadprzyrodzonej sile. Dla mnie zakrawało to na kompleksy. Zamiast podziękować samym sobie, wołały przypisać swoje zasługi jakiejś fantastycznej istocie. Cóż, każdy ma własny sposób na podtrzymywanie jedności. Inne rodziny zaczynały rozmowę zaraz po pierwszym kęsie lub po prostu kontynuowały tę sprzed kolacji. Tematów nigdy nie brakowało. Zawsze był jakiś wątek do przedyskutowania albo czyjś tyłek do obrobienia. Polityka, sztuka i najnowsze osiągnięcia naukowe dostarczały tematów na długie godziny wspólnych rozmów. Nas to wszystko omijało. W tym specyficznym domu, w którym do kolacji zasiadało się w ciszy i w ciszy odchodziło od stołu, oszczędzaliśmy sobie zacieśniania więzi oraz wymiany zdań. Żywo dyskutujące rodziny znaleźmy tylko z filmów i książek.

Tym bardziej dzisiaj nikt nie poruszał przy stole tego drażliwego tematu. I nie chodziło o traumę matki, a raczej o wizytę policjantów. Jakbyśmy chcieli ją jeszcze dobić, zapraszając ich do domu. Czułam jej wściekłość. Wydawało mi się, że wszystko wisi na włosku. Wystarczyło jedno niewłaściwe słowo i rozpęta się piekło.

Stuknęły widelce, noże zaszurały po szkle. Ojciec z trudem przełknął kęs mięsa. Skrzywił się i chrząknął.

– Co to? – zapytał Witek, wskazując na talerz Juliana.

– Cielęcina.

– Sucha? – Witek, nie czekając na odpowiedź, sięgnął po kieliszek wina i od razu opróżnił połowę.

– Nie aż tak... – Ojciec zmierzył go wzrokiem. – Właściwie to w ogóle nie jest sucha. Mam coś z gardłem.

– Dobre wino nie jest złe – wtrąciłam cicho, sięgając po własną lampkę.

Czułam, że jeśli się nie napiję, stracę kontrolę nad sobą. O ironio...

Ojciec zamilkł, nie chcąc podtrzymywać tej niebezpiecznej rozmowy, ale było już za późno.

– Oboje za dużo pijecie. Pewnie siedzieliście w moim domu z tymi partaczami z policji, popijając z nimi wino, zamiast mnie szukać – rzuciła Teresa. Tylko czekała na okazję.

Wszyscy przestali się ruszać. Ręka Witka, w której wciąż trzymał kieliszek, zatrzymała się w połowie drogi do stołu. Nikt nawet nie oddychał. No, prawie... Tylko jeden widelec wydawał teraz ten sam, cichy odgłos, gdy stykał się z powierzchnią talerza. Widelec Teresy, nie przejmującej się naszą reakcją.

– Dziękuję za kolację. – Witek przetarł usta, choć wypił tylko wino. – Była... No cóż, nie wiem, jaka była. Dobranoc.

Wstał i odszedł od stołu. Nienawidziłam tego. Zawsze zostawiał mnie samą w podobnych sytuacjach, jakby fakt, że jestem psychoterapeutką, go do tego upoważniał. Nawet nie współczułam mu, że pójdzie spać głodny. Wiedziałam, że nie pojawi się już na dole, chyba że późno w nocy, żeby skubnąć coś na zimno. Często tak robił, bo nasze kolacje bywały właśnie takie. Wybuchowe.

Wpatrzyłam się w matkę. Pozwoliłam Witkowi opuścić jadalnię i zwróciłam się do niej pouczającym tonem.

– Brawo. Wciąż się staram, szczególnie z zawodowego punktu widzenia, współczuć ci i znosić twoje niesprawiedliwe przytyki. Ale wyobraź sobie, że my tutaj traciliśmy zmysły! Ojciec był na skraju

załamania.

Julian uniósł dłoń nad stół, jakby chciał powiedzieć, by go do tego nie mieszać.

– Nic mi po waszym zaangażowaniu. Wróciłam o własnych siłach. – Teresa opuściła wzrok na talerz, jak zawsze wypełniony tylko w jednej trzeciej (trzymała dietę). Jej gęste, pomalowane rzęsy opadły na policzki, tworząc na nich długie cienie.

– Gdyby nie ono, porywacze by nie odpuścili. A najwyraźniej tak się właśnie stało. – Wciąż na nią patrzyłam, choć miałam wrażenie, że moje słowa trafiają w próżnię. – I jeszcze nie chcesz rozmawiać z policją, skazując na podobny los inną...

– Dlaczego wciąż wszyscy mówią mi o innych? – wtrąciła spokojnie, ale znacznie wolniej. Zaczynała cedzić słowa przez zęby, co w jej przypadku było jak burzowe pomruki. Powietrze wyraźnie się zagęściło.

– Mamo... – Pokręciłam głową. Co niby miałam powiedzieć? Że inni są teraz ważniejsi? Że powinna wypłukać z siebie cały ten brud, wylać go na podłogę niczym pomyje, by w nich właśnie policja mogła poszukać odpowiedzi na swoje pytania? – Naprawdę nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać... Czuję się bezsilna. Pierwszy raz w życiu po prostu nie wiem.

– Pierwszy? – Wbiła we mnie wzrok. Gdyby tylko mógł zabijać, leżałabym na podłodze, tonąc we własnej krwi. – Nie sądzę, byś kiedykolwiek próbowała ze mną rozmawiać, tak jak ze swoimi popieprzonymi pacjentami. Ludźmi, którzy stwarzają sobie problemy, by móc popatrzeć na twoje kolana, gdy siedzisz naprzeciwko.

– Tereniu, wystarczy – powiedział ojciec tonem niepewnym i uległym.

– Nie przerywaj mi, Julian – warknęła, nawet na niego nie patrząc. Dalej, niczym drapieźnik, czekający na odpowiednią okazję, by zaatakować ofiarę, wpatrywała się we mnie. Kiedyś odebrałaby mi oddech tym spojrzeniem. Po studiach wiedziałam, że mowa jej ciała bywa bardziej wyrazista niż słowa, w których nie przebierała, kiedy się wściekała.

– Nikt nie próbuje umniejszać twojej krzywdy. – Skorzystałam z faktu, że ojciec się wtrącił i nieco ją rozproszył.

– Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Zawsze byliście i nawet to, co mnie spotkało, nie było w stanie tego zmienić! – rozkręcała się. Jej oczy się zaszklily. – Gdybyś kiedykolwiek próbowała ze mną rozmawiać, tak jak twierdzisz, zapewne łatwiej byłoby ci mnie szukać!

– A co dokładnie by to zmieniło? – zapytałam, idąc na całość. Ojciec całkiem się skulił i zakrył ręką oczy.

– Wiedziałybyś, do czego jestem zdolna w sytuacji takiej jak ta. – Teresa wyraźnie się zmieszała.

– Ale co by to zmieniło? – upierałam się.

– Nie wezwałabyś policji. Umiąłabyś wydedukować...

– No więc liczymy na to – przerwałam – że ewentualne następne ofiary mają kochających i dobrych bliskich, którzy znają ich lepiej niż ja ciebie. Może, jeśli dojdzie do kolejnego porwania, porozumieją się z nimi telepatycznie, dzięki czemu nikt nie straci życia. Zachowujesz się tak, jakbym maczała palce w tym, co się stało – zaryzykowałam. Ku mojemu zaskoczeniu Teresa zamilkła, nie próbując mi zaprzeczyć. – No pięknie... – skomentowałam to milczenie. – Serio? Policji mówisz, że jestem w niebezpieczeństwie, a mi sugerujesz, że mogłam mieć coś wspólnego z uprowadzeniem?

– Ty to powiedziałaś – warknęła.

– A ty nie zaprzeczyłaś!

Matka znów zamilkła.

– Wypruwaliśmy sobie flaki, żeby...

– Nie musieć za mnie zapłacić? – wtrąciła.

– Nie, cholera... Nie! – Wstałam nagle i zupełnie nie kontrolując odruchów, co rzadko mi się zdarza, cisnęłam widelcem o własny talerz. Rodzice podskoczyli na krzesłach. – Tak się nie da – powiedziałam, dając

upust złości, która zbierała się we mnie przez cały dzień. – Idę do siebie. Nie będę cię już namawiać.

– Oliwia... – Ojciec wyraźnie nie chciał zostać z matką sam.

– Nie, tato, tak nie można... Byłeś tu i widziałeś to wszystko. Robiliśmy, co w naszej mocy, by tę sprawę rozwiązać. Witek zaangażował pół miasta, żeby ją znaleźć. – Wyciągnęłam w stronę matki wyprostowany palec wskazujący, nie próbując już zwracać się bezpośrednio do niej. – To jest właśnie standardowa wdzięczność pani Pol. A panna Oliwia Pol nie ma zamiaru się z tą wdzięcznością dłużej ściierać. Dobranoc.

Chciałam odejść od stołu jak najszybciej. Wtedy właśnie przewróciłam rękawem stojącą przy moim talerzu szklankę z wodą. Woda lała się na podłogę cienką stróżką. Słyszałam, jak ścieka na ziemię, rozpraszając nieco ciszę. Ruszyłam w stronę drzwi wiodących do salonu. I wtedy agresywny dźwięk przeciął gęste powietrze. Dzwonek telefonu sprawił, że przystanęłam i aż uniosłam ramiona w górę. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Czekałam chwilę, nasłuchując. Z jakiegoś powodu pani Czesia nie odbierała, choć już dwadzieścia lat temu uznała to za jeden z obowiązków. Telefon dzwonił natarczywie długim, nieprzyjemnym dźwiękiem. Postanowiłam sama odebrać.

W tym domu, na przestrzeni ostatnich lat, w ogóle rzadko dzwonił telefon. Każdy z nas miał przecież swój i odbierał go wedle uznania. Ale w ciągu kilku ostatnich dni ten telefon stanowił jedyne połączenie ze sprawcami porwania żądającymi okupu. Za każdym razem, gdy się odzywał, zbierała się tu cała drużyna, czyli my i policjanci ze specjalistycznym sprzętem do namierzania. Dlatego dzwonek kojarzył mi się fatalnie. Szłam powoli, licząc, że po prostu przestanie dzwonić. Komuś jednak zależało, by ktoś odebrał. Odczekałam jeszcze jeden sygnał, tłumacząc sobie, że skoro matka jest już w domu, nie ma się czego bać, i podniosłam słuchawkę.

– Halo? – zapytałam. Mój głos zdradzał niepokój. Nikt się nie odezwał.

– Halo? – spytałam ponownie i tym razem usłyszałam wyraźny oddech po drugiej stronie. Przez chwilę go słuchałam, nie odzywając się, i po chwili rozległ się sygnał zerwanego połączenia.

Odłożyłam słuchawkę, a właściwie odrzuciłam ją na widełki z obrzydzeniem.

– To tylko pomyłka – powtarzałam w myślach.

Kto miał powód, by teraz tu dzwonić? Może policja? Ale przecież by się odezwali. A ja wyraźnie słyszałam po drugiej stronie oddech. Ktoś słuchał, lecz nie chciał mówić. Czyli pomyłka... Chociaż...

Po chwili zastanawiania się, spojrzałam w górę i doszłam do wniosku, że to może Witek zatelefonował do domu, by wybawić mnie od rozmowy.

W kilku susach wskoczyłam na piętro i zapukałam do jego pokoju.

– Kto? – zapytał.

– Czy to ty?

Usłyszałam jego kroki. Otworzył drzwi.

– No ja... A kto inny mógłby to być? – Uśmiechnął się do mnie jak do dziecka.

– Nie, nie... – Chciałam mu wyjaśnić, że chodzi o telefon, ale w tym momencie znów rozległ się dzwonek. Odruchowo przełknęłam ślinę.

Zbiegłam ze schodów i pochwyciłam słuchawkę.

– Halo? – zapytałam głośniejszym i ostrzejszym głosem. Postanowiłam od razu przejść do ataku. Usłyszałam jakieś trzaski, potem znów ten paskudny, drżący, przyśpieszony oddech.

– Haloo... – powiedział przeciągle mężczyzna po drugiej stronie. Jego głos brzmiał lubieżnie i obrzydliwie. Takiego telefonu nie dostałam nigdy wcześniej, choć słyszałam o podobnych od pacjentów. Już wiedziałam, dlaczego po serii takich potrzebowali mojej pomocy.

– Kto mówi? – Zacisnęłam palce na słuchawce. Ale ten ktoś oddychał tylko ciężko, przyprawiając mnie tym o mdłości.

– Słuchaj, nie dzwoń tutaj. To nie sekslinia, rozumiesz?! – wykrzyknęłam i rzuciłam słuchawkę na widełki.

Zawiesiłam rękę nad aparatem, pewna, że ten obrzydliwiec zadzwoni raz jeszcze. Czekałam, a każdą sekundę odmierzały niepełne dwa uderzenia mojego serca. Telefon milczał. W pewnym momencie w drzwiach salonu stanęła moja matka. Oparła się o futrynę i zaplotła ręce na piersiach. W jednej dłoni trzymała paczkę papierosów, w drugiej pozłocaną zapalniczkę z jej inicjałami. Prezent od ojca na którąś tam rocznicę. Patrzyła na mnie ni to z triumfem, ni z trwogą. W końcu ruszyła w stronę schodów. Mijając mnie, przystanąła.

– Mówiłam ci – wyszeptała. – Teraz wszyscy mamy problem...

Usłyszałam za plecami jej ciche kroki. Odprowadzałam ją „na słuch”, aż zamknęła drzwi do swojego pokoju. Sama już nie wiedziałam, co bardziej mnie przestraszyło: telefon od jakiegoś zboka czy słowa matki. Znów wrócił do mnie obraz Teresy, idącej poboczem drogi, bosej i półnagiej, po tym, jak wyrzucono ją z pędzącego samochodu, a asfalt zdarł z niej prawie całe ubranie. A jeśli ona ma rację? Jeśli jesteśmy w niebezpieczeństwie? Nie chciałam, żeby mnie spotkało to samo. Dlaczego więc nie rozmawia z policją? Może nie trzeba było ich zawiadamiać i działać na własną rękę, tak jak zasugerowała?

Wróciłam do jadalni. Ojciec siedział nad niemal pełnym talerzem. Usiadłam koło niego. Wzięłam nawet oddech, żeby coś powiedzieć, ale zamilkłam. Pomysły na rozmowy przy rodzinnej kolacji wydały mi się teraz odległe i nierealne. Myśli w mojej głowie pędziły jak samochody prowadzone przez bandziorów, wyrzucających ludzi na jezdnię.

III

Pół nocy minęło mi na wierceniu się w dusznym półśnie. Wreszcie nie wytrzymałam. Wstałam, by wyjąć z szafki w łazience tabletki na sen. Odstawiłam je na początku roku, bo doszłam do wniosku, że mój były nie jest wart uzależnienia się od nich. Tym razem chciałam po prostu się wyspać i to właśnie powtarzałam sobie w duchu, popijając dwie małe pigułki tonujące. Kolejny dzień miał być powrotem do normalności. Po czasie, który spędziłam z policją w domu, wyczekując telefonów od porywaczy, trzeba było pójść do pracy i nie poddawać się traumie.

Gdy już przysnęłam, obraz matki, obtłuczonej i posiniaczonej, wrócił do mnie w nocnym koszmarze. Obudziłam się z jękiem i strasznie się rozkleiłam. Nie zasnęłam już, starając się nie myśleć o ohydnych głosie po drugiej stronie słuchawki.

O poranku telefon znów dzwonił. Tym razem pani Czesia była na miejscu. Szybko coś na siebie zarzuciłam i zbiegłam po schodach. To musiał być jednak krótki telefon, bo gospościa wróciła już do kuchni. Poszłam do niej.

– Pani Czesiu, kto dzwonił? – zapytałam.

– Pomyłka – odparła i machnęła ręką.

Zastygłam w miejscu.

– Pomyłka?

– Tak, nikt się nie odzywał.

Znów wezbrało we mnie uczucie niepokoju. „Zbieg okoliczności, to tylko zbieg okoliczności” – powtarzałam.

– Pani Czesiu – zaczęłam, a mój głos zadrżał. – Jeśli podobne telefony się powtórzą, proszę dać mi znać. Dobra? – Staralam się brzmieć stanowczo, ale i tak wiedziałam, że strach czuć ode mnie na kilometr.

Gospośnia uważnie mi się przyglądała.

– No oczywiście, jeśli to dla ciebie ważne... – powiedziała i uśmiechnęła się dobrodusznie. Ale mnie już nic nie było w stanie uspokoić.

Wyszłam z kuchni i wróciłam na górę. Zapukałam do Witka.

– Co jest? – Otworzył drzwi, gotowy do wyjścia. Złapałam go w ostatniej chwili.

– Witek, od wczoraj dzwoni tu jakiś zbok. Przydziel nam ochronę.

Roześmiał się.

– To nie takie proste – pokręcił głową, rozbawiony moją naiwną prośbą.

– Prokuratura to nie jakaś firma ochroniarska. Dzwoni, to znaczy co? Co kwadrans? Sapie w telefon?

– Proszę, czy możesz chociaż spróbować?

– Zobaczę, jakie mamy podstawy – ironizował.

– Głuche telefony po porwaniu to świetne podstawy!

– Po porwaniu. Bez okupu, z happy endem – odparł.

– Nie do końca happy...

– A jednak. Pa! – powiedział i pocałował mnie w policzek.

Kiedy zszedł na dół, usłyszałam ruch w łazience należącej do Teresy. Bo w tym domu Teresa wszystko miała swoje. Łazienkę, sypialnię, pokój dzienny (sanktuarium), a nawet mały gabinet, z którego nie korzystała, bo nigdy w życiu nie pracowała. Posłuchałam chwilę. Pomyślałam, że nie mam jeszcze sił na spotkanie i wróciłam do pokoju, by przeczekać jej pierwszy poranny dymek w kuchni.

Ten dzień przywitał mnie deszczem. Wszyscy już chcieli, żeby nadeszło lato. W serwisach informacyjnych pogodynki gęsto tłumaczyły się z warunków atmosferycznych, jakby czuły się winne za zimny i mokry czerwiec. W sumie nic dziwnego, bo w naszym społeczeństwie łatwo jest o status kozła ofiarnego. Małysz – jedna porażka i już gadali, że się skończył. Nasi w mistrzostwach i polska husaria krzyczy „Hurra!”. Ale jak

nie wyjdą z grupy, to zapewne dostali się na te mistrzostwa przypadkiem! A pogodynki są winne deszczom i basta. Na kimś musiała się skupić złość spowodowana brakiem słońca. Za miesiąc, może półtora wystarczy tydzień upałów, by wszyscy znów zaczęli narzekać na pogodę, tym razem: „bo za gorąco”. A prezenterki po raz kolejny będą musiały uspokajać naród. I tak w kółko. Ciągłe źle... Encyklopedycznym przykładem takiego członka marudnej społeczności była moja matka. Zastałam ją w kuchni, tam gdzie zawsze.

– Witek już wyszedł? – zapytała, a w jej głosie pobrzmiwało coś na kształt rozczarowania. Wiedziała więc, że poszedł i to nie było tak do końca pytanie. Słyszała, jak zamykał drzwi, wymykając się z domu, by nie spotkać jej w kuchni. I teraz ta jej kokieteria – sugestia, że mógł się pożegnać... Łatwo było zapomnieć, że potrzebuje pomocy. Że spotkała ją krzywda.

– Nie mam pojęcia – odparłam dyplomatycznie.

Otworzyłam szafkę z lekami i wyjęłam codzienną dawkę „cukierków” (co również jest domeną naszej społeczności).

– Wychodzisz? – Spojrzała na moją małą kolekcję z dezaprobatą. Jakby sama nie łykała tony pigułek dziennie i to takich, których naprawdę nie potrzebowała.

– Tak, do pracy. Jak co dzień – burknęłam i wpakowałam w siebie leki na niedoczynność tarczycy i coraz to nowsze alergie.

– Rozumiem.

– Mamo, nie mogę z tobą zostać. Ale jesteś bezpieczna – stwierdziłam wcale nie tak pewnie, zerkając przez okno. Wypatrywałam radiowozu lub nieoznakowanego auta, ale póki co, nikt nie przyjechał. Ulica była pusta. Każdy tu miał garaż, a na całej długości mieszkańcy postarali się o zakaz parkowania.

– A ty? Czy ty jesteś bezpieczna? – zapytała złowieszczo, przykuwając moją uwagę.

Dopiero po dłuższej chwili z trudem odwróciłam od niej wzrok. Wyrzłałam raz jeszcze przez okno, ale nikt nie nadjeżdżał.

– Tak sądzę – odpowiedziałam, choć takie pytanie zawsze wzbudza niepokój. Podniosłam do ust pojemniczek z witaminą B12 w sprayu. Ostatnia porcja chemii i mogłam wyjść.

– Tylko z dala z tym ode mnie – prychnęła Teresa.

Wiedziałam, że to nie fanaberia czy egzaltacja, a realny strach. Miała potworną alergię na tę witaminę. Nie używała jej nawet zewnętrźnie.

– Przecież wiem – uspokoiliłam ją i odeszłam kilka kroków, by zaaplikować spray. E951, wymienione w składzie na dość wysokiej pozycji, próbowało ukryć paskudny smak preparatu. Skrzywiłam się. Wytrzymałam chwilę i przełamałam posmak, zapijając witaminę wodą. – Będzie dobrze, mamó. Wrócę, zanim się obejrzysz.

– W takim razie... – Zaciągnęła się dymem z papierosa. – Trzymaj się. – Jej twarz przybrała dziwny grymas, ani łagodny, ani groźny.

Wykrzywiłam usta w niby-uśmiechu, ale chyba mi nie wyszło.

Przed wyjściem z domu zarzuciłam na rękę kurtkę. W połowie ulicy założyłam ją na siebie. Taki mieliśmy czerwiec. A ja jeździłam kabrioletem. On także czekał na lepszą pogodę, by móc zrzucić z siebie ciężar dachu. W garażu zasunęłam dach, który otworzyłam poprzedniego dnia, bo wyjątkowo nie padało. Wyjeżdżając z ulicy, minęłam zieloną insygnię. W środku siedziało dwóch mężczyzn. Wyglądali groźnie. Początkowo serce zamarło mi z przerażenia. W drodze do pracy nieco ochłonęłam i pomyślałam, że to może być policja. Od razu poczułam się lepiej.

Potem było już tylko ciężiej. W pracy nie mogłam się na niczym skupić. Moi pacjenci przynudzali. Pewnie właśnie ci wystawiali mi czasem słabe opinie na portalach medycznych. Jakbym była co najmniej cudotwórcą, gotowym dać im magiczną tabletkę, która rozwiąże wszystkie ich problemy. Słuchałam ich w ciszy. Zastanawiałam się też, czy któryś z nich nie przyszedł tu z zamiarem skrzywdzenia mnie. Mój numer domowy można

było łatwo namierzyć. Uznałam jednak, że chyba panikuję. Nie zjawił się nikt nowy, a podejrzewanie, że któryś z moich starych pacjentów mógłby być przestępcą, zakrawało na początek manii prześladowczej. Ale musiałam przyznać sama przed sobą, że telefony bardzo mnie przestraszyły i to także utrudniało mi pracę. To paskudne „halo” ciągle wracało do mnie w myślach. Godziny mijały powoli. Reakcją na stres było szybkie, nieuważne jedzenie. Pochłonięłam lunch i potem obiad w takim tempie, że wzdęło mnie jak ponton. Bardzo chciałam już wrócić do domu. Szczególnie że krążyła wokół niego policja.

Był wieczór. Czułam zmęczenie. Im bliżej domu się znajdowałam, tym więcej myślałam o telefonach, z nadzieją, że już nigdy się nie powtórzą. Kompletnie mnie rozstroiły. Szczególnie w połączeniu ze słowami matki, w których radziła mi, bym na siebie uważała.

Dotarłam na miejsce. Zrzuciłam buty i zajrzałam do kuchni. Wyjęłam piwo z lodówki. Na jej drzwiach ojciec zostawił wiadomość, spisana na niedbale wyrwanej z zeszytu kartce.

Zabrałem mamę na kolację. Musi odreagować. Czesława zostawiła obiad w zielonym garnku. Kazałem jej iść do domu. Niedługo będziemy.

Otworzyłam butelkę i postawiłam ją na blacie. Postanowiłam poczekać, aż trochę odtaje. Na dworze było zbyt zimno, by pić lodowate piwo. Wczytałam się w słowa Juliana, zastanawiając się, dlaczego człowiek-Facebook, mający więcej wirtualnych przyjaciół, niż sam był w stanie spamiętać, wypisywał wiadomości na kartkach przyczepianych do lodówki. I jeszcze zapewniał, że niedługo wróci, jakbym wciąż miała piętnaście lat. Rozczulił mnie tym.

Weszłam do salonu i podeszłam do okna. Samochód, który minęłam rano, stał teraz zaparkowany pod drzewem naprzeciwko. Włączony telefon podświetlał twarze mężczyzn w środku, choć z tej odległości nie widziałam ich dokładnie. Naprawdę mi ulżyło. Chciałam im nawet pomachać, ale uznałam, że to głupota.

Bolały mnie nogi. Byłam wykończona. Włączyłam telewizor i trafiłam na program publicystyczny o przemocy domowej.

– Coś dla mnie – skomentowałam na głos, wspominając wczorajszą kolację.

Dziennikarka, która napisała ostatnio dość popularną książkę o wdzięcznym tytule *Pierścionek Agnieszki*, opowiadała o doświadczeniach, którymi podzieliła się z czytelnikami.

– Ofiarom przemocy należy okazywać dużo zrozumienia – mówiła z ekranu Ina Fischer.

– Co ty wiesz? – zapytałam telewizora, myśląc o naburmuszonej Teresie, która sugerowała, że miałam coś wspólnego z jej porwaniem.

– Niestety, brak reakcji z mojej strony sprawił, że moja przyjaciółka umarła – kontynuowała Ina.

– A moja matka nie. I nie wiem, czy się cieszyć, czy płakać... – odparłam i wcisnęłam czerwony przycisk.

Telewizor wyłączył się i zapadła cisza. Usłyszałam bicie własnego serca. Dziwne wrażenie. Było wyraźne, a jednocześnie takie nierzeczywiste. Nie ruszałam się, by nie szeleścić. Cisza koła nerwy. Na moment przestałam oddychać. I wtedy cudowne, błogie uczucie przerwał dźwięk najgorszy z możliwych. Dzwonek telefonu.

Poderwałam się na równe nogi, wydając z siebie zduszony krzyk. W jednym momencie zamieniłam się w płataninę dygoczących nerwów. Spojrzałam na ręce i zaraz potem splotłam dłonie, które trzęsły się jak osikowe liście. Dzwonek odzywał się raz po razie. Ruszyłam w stronę telefonu. „Gdzie jest teraz policja?” – gorączkowałam się. Czy nadal tam są? Czy będę mogła im o tym powiedzieć? Najlepiej od razu.

Podniosłam słuchawkę.

– Halo?! – wykrzyczałam, chcąc pokazać rozmówcy, że się nie boję.

– Pani Pol? – W telefonie zabrzmiał kobiecy głos.

– Tak... tak – odpowiadałam oszołomiona, jakbym nie była pewna, że ja to ja. Próbowałam się uspokoić. – Tu Oliwia Pol – potwierdziłam.

Pomyślałam, że któraś z moich pacjentek znalazła numer i potrzebuje pomocy. Kiedyś prowadziłam terapię w domu, w nieużywanym gabinecie Teresy. Pacjenci wciąż tu telefonowali.

– Pani Pol, mówi aspirant Sikora. Byliśmy dziś u pani, po południu, ale niestety pani nie zastaliśmy.

– Czasem pracuję – rzuciłam sucho.

Zdażyłam przyzwyczać policję do codziennej obecności w domu, podczas gdy moja matka twierdziła, że nie robiłam niczego, by ją odnaleźć.

– Zajrzemy do pani jutro pod wieczór. Spróbujemy porozmawiać z pani mamą. W każdym razie, gdyby znów otrzymała pani dziwny telefon, proszę zadzwonić do Mroza.

– Spokojnie, lubię spacerować – odparłam, próbując rozluźnić się żartem.

– Nie rozumiem?

– Będzie szybciej, jeśli pójdę do funkcjonariuszy w oplu zaparkowanym na zewnątrz. Od razu mogą zacząć działać. Jeśli się pośpieszą, może nawet przejmą słuchawkę.

W telefonie zapadła cisza.

– Do kogo... na zewnątrz? – zapytała aspirantka. Wyraźnie się zaniepokoiła.

– Do policjantów, którzy siedzą w samochodzie pod moim domem.

Znów ta cisza.

– Pani Oliwio? Może mi pani opisać to auto?

Moje nogi stały się nagle bezużyteczne. Całkowicie odmówiły posłuszeństwa.

– Myślałam, że wysłaliście tu kogoś do ochrony – wybełkotałam.

– Byliśmy po południu. Nikogo nie widzieliśmy – tłumaczyła teraz już gorączkowo Sikora.

– I tylko tyle? To przepraszam, kto przez cały dzień stoi na zakazie przed moim domem?! – wykrzyczałam.

Na odpowiedź nie musiałam czekać długo. Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Do środka wtargnęli dwaj mężczyźni. Na głowach mieli maski z podobiznami zwierząt. Zanim zdążyłam wydać z siebie dźwięk, jeden z nich zakrył mi usta ręką w skórzanej rękawiczce. Drugą dłonią przytrzymał moje ręce w nadgarstkach. Był niezwykle silny. Albo to strach mnie sparaliżował. Drugi nachylił się nade mną.

– Halo? – pytał głos w słuchawce. – Halo, pani Pol?!

– Halooooo – odpowiedział jeden z mężczyzn. Jego maska miała przypominać wilka. – Halo, pani Pol...

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętałam, były jego oczy. Złowrogie. Demoniczne. Oczy, jakich nie zobaczyłam już potem u nikogo. Lewa tęczówka była jasna, niemal biała, podczas gdy druga – czarna. Wyzierające z dziur w masce niczym ślepiec chorego wilka, do którego tak bardzo chciał się upodobnić. Nigdy więcej nie chciałabym zobaczyć tych oczu.

Potem poczułam ukłucie. Coś mi wstrzyknął. W kilkanaście sekund straciłam kontakt z rzeczywistością. Czułam tylko, że moje bose stopy szorują po betonowym podjeździe. Ta specyficzna ulica, mocno zadrzewiona, pełna luksusowych, potężnych willi, miała to do siebie, że nikt tu nie wyglądał przez okno bez potrzeby. Psy biegały po niewielkich parkach na tyłach domów (bo trudno je było nazwać ogrodami), a po dwudziestej ta spokojna okolica stawała się całkowicie bezludna. Mimo że nie do końca wiedziałam, co się ze mną dzieje, starałam się coś zrobić. Coś... Wodziłam oczami za jakąkolwiek żywą duszą, ale nie było nikogo. Zmysły odmawiały mi posłuszeństwa. Teraz cisza i rozdzierający powietrze dzwonek telefonu komórkowego, który został w domu, połączyły się w jeden wielki szum i pisk, który wypełniał moją głowę. A w tym chaosie wybrzmiewały słowa mojego brata: profesjonalści. Rzeczywiście. Wiedzieli, co robili. Stali tu cały dzień. Może nawet byli pod kliniką.

A teraz wlekli mnie gdzieś, a ja nie mogłam się ruszyć.

Naprawdę spanikowałam, gdy zobaczyłam otwierający się bagażnik. W głowie mi wirowało. Drzewa nade mną składały się w kalejdoskopowe fraktale. Poczułam szorstką powierzchnię wykładziny bagażnika. Kiedy kłapa zamknęła się z trzaskiem, a samochód ruszył z impetem, poczułam mdłości. Zaczęłam szybciej oddychać, ale smród wzmagał to uczucie. Nie wytrzymałam i zwymiotowałam. Teraz, w towarzystwie własnych wymiocin, wszystko wydało mi się obojętne. Może to działanie wstrzykniętej substancji? Postanowiłam poddać się ogarniającej mnie senności. Nie wiedziałam, co ze mną zrobią. Ale w starciu z chemią trudno o wygraną. Szybko zrezygnowałam. W obecnym stanie nie pozostało nic innego poza czekaniem na rozwój wypadków.

Świadomość wracała w bólu. Najpierw był wzrok. Wciąż kręciło mi się w głowie. Potem słuch. Męskie głosy brzmiały tak, jakby rozmówcy stali w drugim pokoju. Potem węch i smak. Niestety oba skupiły się na obrzydliwym posmaku w ustach. Potem powoli wracało czucie. I to było najgorsze. Bolało mnie miejsce wkłucia. Musiałam zastygnąć w fatalnej pozycji, bo doszło do tego odrętwienie w okolicach karku i łopatki. Poruszyłam się i poczułam mrowienie.

– Pobudka, księżniczko – powiedział wilk.

– Harda jesteś, nie? – zapytał ten drugi. Jego maska miała przypominać świnię.

Nie odpowiedziałam. Chciałam, ale nie mogłam. Wiedziałam, że powinnam próbować z nimi rozmawiać, był to jedyny sposób na negocjowanie warunków mojej przyszłości. Zanim jednak język zdołał zrozumieć, że jest zdolny do artykułowania słów, odebrało mi oddech. Zimna woda chlusnęła wprost w moją twarz.

– Zobaczmy, jaka harda będzie za chwilę – powiedział któryś z nich.

Maski zniekształcały głosy, a ja ledwo dochodziłam do siebie. Szybko przyszło mi jednak otrzeźwieć.

Dopadli mnie i szarpnęli za sznur, który krępował dłonie. Zgięło mnie w pół. Zabolało. Otworzyłam szeroko oczy. Dwa szarpnięcia później dotarł do mnie piekący ból nadgarstków.

– Wstawaj – powiedział ten od telefonu, w masce wilka.

Zmusiłam bezwładne mięśnie do pracy. Było to o tyle trudne, że napastnik wciąż trzymał mnie za ręce, którymi mogłabym się podeprzeć. Już czułam się upokorzona, a wiedziałam, że to dopiero początek. Być może początek końca.

W samochodzie zwymiotowałam na ubranie, co też czułam intensywnie. Cała ta kombinacja substancji odurzającej, smrodu i bólu znów przyprawiła mnie o mdłości. Tym razem jednak adrenalina nie pozwoliła mi stracić kontroli nad żołądkiem.

Zaraz po tym, jak podniosłam się na kolana, jeden z mężczyzn (czy raczej skurwieli, nie obrażajmy mężczyzn) pchnął mnie na ziemię. Oszołomiona wylądowałam na brzuchu. Naprawdę otrzeźwiło mnie, gdy jeden z tych wykolejeńców, ten w masce świni, uwalił się na mnie. Mocnym szarpnięciem rozerwał moją bluzkę. Drobne guziki posypały się po podłodze, jakby chciały uciec od całego zajścia. Patrzyłam za nimi. Dlaczego myślałam wtedy o tych guzikach? Martwiłam się, że gnojek popsuł mi bluzkę. Może mój mózg stworzył myśl-barierę, oddalającą mnie od wyobrażeń tego, co miało się wydarzyć. Napastnik złapał mnie za pierś i mocno ścisnął. Byłam zbyt przerażona, by czuć ból. I tak wiedziałam, co nastąpi, choć łudziłam się, że może mu nie stanie. Kiedy przylgnął do mnie, wiedziałam, że i na to nie mam co liczyć. Starłam się nie myśleć o twardym wzwodzie, którym ocierał się o moje pośladki. O jego cuchnącym oddechu i smrodzie spod pach.

– Jak mówię, żeby policji nie wzywać, to się nie wzywa – powiedział ten drugi. Maską groteskowo zniekształcała jego głos, co w tamtym momencie jeszcze bardziej mnie przerażało.

Przyklęknął nade mną. Docisnął moją twarz do zimnego, szorstkiego

betonu, pokrytego grubą warstwą kurzu i pyłu. Wtedy dopiero dotarło do mnie, że jestem w jakiejś hali lub magazynie. W powietrzu unosiła się wilgoć, a odgłosy ginęły w dziwnej akustyce tego miejsca.

Coś wbijało mi się w policzek. Ten, który na mnie leżał, zdążył już uporać się z moją spódnicą. Zdarł ze mnie bieliznę i zabrał się za własne spodnie.

– Proszę, porozmawiajmy – wykrztusiłam przez łzy. Mój własny głos brzmiał tak obco i nienaturalnie, że przez moment zastanawiałam się, czy naprawdę to powiedziałam. Do tego, łkając, zaciągnęłam się kurzem i w chwilę po tym zdaniu potwornie się rozkaszałam.

– Możesz do mnie mówić. Lubię, jak laska do mnie gada – usłyszałam zza siebie.

Zduśliłam krzyk, gdy skurwiel wbił się we mnie z obrzydliwym stęknieniem, chyba najbrutalniej jak umiał.

– Teraz już nie mamy o czym gadać – powiedział ten drugi.

W tym momencie spanikowałam. Zaczęłam dygotać i zalałam się łzami. „Nie mamy o czym gadać” mogło oznaczać jedynie tyle, że po wszystkim uduszą mnie i zostawią tutaj.

– Dlaczego moja rodzina? – Chciałam się opanować, ale moje słowa wydierały się spazmatycznie ze ściśniętego gardła.

– Dobra, jednak zamknij ryj! – warknął pierwszy i uderzył mnie w bok. Krzyknęłam. On też. Ja z bólu, a on dlatego, że skończył.

Pomyślałam, że teraz pora na popis tego w masce wilka. Niestety, nie myliłam się. Gdy pierwszy wstał, tamten pochylił się nade mną i uniósł moją głowę za włosy.

– Dyscyplina. Tego ci brakuje.

Przykucnął nade mną. Z trudem łapałam oddech, a on nie puszczał. Udało mi się podeprzeć dłońmi, ale kiedy tylko to zrobiłam, on wstał i kopniakiem przewrócił mnie na plecy. Przedramieniem ucisnął szyję, patrząc mi przy tym prosto w oczy. Nie mogłam się ruszyć. Nigdy nie

zapomnę tego uczucia. Jakby gardło i nos połączyły się w jedną bezużyteczną masę. Dociskał przez dłuższą chwilę, aż obraz przed moimi oczami pociemniał. Poczułam ciepło zalewające moją głowę. Pomyślałam, że tak właśnie umrę. Że nie przeżyję tej napaści. Lecz nagle wilk rozluźnił ucisk i ciepło odpłynęło z mojej twarzy. Uczucie chłodu dla odmiany sprawiło, że znów otrzeźwiałam. Zaczęłam panicznie łapać oddech. Zachłystywałam się powietrzem, a każdy taki haust powodował napad kaszlu. Kiedy tylko nieco się uspokoiłam, oprawca wymierzył mi cios w twarz. Co prawda wszystko miałam odrętwiałe, ale poczułam ból. Kobiety, które podobno ból znoszą lepiej od mężczyzn, wśród nich moje znajome, lubiły rozpisywać się w Internecie, czego to nie przeżyły w szpitalach, po złamaniach czy innych porodach. I jakie im zostały po tym urazy. Ja miałam od tej pory mieć inny odruch. Już zawsze, gdy ktoś gwałtownie podniesie rękę, będę cofać się przed bolesnym, piekącym ciosem. A wilk nie szczędził kolejnych. Wymierzył drugi, potem trzeci, mocno zaciskając pięść. Była twarda jak kamień. I zimna. Albo mi się zdawało, bo zalała mnie kolejna fala gorąca, która powoli znieczulała moją twarz. Odgłos przypomniał mi uderzenia tłuczka w mięso, szczególnie gdy wywędrował poza obszar mojej czaszki. Kolejne uderzenie właśnie takie było. Spadło na moją klatkę piersiową. Tu wciąż jeszcze czułam ból. Ryknęłam i zgięłam się, na tyle, na ile pozwolił mi siedzący na mnie napastnik. Znów zaczęłam tracić oddech.

– Ja cię nauczę posłuszeństwa – mówił, zadowolony z siebie, zapewne podniecony, a może już zaspokojony. Znałam ten typ oprawcy. Nigdy z takimi nie pracowałam, ale zetknęłam się z nimi w trakcie praktyk. Typ sadysty seksualnego, którego bardziej niż sam gwałt podniecał odgłos tłuczonego mięsa. Żywego. Koniecznie żywego i tryskającego krwią.

– Muszę jeszcze raz – rzucił ten drugi, który cały czas przyglądał się, jak jego kolega sobie na mnie używa.

Wilk spojrzał na niego i przez dłuższą chwilę się zastanawiał. Potem

znów odwrócił łeb w moją stronę. Może doszedł do wniosku, że mnie zbyt szybko zabije? Odpuścił sobie i cofnął się o krok.

– Pani wybaczy – powiedział i zlął ze mnie.

Ulga nie trwała długo, bo zastąpił go ten drugi. Ukląkł nad moją twarzą i obnażył swoje przyrodzenie. Chciałam odwrócić głowę, ale przytrzymał mnie za włosy, abym nie mogła tego zrobić.

– Nie podoba ci się? – klepnął mnie twarz, i tak już obolałą i spuchniętą.
– Patrz uważnie – powiedział, masturbując się.

– Proszę, nie – wymamrotałam i poczułam krew w ustach. Zęby wbijały mi się w poranione policzki, a krew zalewała gardło. Wiedziałam, że nic nie wskóram, ale wciąż chciałam próbować. Dla siebie. Żeby pamiętać, że zrobiłam wszystko, co mogłam, by się uwolnić. Choć wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy to przeżyję.

– Ale śmiesznie gada po moim makijażu, nie? – zapytał ubawiony wilk.
– Powiedz coś jeszcze – huknął do mnie i roześmiał się.

Zanim jednak zdążyłam powiedzieć coś jeszcze, gwałciciel wsadził swojego śmierdzącego fiuta w moje usta. Smak krwi przemieszał się z tym strasznym, nie do opisanego uczuciem upodlenia. Od razu zebrało mi się na wymioty, szczególnie że wciąż czułam ich opary... Bałam się, że się udławię, więc zdusiłam ten odruch, dopóki on nie wyjął mi penisa z ust. Wtedy odwróciłam się na bok i znów zwymiotowałam, na siebie. Na szczęście gwałciciel nie chciał już robić tego w taki sposób. Znów wszedł w moją pochwę, choć tym razem nie poszło mu tak szybko. Tam, na dole, też przestałam czuć cokolwiek. Miałam wrażenie, że krwawię. Ale wtedy nie byłam tego pewna. Nie mam pojęcia, ile to mogło trwać. Świat rozjeżdżał mi się przed oczami. Ciemne okna magazynu wyglądały jak więzienne blendy. Gdzieś za nimi był normalny świat. Nawet jeśli na jakimś odludziu. Nieważne. Ten mój, tutaj, pełen był bólu i upokorzenia. Chciałam się z niego wydostać. I szczerze mówiąc, wtedy stało mi się obojętne, w jaki sposób. Już nie walczyłam, nie próbowałam z nimi rozmawiać. Poddałam

się. Po jakimś czasie to dziwne ciepło znów zalało moją twarz. Sufit magazynu wirował jak wtedy, gdy się budziłam. Kolory zlały się w szarość. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, była męska ręka trzymająca cegłówkę tuż nad moją twarzą.

IV

Obudziłam się w przenikliwym zimnie. Pierwsza myśl, jaka mnie dopadła, to pytanie, czy w ogóle jeszcze żyję. Ból, który przeszył krocze przy pierwszej próbie ruchu, uświadomił mi, że ciało wciąż funkcjonuje. Zebrałam się w sobie i otworzyłam oczy, powoli i nieznacznie. Poczułam, że mam sklezione rzęsy. Potarłam oko i poczułam pod palcami coś szorstkiego. Wtedy nie wiedziałam, że to krew, która ściekając z rany zakleiła oko.

Odchyliłam głowę do tyłu. Nad sobą zobaczyłam zamazany obraz. To był most. Przejeżdżające po nim samochody wydawały ledwie dochodzący do mnie szum. Przemierzały przeprawę nad rozległą rzeką o dzikim wybrzeżu. Przez chwilę postanowiłam się nie ruszać. Patrzenie, jak podróżują w czasie, pomiędzy starówką a nowym miastem, upewniało mnie w przekonaniu, że jednak przeżyłam. Na wszelki wypadek oddychałam płytko, by nie zdradzić, że się ocknęłam. Choć napastnicy zniknęli z pola widzenia, nie miałam pewności, czy nie stoją za moimi plecami, na przykład mierząc do mnie z pistoletu. Bałam się drgnąć. Dlatego leżałam tam, dopóki nie targnął mną dreszcz. Gdyby stali za mną, dostrzegli by to. Zacisnęłam powieki, pewna, że za chwilę dostanę kulę w plecy. Ale tak się nie stało.

Z trudem uniosłam się na łokciach. Wcześniej nie myślałam o tym, że jestem kompletnie naga. Widok posiniaczonego, zalanego krwią ciała sprawił, że jęknęłam z przerażenia. Dźwignęłam się z trawy i odruchowo zakryłam piersi i krocze. Czułam wstyd, choć nie byłam winna, że znalazłam się w takim stanie. Próbowałam to sobie powtarzać. Rozejrzałam się, choć każdy ruch sprawiał ból.

W oddali zobaczyłam wędkarza. Rozpląkałam się z ulgi i ruszyłam

w jego stronę, ciesząc się, że wreszcie ktoś mi pomoże.

– Proszę pana... – Głos utknął w opuchniętym gardle. Chciałam podejść jak najbliżej, by nie musieć krzyczeć. Zbierało mi się na płacz. Mieszały się we mnie różne uczucia: od wstydu i bezsilności po przedziwną, czystą euforię, że żyję i oddycham. Choć z trudem. – Proszę pana – powtórzyłam, gdy znalazłam się bliżej.

Wędkarz odwrócił się w moją stronę. Zakryłam rękami krocze i piersi. Jego wzrok spoczął właśnie na nich. Na twarzy odmalował się wyraz niechęci i oburzenia. Starając się przewyciężyć wstyd, ze łzami w oczach, poprosiłam o pomoc.

– Mógłby pan zadzwonić na policję? – zapytałam, szczęśliwa, że nie muszę długo czekać na pomoc.

Ale szczęście szybko obróciło się w rozpacz. Ku mojemu przerażeniu mężczyzna wstał i zaczął składać sprzęt.

Rozłożył ręce i nic nie mówiąc, dał do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– Błagam, zostałam napadnięta!

– Nie, nie... To nie moja sprawa – wyseplenił przez dziury po zębach.

– Proszę tylko o telefon na policję – odruchowo puściłam biust, a wzrok wędkarza znów tam powędrował. – Zostałam pobita – pisnęłam przez spuchnięte gardło.

– Odpieprz się, dobra? – warknął i podniósł rękę, jakby chciał przepędzić natrętą muchę. Cofnęłam się skulona. Wystarczył jeden wieczór ze zwyrodnialcami, by ten gest uruchamiał u mnie odruch strachu.

– Błagam, jeden telefon – nie poddawałam się.

Wędkarz spakował się chaotycznie i szybko odszedł, zostawiając mnie samą, zakrwawioną, siną i na granicy śmierci.

Patrzyłam, jak znika w pośpiechu w porannej mgle, gubiąc po drodze części niedopakowanego ekwipunku wędkarskiego. Tego dnia wyjątkowo

wyszło słońce, choć temperatura nadal była mało czerwcową. Mgła dawała nadzieję, że być może w końcu pojawi się lato. Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałam. Może dlatego, że było mi bardzo zimno.

Osunęłam się na kolana i zanosłam gwałtownym płaczem. Brakowało mi oddechu, zeszywniałam; wizja przed oczami stała się nieczytelna, więc wolałam je zamknąć. Po chwili położyłam się na zimnej ziemi. Atak mijał, gdy ciało dotknęło chłodnego, twardego gruntu. Poczułam ukłucie. To ostra, krótka trawa wbijała się w otartą skórę na plecach. Histerię zastąpiło inne, niepokojące uczucie. Po raz kolejny się poddawałam. Kiedy oprawca gwałcił mnie poprzedniego wieczoru, chciałam się wyzwolić za wszelką cenę. Nawet jeśli miało to oznaczać śmierć. Teraz to wracało. Gdybym zasnęła tu, na brzegu rzeki i już nigdy się nie obudziła, znaleziono by tylko nagie zwłoki. Nie musiałabym przeżywać upokorzenia. Nic już by mnie nie dotyczyło. Zamknęłam oczy. I wtedy zobaczyłam moją matkę idącą poboczem. Idącą z tą swoją zawziętą miną, mimo że była półprzytomna i zmalretowana jak ja teraz.. Zastanawiałam się, czy odziedziczyłam po niej tę niezłomność, której nie można było jej odmówić. Wsłuchiłam się we własny oddech. Coraz głośniejszy, ale coraz wolniejszy. Mój mózg się wyłączał.

Nagle dobiegł mnie szelest, a potem cichy gwizd. Nie byłam pewna, czy te odgłosy są prawdziwe. Kolejny gwizd i cmoknięcie, dźwięki płynące jakby z oddali sprawiły, że otworzyłam oczy, wracając do życia. Przyklęknęłam i zaczęłam rozglądać się, ledwo wystając ponad chaszczę. Chwilę później poczułam chłód na plecach. Ktoś za mną stał i zasłaniał wschodzące coraz wyżej słońce. Bałam się odwrócić. Zamknęłam oczy. Byłam pewna, że bandyci wrócili upewnić się, czy nie żyję.

– O cholera! Nic ci nie jest?! – usłyszałam.

Zaryzykowałam. Odwróciłam się powoli. Pod światło widziałam jedynie czarną sylwetkę. Podniosłam dłoń, by osłonić oczy, zupełnie zapominając o tym, że jestem naga. Zanim zdążyłam się zorientować, co się

dzieje, z kim mam do czynienia i w ogóle odpowiedzieć na zadane mi pytanie, znów usłyszałam głos mężczyzny.

– Dzień dobry. Chciałbym wezwać karetkę i policję... Tak, tak. Zaraz powiem pani, gdzie dokładnie jestem – mówił przejęty. – Znalazłem kobietę. Wygląda na ofiarę napaści. Tak... Słyszysz mnie? – zwrócił się do mnie. – Mówisz po polsku?

– T... tak. – Znów poczułam łzy ciekące po twarzy. Ciepłe łzy, szybko stygnące na porannym wietrze.

– Tak, jest z nią kontakt – powiedział do osoby po drugiej stronie. – Proszę poczekać.

Odłożył telefon na ziemię i zdjął koszulkę. Podał mi ją. Byłam zbyt obolała, by ją założyć. Zdołałam jedynie się nią okręcić.

– Nazywam się Oliwia Pol. Moja rodzina zapewne mnie szuka... – wymamrotałam.

– Oliwia Pol? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Proszę, niech sprawdzą w systemie – pokiwałam głową.

Znienacka z wysokiej trawy wyskoczył owczarek niemiecki. Upadłam na ziemię, nie spodziewając się czegoś takiego.

– Wika! – krzyknął mężczyzna karcąco, widząc moją reakcję. Suka podeszła do niego spokojnie, niespecjalnie poruszona tonem jego głosu. – Nie, to do psa – mówił dalej do słuchawki. – Mówi, że rodzina jej szuka. Dobrze, poczekam.

Znów zbliżył się do mnie.

– Wika cię ogrzeje. Przytul się do niej – powiedział z troską.

– Nie mogę – odparłam zdeterminowana. – Nie mogę zatrzeć żadnych śladów – wyjaśniłam.

Popatrzył na mnie pytająco.

– Okej... – powiedział przeciągle.

Musiałam go zdziwić. Sama się zresztą zdumiałam. W jednej minucie

chciałam zasnąć na zawsze. W kolejnej – za wszelką cenę znaleźć tych, którzy mi to zrobili.

Po kilku minutach usłyszałam dźwięk syreny. Na moście pojawił się najpierw ambulans, a zaraz za nim wóz policyjny. Potem drugi. Domyśliłam się, że moje nazwisko widniało w systemie nie tylko jako osoby zaginionej, ale też jako świadka w sprawie innego porwania. Przecież to ja znalazłam matkę na tej drodze.

Policjanci szybko zmierzali w moją stronę, a kierowca karetki starał się podjechać jak najbliżej. Udało mu się wprowadzić ambulans na nadbrzeże. Wśród mężczyzn wypatrzyłam jedną kobietę. Aspirantkę Sikorę.

– Już dobrze – powiedziała z daleka i podbiegła do mnie. Otuliła mnie dodatkowo swoją marynarką, podczas gdy ratownicy rozkładali termiczny koc.

– Nie, nie jest dobrze – powiedziałam, wciąż się trzęsąc. Nadal przejmowałam się śladami biologicznymi.

Stojący obok aspirantki policjant spojrzał na mnie z politowaniem. Poczulałam wolno wzbierającą złość. Jakim cudem patrol przejeżdżający pod domem nie zauważył zielonej insygnii z dwoma podejrzanyimi typami w środku? Zbrodniarze, którzy bez większego trudu wpadli do budynku, wywlekli mnie z niego jak gałgan, wpakowali do dusznego bagażnika i bez trudu, niepostrzeżenie wywieźli nie wiadomo gdzie, by pozbawić mnie resztek godności, a następnie życia. Bo zakładałam, że takie mieli plany. Swoją drogą, to już drugi raz, jak im się nie udało. Jakim cudem pozostawali nieuchwytni? Może to z policją było jednak coś nie tak?

– Zaraz się panią zajmimy. Wszystko nam pani opowie – łagodnie pocieszała mnie Sikora.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, od razu pomyślałam: „Gównu wam powiem”. Zaraz uświadomiłam sobie, że to właśnie przez kilka dni powtarzała matka. Nigdy wcześniej nie czułam się z nią tak związana. Wzruszyłam się. Pozwoliłam okryć się kocem i posadzić w karetkę.

– Gdzie panią porzucili? – zapytała Sikora.

– Gdzieś tam – powiedziałam i wskazałam wybrany przypadkowo kierunek. Przez łzy patrzyłam prosto w jej oczy. Chciałam, żeby widziała moją wściekłość.

– Zaraz znajdziemy to miejsce. Zajmie się panią lekarz. Wszystko będzie dobrze – zapewniała mnie. Musiała jednak wiedzieć, że mam to gdzieś. W tej chwili mogłabym ją tutaj i teraz udusić, tak jak stała. Choć to nie ona była odpowiedzialna za nieprofesjonalizm kolegów.

Spojrzałam jeszcze na swojego wybawcę. On także obejrzał się w moją stronę. Stał tam szczerze zatroskany, dopóki drzwi karetki nie zamknęły się, a auto nie ruszyło na sygnale.

V

Biała pościel szpitalna nie miała zapachu, ale jej chłodny dotyk był najmiłszym, co mnie spotkało w ostatnich kilkunastu godzinach. Pomyślałam, że nawet tak przyziemne, proste rzeczy są błogosławieństwem i nigdy nie powinnam o tym zapominać. Zanim pozwolono mi opatulić się kołdrą, napić i coś zjeść, musiałam przeżyć swój koszmar po raz kolejny. Lekarz, który mnie badał, starał się być delikatny. Ale każdy centymetr mojego ciała był spuchnięty, otarty czy po prostu rozdarty. Najgorsza była obdukcja ginekologiczna. To, że ktokolwiek znów mnie dotykał, powodowało u mnie odruch wymiotny. Zamykałam oczy i oddychałam szybciej, ale obrzydliwe obrazy wracały. Zasłaniałam twarz rękami, jakby miało mi to w czymkolwiek pomóc. Pod powiekami wciąż przewijał się obraz dwóch oprawców w maskach zwierząt.

Drugą nieprzyjemną rzeczą, choć na swój sposób oczyszczającą, było opatrywanie ran. Wcześniej otrzymałam środki uśmierzające ból i nie miałam do końca świadomości, co się dzieje. Lekarze podali mi masę leków: wkłuli wenflon i włąli we mnie litry płynów, które miały zapobiec zakażeniom i innym wątpliwym przyjemnościom.

Nie chciałam rozmawiać z policją. Kazałam im przyjść do siebie później. Cały czas jednak rozważałam opcję, by niczym się z nimi nie podzielić. Byłam na nich wściekła. Zawalili sprawę. Przeszło mi przez myśl, że może zrobili to specjalnie. Nie mogli niczego wyciągnąć z matki, więc poświęcili mnie, bym opowiedziała, co się ze mną działo. Dlatego nie miałam ochoty z nimi współpracować. Teraz chciałam tylko o wszystkim zapomnieć i rozkoszować się pościelą w oczekiwaniu na wyniki badań na obecność HIV, kiły i tym podobnych.

Przez dłuższy czas nie mogłam zasnąć, choć bardzo się starałam.

Denerwowałam się wynikami badań krwi. Wiedziałam, że te pierwsze mogą nie dać pełnego obrazu i będę musiała je powtarzać co jakiś czas. Odetchnęłam głęboko i zaciągnęłam powietrze. Powoli znów otworzyłam oczy.

Zapatrzyłam się na krople ściekające z kroplówki, sennie wpływające do żyły. Źrenice rozszerzyły się i świat zaczął wyglądać jak rozmyte zdjęcie. Wydawało się, że w oddali słyszę kroki. Może to tylko bicie serca. Byłam zmęczona, a jednak sen nie nadchodził. Odgłos kroków ocucił mnie. Kim był ten ktoś, kto zmierzał do mojego pokoju? Byłam pewna, że oprawcy wrócili, by naprawić spartoloną robotę.

– Śpisz? – zapytał gość. W drzwiach stał mężczyzna, który pomógł mi na brzegu rzeki.

– Już nie – odparłam i poczułam falę gorąca. Z jednej strony ulgę. Z drugiej poczucie wstydu. Niedawno widział mnie naga.

– Przyniosłem coś.

Dopiero teraz zobaczyłam, że trzyma bukiet kwiatów.

Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Nie wiem tylko, gdzie to dać – zaśmiał się i rozejrzał po sali.

– Wpuścili cię tu? – zdziwiłam się.

– Chyba nie zauważyli, jak wchodzę – odparł. – Słabo cię pilnują – dodał, a ja wściekłam się na policję jeszcze bardziej.

– Zostaniesz ze mną? – To była raczej prośba niż pytanie. Nie mogłam uwierzyć, że je zadałam.

– Jeśli zechcesz.

Wydawał się uradowany. Może czuł się bohaterem? Napiszą o nim w gazecie i powiedzą w telewizji.

Usiadł przy łóżku na szpitalnym krzeselku. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Dziękuję – wyszeptałam. Jego obecność działała kojąco mimo wszystkich sprzecznych uczuć, jakie do niego żywiłam.

– Nie dziękuj. Po prostu nie pakuj się w kłopoty.

Nie wiedział, co mi się przytrafiło, i pewnie myślał, że lubię poimprezować, zniknąć z bogatego domu i często urywa mi się film, ale jego dobra rada mnie rozbawiła. Był normalny, niezwiązany z tym wszystkim, co w ostatnim czasie działo się w moim życiu. Do tego przystojny i kochał zwierzęta.

– Jak ci na imię? – zapytałam.

– Tomek.

– Musisz wiedzieć, Tomku, że gdyby kłopoty same mnie nie znalazły, w życiu bym się w nie sama nie wpakowała – powiedziałam poważnie.

– Mogę jakoś pomóc? – W jego głosie pobrzmiwała troska.

Naprawdę myślał, że biorę, a na narkotyki zarabiam ciałem. Mimo to w świetle porannego słońca wyglądał jak anioł. Mój anioł stróż.

– Niestety – odparłam ostrożnie. Postanowiłam nie wyprowadzać go z błędu. – Jedyłą osobą, która może mi teraz pomóc, jest moja matka.

Uniosłam się lekko na łożku. Z korytarza dobiegł odgłos szybkich, nerwowych kroków. Chwilę później do sali weszła pielęgniarka.

– A co pan tu robi? – zapytała od wejścia. Z jej tonu można było wnioskować, że nie będzie uprzejmie prosić o opuszczenie sali.

Tomek wstał i uniósł ręce. Wciąż trzymał w nich kwiaty.

– Ja tylko chciałem sprawdzić, jak czuje się Oliwia – powiedział.

W tym momencie do sali wpadł policjant. Niemal rzucił się na mojego gościa.

– Co pan robi? – krzyknęłam, choć głos nadal mnie zawodził – Gdzie pan był przed chwilą?

Policjant nie słuchał. Skuł Tomkowi ręce. Wystraszył mnie ten widok.

– Proszę go zostawić! To on mnie znalazł! – warknęłam. Policjant popatrzył na mnie, potem na zdezorientowanego Tomka, który zachowywał spokój. – Gdyby nie on, nie wiem, czy jeszcze bym żyła – tłumaczyłam. –

Natomiast jeśli patrol policji zatrzymałby się na chwilę pod moim domem i zechciał go poobserwować po tych cholernych telefonach, nikt by mnie nie porwał i nie zgwałcił... – Nie wytrzymałam i zanosłam się płaczem.

– Spokojnie, spokojnie. – Pielęgniarka pogłaskała mnie i dyskretnie nacisnęła dzwonek nad łóżkiem. Wiedziałam, że zechcą mnie nafaszerować czymś na uspokojenie. Postanowiłam nie protestować.

– Pan pójdzie ze mną – nakazał nieco zmieszany policjant.

– Przepraszam – wybełkotałam.

Tomek patrzył na mnie z przejęciem. Zrozumiał, że nie jestem podstarzałą amatorką giganta. A jednak mimo że wcześniej tak myślał, przyszedł sprawdzić, jak się czuję. Nie poznałam dotąd nikogo takiego.

– Zajrzę jutro – rzucił od drzwi. – Trzymaj się, Ola!

Zaraz po tym, jak opuścił pokój, przyszedł lekarz. Pielęgniarka spojrzała na niego porozumiewawczo.

– Pani Pol, podam teraz środek na uspokojenie.

– Dawaj – powiedziałam, nie zastanawiając się, jak to zabrzmiało. Kilka minut później zasnęłam.

Ranek obudził mnie słońcem. Kiedy nareszcie nadeszło lato, leżę w szpitalu obolała i w depresji. Potrzebowałam pilnie skorzystać z toalety. Nie chciałam cewnika, a do kaczki też nie miałam ochoty się załatwiać. Dość upokorzeń. Nacisnęłam ten sam guzik, którego poprzednio użyła pielęgniarka.

Do pokoju weszła siostra z nowej zmiany.

– Jak się pani czuje? – zagała.

– Bywało lepiej – zacytowałam własną matkę i od razu się na tym przyłapałam. Schemat. Tak to się nazywa w psychologii. – Muszę do toalety – poinformowałam.

– Chce pani iść czy przynieść...

– Pójdę – przerwałam jej. – Potrzebuję tylko pomocy.

– Jasne... – Zdumiona, uniosła wysoko brwi. Wyżej już nie mogła. Widocznie w moim stanie powinnam jednak prosić o kaczkę. – Chodźmy.

Pomogła mi wstać z łóżka. Zajęła się moją poranną porcją wzmacniaczy podwieszoną na metalowym maszcie na kółkach i wzięła mnie pod rękę.

Łazienka... to było prawdziwe piekło. Mój wzrok spotkał się ze spojrzeniem posiniaczonej osoby z kilkoma szwami na policzku. Tuż nad lewym okiem, w miejscu, gdzie kończył się bandaż, zaczynała się opuchlizna. Owszem, miałam wrażenie, że moje oko nie otwiera się do końca. Ale nie wiedziałam, że tak to wygląda! Kiedy dotarło do mnie, że ta pobita w lustrze to ja, odruchowo zaczęłam odwijać bandaż z głowy. Powoli zdejmowałam kolejne warstwy opatrunku, by poznać rozległość moich obrażeń. I nagle zobaczyłam. Pod zakrwawionymi opatrunkami odkryłam wielką dziurę w głowie. Była tuż nad czołem. Utwierdziłam się w przekonaniu, że wcale nie miałam tego przeżyć. Zostałam porzucona na śmierć, tam nad rzeką. Niedbale zawięłam głowę z powrotem, ale obraz ogromnej rany pozostał w świadomości.

Od tego momentu poranna toaleta stała się koszmarem. Ból brał górę i wszystko blokował. Nie mogłam się załatwić. Przez kilka minut podświadomie powstrzymywałam organizm od wszelkich działań. Kiedy wreszcie mi się udało, co okupiłam świeżą dawką bólu, postanowiłam wziąć prysznic. Ciepła woda powinna przynieść ukojenie. Ale pod jej czystym strumieniem zobaczyłam, co działo się ze mną tamtego wieczoru. Siniaki były jak zdjęcia. Każdy o czymś przypominał. Kojarzył się z konkretnym momentem. Zamknięcie oczu oznaczało spotkanie z oprawcami. W pewnym momencie zorientowałam się, że sama zadaję sobie ból. Wspomnienie gwałtu brzydziło mnie, przez co machinalnie szorowałam poranioną skórę paznokciami.

– Pani Pol? – usłyszałam głos pielęgniarki. – Wszystko w porządku?

– Tak, zaraz kończę – odparłam i niechętnie zakręciłam wodę. Choć prysznic nie sprawił mi przyjemności, to stanie pod nim dawało

przynajmniej poczucie czystości.

Wyszłam z kabiny i zamarłam. Gdy znów zobaczyłam się w tym nieszczęsnym lustrze, krzyk uwiązł mi w gardle. Wyglądałam gorzej niż przed kąpielą. Klatkę piersiową zalewał ogromny siniec. Można było zobaczyć w nim odbicie męskiej pięści. Zabolało od samego patrzenia. Mokre włosy dodały obrazowi dramatyzmu. Zamknęłam oczy, by nie musieć na siebie patrzeć. Odwróciłam głowę od lustra i założyłam piżamę.

Wróciłam do sali rozżalona i zmęczona; wycieczka pod prysznic okazała się być nie lada wysiłkiem. Myślałam tylko o tym, by móc się położyć. Lecz obok łóżka zobaczyłam parę detektywów. Mróz i Sikora postanowili wymusić na mnie rozmowę. Musieli się domyślać, jak bardzo teraz ich nienawidzę, i że nie będę miała ochoty na zwierzenia. Zupełnie jak moja matka, której nie widziałam od poprzedniego poranka. Każda normalna matka już by tu była. Ale nie ona...

– Dzień dobry – burknął Mróz.

Sikora jedynie niepewnie skinęła głową.

Nie odpowiedziałam. Niczego nie udając, ruszyłam powolutku w stronę łóżka, niczym stulatka z artretyzmem. Kółka masztu do kroplówek poskrzypywały jak w tanim horrorze. Powłóczyłam nogami i stękałam przy każdym kroku. Odgłosy te wypełniły całą salę. A oni nie odezwali się, dopóki nie dotarłam do celu. Usiadłam na łóżku i skrzywiłam się. Pielęgniarka pomogła mi się ułożyć.

– Pani Oliwio. Wiem, że to dla pani trudne, ale musimy zadać kilka pytań – zaczęła Sikora z tym samym wyrazem twarzy, który miała wtedy, gdy odwiedziła matkę.

Kwaśno się uśmiechnęłam i pokiwałam głową. „Wiemy, że to trudne”. Gówno wiecie.

– Liczymy, że będzie pani z nami współpracować – dodał Mróz z powagą.

– Możemy zaczynać? – Sikora usiadła na krześle obok łóżka.

– Nie – odparłam bez zastanowienia.

Oboje wbili we mnie wzrok, choć na zdumionych nie wyglądali. Raczej zawiedzionych. Chyba spodziewali się takiej reakcji.

– Pani Oliwio... – Mróz brzmiał protekcjonalnie, czym wkurzał mnie jeszcze bardziej. – Przyczyną pani problemów nie jesteśmy my, a brak współpracy ze strony pani mamy.

– Jej w to nie mieszajcie – rzuciłam.

Nie chciałam tego słuchać. Może to prawda, ale jeśli ich śledztwo byłoby tak skuteczne jak ochrona, zapewne i tak by mnie uprowadzono.

– Proszę zrozumieć. Nie mogliśmy nic zrobić. Nas też ogranicza prawo – tłumaczył Mróz.

– Serio? – Choć bardzo się starałam, łzy i tak napłynęły mi do oczu. Nie chciałam okazać słabości.

– Mamy pewien trop... – wtrąciła nagle Sikora. – Żeby móc go podjąć, oczekujemy od pani współpracy.

Przez chwilę nie wiedziałam co robić. Oceniłam swoje zachowanie jako głupie. Ale w tym momencie nie mogłam się przemóc. Brzydziłam się własnym ciałem, wspomnieniami okropności, których doświadczyłam, policją i całą tą współpracą, o której teraz mówili.

– Co to za trop? – zapytałam dyplomatycznie.

– Na tym etapie nie możemy się z panią podzielić...

– W takim razie nic z tego – przerwałam Sikorze. – Przynajmniej na razie.

– Proszę tylko o kilka informacji. – Nachyliła się do mnie, jakby chciała dodać: „Też jestem kobietą. Możesz mi wszystko opowiedzieć”. Miała do tego zatroskany wyraz twarzy, który w tym momencie strasznie mnie irytował.

– Jakich? Ton głosu? Zapachy, imiona, znaki szczególne? – wykrztusiłam, bliska płaczu.

W odpowiedzi Sikora popatrzyła na mnie tylko, nie odzywając się. Zdawała sobie sprawę z tego, że nic dziś nie wskóra.

– Nie chcę wspominać. Nie w tym momencie – powiedziałam, a ona znów jedynie skinęła głową. Przewidziała to.

– Rozumiem. – Spojrzała porozumiewawczo na Mroza. – Potrzebuje pani czasu.

– Tak, potrzebuję czasu i spokoju – potwierdziłam.

– Przyjdziemy jutro – odrzekła.

– Nie liczcie na więcej – parsknęłam.

Nie byłam w stanie z nimi normalnie rozmawiać. Próbowałam sobie tłumaczyć, jako specjalistka, że źle ulokowałam źródło swojego nieszczęścia, że przeniosłam odpowiedzialność za to, co się stało, na policję, usiłującą przecież złapać sprawców, że powinnam z nimi współpracować, ale... nie byłam w stanie. To mnie przerastało.

Wyszli w ciszy, bez pożegnania. Spojrzałam na drżące dłonie i zacisnęłam je w pięści.

Siedziałam tak przez chwilę, próbując opanować oddech, gdy do pokoju weszła moja matka. Właśnie wtedy chmury przysłoniły słońce i zrobiło się szaro. Matka, zamiast usiąść na krzesło, które wcześniej zajmowała Sikora, przycupnęła na brzegu łóżka. Bez słowa. Złapała mnie za drżącą dłoń i mocno ścisnęła. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej to zrobiła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. Odniosłam wrażenie, że bierze na siebie część winy za to, co się stało.

– Mnie też, mamó – odparłam i dałam upust emocjom.

Chociaż mnie nie przytuliła, czułam bliskość. Dawno tego nie doświadczałam. Może w dzieciństwie, gdy złamałam palec albo jak usunięto mi trzeci migdał. Siedziała wtedy przy mnie i tuliła mnie. Mgliste wspomnienia, jakby nierealne. Nie przy tej zimnej, pozbawionej empatii kobiecie, przez którą postanowiłam zostać psychologiem i pomagać podobnym sobie ludziom, którzy nie dostali ciepła ze strony rodzica. Matki

w szczególności.

Wieczór w szpitalu minął nam na rozmowach o niczym. Żadna z nas nie chciała wspominać o tym, co zaszło. Dołączyli tata z Witkiem. Poczułam spokój. Policjant za drzwiami. Personel medyczny. Bezpieczeństwo. Choć szpital kojarzył mi się z czymś smutnym, dusznym, z więzieniem, tym razem był azylem. Noc minęła dobrze. Powoli nabierałam sił, a poczucie wstydu bladło. Przez cały czas starałam się nad tym pracować, tłumacząc sobie, że nie muszę się wstydzić, bo nic z tego, co mnie spotkało, nie wynikało z moich błędów. Godzina po godzinie, stawałam się coraz bardziej gotowa zeznawać.

Kolejny dzień przyniósł miłą niespodziankę.

– Dzień dobry – usłyszałam, jak tylko otworzyłam oczy. Na krześle siedział Tomek.

– Cześć... – zachrypiałam.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Naprawdę był przystojny, choć wtedy trudno mi było oceniać obiektywnie. Mężczyźni przerażali mnie, a co dopiero obcy.

– Lepiej – odparłam szczerze. – Choć, kiedy znów cię wyrzucą, pewnie siądzie mi humor.

– Dziś mnie nie wyrzucą.

– Skąd ta pewność? – zdziwiłam się.

– Bo dziś jestem tu oficjalnie – powiedział. Zabrzmiało tajemniczo.

– Oficjalnie?

– Kiedy wczoraj usłyszałem twoje nazwisko, od razu skojarzyłem.

– To znaczy? – Pomyślałam, że mówili o mnie w wiadomościach.

– Znam twojego brata – wyjaśnił.

– Rozumiem – powiedziałam powoli. W rzeczywistości nic nie rozumiałam.

– Spotkaliśmy się parę razy w sądzie. – Zauważył, że niewiele

mi to mówi. – Na dwóch różnych frontach. – Wręczył mi wizytówkę, na której napisano: „Tomasz Lenkiewicz. Adwokat”.

– Karnista...

– Tak.

– Czyli bronisz takich gnoi, jak ci, którzy mnie porwali? – zapytałam dosadnie.

– Każdy musi mieć uczciwy proces. Tak mówi prawo – powiedział ze stoickim spokojem.

– Takie szumowiny...

– Też, Oliwio – wtrącił. – Takie szumowiny też. Żebyś miała pewność, że to właśnie te szumowiny. I że po wyczerpaniu wszystkich za i przeciw pójdą siedzieć.

– Ale ty nie chcesz, żeby oni siedzieli. Na tym polega twoja rola – podniosłam głos.

– Nie do końca... – Pokręcił głową bez przekonania. – Kiedy dasz się zaprosić na piwo, to o tym porozmawiamy – zmienił front. – Pamiętaj, nie zawsze adwokat to ten zły. I nie zawsze bierze zlecenia od szumowin.

Niepotrzebnie się uniosłam. Miał rację. Choć nadal wyobrażałam go sobie jako przysłowiowego papugę, który chętniej reprezentuje w sądzie mafiosów, a nie jako broniącego przykład sparaliżowanego pracownika fabryki, który miał wypadek z powodu zaniedbania pracodawcy.

– Wybacz – bąknęłam.

– Wybacz, ale co? – Uniósł brwi. Ile on mógł mieć lat?

– Wybacz, nie chciałam.

– Ach, bo już myślałem, że to będzie: „Wybacz, ale nie pójde z tobą na piwo, doktorze samo zło...” – zaśmiał się z zamkniętymi ustami.

– Wypiję z tobą. Tylko nie będziemy rozmawiać o sądach, policji i innych. I nie szybciej niż za tydzień. – Pokiwałam palcem w powietrzu, zupełnie odruchowo. – Dasz mi ten tydzień?

– Dam ci, ile zechcesz. – Uśmiechnął się ciepło.

Po południu lekarze zdecydowali, że mogę sobie już iść. Na wypisie, który otrzymałam od razu, rzuciło mi się w oczy: „Liczne obrażenia w wyniku pobicia, rana głowy, uszkodzenie czaszki, brak uszkodzeń mózgu”. Odwróciłam wzrok. Dokument skojarzył mi się z pamiętnikiem, w którym kolejne wpisy przypominają konkretne wydarzenia.

Mróz i Sikora nie pojawili się w szpitalu. Za to czekali na mnie pod domem. Matka, która pomogła mi wysiąść, spojrzała na nich wrogo.

– Pani Pol? Możemy porozmawiać?

– Nie wiem jeszcze... – wymamrotałam i zanim zdążyłam coś dodać, usłyszałam głos matki.

– Nie możecie po prostu zostawić nas w spokoju? Zobaczcie tylko, co narobiliście – warknęła.

– Oliwio – Sikora zwróciła się bezpośrednio do mnie, ignorując Teresę.

– Musimy pogadać. Proszę.

– Może jutro? – zaproponowałam.

– To nie powinno czekać – naciskała.

– Ale ja jestem zmęczona – wyjaśniłam. – Poza tym, to mogło się w ogóle nie wydarzyć... – podsumowałam i ruszyłam w stronę domu. Sikora wypuściła głośno powietrze i nie poszła za mną. – Wróćcie jutro – rzuciłam na odchodne.

Na progu domu stał mój brat. Objął mnie i przejął od matki. Mocno tuląc, odprowadził do mojego pokoju na górze.

– Pogadamy? – zapytał bez niepotrzebnego aktorstwa, marszczenia brwi na znak współczucia czy odpowiednio dobranego tonu głosu. Chciał porozmawiać, jak brat z siostrą.

– Tak – odparłam bez zastanowienia. Z nim mogłam rozmawiać zawsze i na każdy temat. Nawet taki.

– Oliwka, muszę wiedzieć, jak to było.

– Ale żeby to zeznanie nabrało mocy prawnej...

– Musisz powiedzieć to policji, tak – potwierdził moje przypuszczenia.

– Wiesz, jak to działa. Opowiesz mi raz. Im drugi. I ten drugi będzie mniej bolesny. Musisz to zrobić. Nie możesz jak ona... – urwał i wyciągnął rękę w stronę drzwi, gdzie na końcu korytarza mieścił się pokój Teresy.

– Wiem, Witek. Ale to trudne. Strasznie... – Kiedy myślałam o tym, co mnie spotkało, dosłownie odbierało mi głos. Miałam wrażenie, że jeśli zacznę mówić, udławię się wspomnieniami.

– Nawet nie domyślałam się... Nie próbuję sobie tego wyobrazić. Ale wiesz, jakie to ważne? – Mówił spokojnie. Nie napierał. Po prostu tłumaczył, choć w sumie nie musiał.

– Pogadam z nimi jutro – zapewniłam.

– A jutro powiesz, że kiedy?

– Witek, obiecuję. A potem pojedę nad jezioro. Do naszego domku.

– Sama?

– Może nie sama. – Nie wiem, dlaczego pomyślałam o matce. Zazwyczaj jeździłam do domku letniskowego bez towarzystwa, choć w tych okolicznościach wołałam je mieć. Ona nigdy nie lubiła naszej chaty nad jeziorem. Unikała wyjazdów do tego miejsca, jakby wiązały się z nim jakieś przykre wspomnienia. Chociaż... ona po prostu taka była. Jak już czegoś nie lubiła (a wielu rzeczy ze swojej przeszłości nie lubiła – obrazów, bibelotów, które kojarzyła z konkretnymi wspomnieniami, prezentów, zdjęć, które cięła na drobne kawałki), to nie zmieniała zdania nigdy. – Potrzebuję kilku dni poza miastem.

– Może spróbuję pojechać z tobą? Bo kogo weźmiesz? Matkę? – Zaśmiał się, jakby najpierw odczytał moje myśli, a potem potraktował je jak dobry żart.

Odwzajemniłam się nerwowym chichotem, oceniając mój pomysł na zimno.

– Oczywiście, jeśli zechcesz dołączyć, to się nie obrażę.

– Tylko nie z Lenkiewiczem – wypalił nagle.

– Gadaliście o mnie? – zdziwiłam się.

– Wolał mnie uprzedzić, że się umówiliście. Żeby nie czuł się zaskoczony. Nie można tego nazwać gadaniem – sprostował. – To taka męska wymiana informacji. I to w realu, nie na fejsie. Dobrze jest mieć znajomych poza fejssem, nawet takich – ubawił się własnym żartem.

– Prawnicy... – Uśmiechnęłam się mimowolnie. – Nie pojedę z nim.

– Twierdził, że się umówiliście. – Witek wypowiadał się o Tomku z pewną niechęcią. Ale w tej niechęci pobrzmiwał szacunek. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

– Owszem, ale nie od razu i nie na wyjazd. – Trochę się zdenerwowałam tym naciskiem. Na razie nie myślałam o mężczyznach w żaden inny sposób, jak przez pryzmat dwóch oprawców i wyrządzonej mi krzywdy.

– Spokojnie. – Położył mi rękę na ramieniu. Zdawała się nienaturalnie ciężka. – Chciałem tylko upewnić się, że cię nie nachodzi.

– Gdyby nie on, nie wiem, jak by się to skończyło – zaznaczyłam, wracając myślami do wędkarza.

– Zachował się tak, jak powinien, szczególnie jako prawnik – podsumował sucho Witek. Ale znów z pewną dozą szacunku.

– Nie musiał. Zachował się wspaniale i dlatego postawię mu kolację. Za tydzień lub dwa.

– A jutro – wciął się – jutro porozmawiaj z policją. Zachowaj się dojrzej niż ona – znów skinął w stronę królestwa Teresy.

Zdołałam tylko westchnąć. Nie chciałam o tym myśleć. A wiedziałam, że powinnam. Powinnam sobie wizualizować to spotkanie, ewentualne pytania i odpowiedzi, cały przebieg, moje zachowanie, emocje. Ale takiej próbie wizualizacji towarzyszył niechciany powrót wspomnień i traumy.

– Postaram się – odparłam.

VI

Zegar kolumnowy w kącie tykał, cierpliwie odmierzając czas spotkania. Policjanci milczeli, wlepiając we mnie wzrok. A ja po prostu nie mogłam. Dobrze mi szło do chwili, kiedy usiadłam w salonie. Gdy zaczęli się we mnie wpatrywać, zobaczyłam w nich, choć to przecież nieprawda, żadnych sensacji zboczeńców, którzy chcą posłuchać, co mi zrobiły tamte sukinsyny. Zegar tykał równo, lecz dla mnie czas płynął zbyt wolno. Gdyby mijał szybciej, mogliby się zniechęcić i zechcieć przyjść jutro. Ale nie tracili cierpliwości. Milczeli w oczekiwaniu na mój ruch.

– Zadzwonął telefon – zaczęłam i od razu się wzdrygnęłam.

– Spokojnie – powiedziała Sikora. – Proszę opowiedzieć wszystko, poza tym, co już pani mówiła w obecności lekarza. Będzie łatwiej.

Kiwnęłam niepewnie głową.

– Byłam sama w domu. Odebrałam. To była pani aspirant. – Sikora skinęła głową, nie unikając kontaktu wzrokowego. Nie czuła się winna temu, co się stało, choć ja na samo wspomnienie miałam ochotę wyrzucić ich z domu. Zagryzłam wargi. Przetrwałam napad złości. – Wystraszyłam się – kontynuowałam. – Strach mnie paraliżował. Nie mogłam się ruszać. Nie mogłam oddychać – mówiłam i czułam, jak wraca wszystko, o czym opowiadam. – Zanim zdążyłam zareagować, leżałam już w bagażniku.

– Ilu ich było? – zapytał sucho Mróz.

– Dwóch.

– Jakież znaki szczególne?

– Obaj mieli maski.

– Jakie?

Mróz nawet na mnie nie patrzył. Wsadził głowę w notatnik i co chwilę

coś zapisywał. Sikora – nie wiem, może tak jej kazano, ale mnie jako psychologa to irytowało – wlepiała we mnie zatroskany wzrok, bacznie przypatrując się moim reakcjom. Wolałabym, żeby też notowała. Ale zapewne miała wspierać mnie jako kobieta i sprawdzać, czy nie kłamię. A może po prostu mi współczuła, a ja niesprawiedliwie ją oceniałam?

– Jakie to były maski? – powtórzyła pytanie Mroza, gdy przez dłuższy czas zastanawiałam się, co ona do mnie ma.

– Wilka i świni – odparłam. Zadrżałam na samo wspomnienie. Kiedy tylko zobaczyłam ich w domu, wiedziałam, jakie mają zamiary. – Ten wilk... Miał dwukolorowe oczy.

– Zdjął maskę? – zdziwił się Mróz.

– Gdyby zdjął, to bym go opisała – burknęłam. Nie podobał mi się jego oschły, nieprzyjemny ton. – Widziałam tylko oczy, przez dziury w masce.

– Ale mówiła pani, że to stało się wieczorem?

– Owszem, ale w przedpokoju mamy silne oświetlenie – wyjaśniłam, coraz bardziej rozdrażniona.

– Co było dalej?

– Coś mi wstrzyknęli – odruchowo złapałam się za ramię.

– Czy to bolało? – zapytał komisarz.

– Nie wiem... Nie jestem pewna. Chyba tak, ale nie od razu. Adrenalina działa znieczulająco.

– Jak się pani po tym czuła?

– Jak... – Szukałam w głowie najtrafniejszych porównań i sama nie mogłam się nadziwić, że do głowy przyszła mi właśnie taka myśl. – Jak przed operacją przegrody nosowej – powiedziałam powoli.

– Fentanyl? – Mróz spojrzał na Sikorę.

– To mogło być wszystko – odparła. – Zadzwoń do szpitala i zleć toksykologię.

– Jeśli wyjdzie, sprawdź szpitale, w których ubyło zapasów i nikt tego

nie zgłosił – zalecił Mróz.

Aspirantka wyszła z pokoju, wybierając numer w telefonie.

– Poprosiliśmy o zatrzymanie próbek, pobranych zaraz po tym, jak panią przywieźli. Na wszelki wypadek – wyjaśnił, widząc chyba moją niepewność. Nie chciałam znów jechać do szpitala. To byłoby ponad moje siły.

Przez chwilę komisarz patrzył na mnie, zaraz znów opuścił wzrok na notes.

– Co się stało po iniekcji?

– Wyprowadzili mnie z domu i zapakowali do bagażnika – przymknęłam oczy. Paznokcie wbite w udo poczułam dopiero, gdy Mróz znów się odezwał.

– Czy udało się pani zapamiętać markę samochodu?

– Opel Insignia – odparłam bez namysłu.

– Na pewno? – zapytał komisarz.

– Stał tu cały wieczór, a może i dzień. Myślałam, że to wasza ochrona. Tymczasem wasz nieudolny patrol nie zauważył tego samochodu wcale – warknęłam. – Na pewno! Ciemnozielony opel insignia.

Mróz nie zareagował. Skrobał tylko długopisem po kartce.

– Czy pamięta pani numer rejestracyjny? – zapytał.

– Nie. Nie przypatrywałam się, bo po co spisywać policyjne numery? A kiedy wywlekli mnie z domu, byłam półprzytomna. W tym stanie raczej trudno odczytać numery, które zlały się z karoserią. Jedyne, co pamiętam, to że zanim zemdlałam w bagażniku, zdążyłam tam zwymiotować.

Mróz z wyraźnym zainteresowaniem zapisał tę informację. Gdyby tak jeszcze mieć chociaż ze stu podejrzanych, których samochody można by sprawdzić... A tu ani jednego.

– Czy zanim straciła pani przytomność, pamięta pani jakieś charakterystyczne zakręty, dziury, odgłosy? Wie pani może, jak długo

jechaliście?

– Niczego nie pamiętam, panie komisarzu – wycedziłam, żeby dać mu do zrozumienia, że to, co mi wstrzyknięto, naprawdę dobrze działało. – Niczego. Obudziłam się w jakiejś hali.

– Jak wyglądała?

– Jak hala – rzuciłam wściekła. – Duża, zimna, ze słabym światłem i kilkoma oknami przy suficie.

– Może pamięta pani jakieś dźwięki?

Zastanowiłam się. Natychmiast przypomniałam sobie gwałciciela. Jego ohydne jęki. A potem odgłos tłuczonego mięsa i oprawcę w wilczej masce. I to paskudne chrupnięcie, gdy moja twarz została dociśnięta do betonowej podłogi i rozcięta czymś ostrym i brudnym. Z zamkniętymi oczami dotknęłam wciąż obolałego policzka w miejscu zszycia rany.

– Nic. Niestety – potrząsnęłam głową i od razu tego pożałowałam. Gwałtowne ruchy nie sprzyjały mojemu samopoczuciu.

– Jakiś samochód, przejeżdżający pociąg? Woda? – naciskał Mróz.

– A ślady biologiczne? Sperma, ślina, włosy? – odpowiedziałam pytaniem.

– Przykro mi, ale nie. To profesjonaliści. Tak jak w przypadku pani matki, nic pomocnego nie udało się znaleźć. Może gdybyśmy znaleźli pani ubranie... ale cóż – skrzywił się wymownie. – Na pewno nie pamięta pani żadnych odgłosów?

– Nie – odrzekłam. I wtedy przypomniało mi się coś dziwnego. Jak sen, który znika zaraz po przebudzeniu i wraca w ciągu dnia, w kawałkach. Jak migawka, coś mało realnego. Nie do końca wiedziałam, czy to nie wytwór mojej wyobraźni. – Ale... – zaczęłam i obraz od razu odpłynął.

– Tak? – Mróz wyprostował się i tym razem wbił we mnie wzrok.

– Kiedy... – Rozmasowałam odruchowo siniak na klatce piersiowej. – Kiedy mnie uderzył, straciłam oddech. Uniosłam lekko ciało i wydawało

mi się, że... A może właśnie mi się tylko wydawało... – Chciałam tu skończyć. Naprawdę nie byłam pewna, czy to co widziałam, ma jakiś sens.

– Tak, pani Pol? – Mróz pochylił się w moją stronę. Sikora, która w międzyczasie stanęła w drzwiach salonu, jakby bojąc się, że zakłóci tę wątłą wizję, przyglądała mi się uważnie. – Proszę spróbować. Co pani widziała?

– Wydawało mi się, że tam był jakiś kształt. Nie jestem pewna – powiedziałam, wciąż usiłując sobie przypomnieć. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Teraz mój umysł (dlatego właśnie wybrałam psychologię, bo to fascynujące urządzenie zwane mózgiem potrafiło tak samo dobrze oszukiwać właściciela, jak pozytywnie zaskakiwać) podpowiedział mi, że w hali, w której zostałam zgwałcona, stało coś dużego. – Nie wpatrywałam się. Nie było na to czasu. Ale tam coś stało, w ciemnej części. Nad nami paliły się okrągłe reflektory. Dawały punktowe snopki, które nie oświetlały całego pomieszczenia. – Znów zamknęłam oczy, a raczej zacisnęłam, by znów to zobaczyć. – Pomarańczowe, punktowe światło, a w głębi ciemność, z której wyłaniał się większy kształt.

– Jaki? – niemal wyszeptał Mróz.

– Nie pamiętam. Duży. Większy niż samochód. Inny... Łódź? – strzeliłam, choć tym razem umysł mógł mnie oszukać. Obudziłam się nad rzeką. Może zasugerował najprostsze rozwiązanie?

Ku mojemu zdziwieniu Mróz kiwnął na aspirantkę, która znów wyszła, by wykonać jakiś telefon. I to szybkim krokiem.

– Większa łódź? – dopytywał.

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle łódź. – Wizja uciekła i już nie wiedziałam, czy nie był to figiel mojego mózgu. – Niedługo później oberwałam cegłówką. Resztę już znacie.

– Czy pamięta pani jeszcze jakieś szczegóły z hali? – nie odpuszczał komisarz.

Rozejrzałam się, szukając pomocy. Męczyło mnie to przesłuchanie, a Witka nie było w domu. Chciał zostać, ale komisarz osobiście poprosił, by nie psuł śledztwa, którego nie wolno mu było prowadzić. Teraz właściwie przydałby się Tomasz. Chociaż po co mi obrońca? No właśnie. Ale to jednak obrońca, jak sama nazwa wskazuje. Po prostu ktoś, kto powiedziałby: „Dość na dziś. Nic już nie mów, Oliwio”. Niestety... Ojciec jak zawsze, kiedy nie socjalizował się w Internecie, załatwiał interesy w terenie. A matka...

– Pani Pol?

– Nie wiem, nie wiem... – Czułam, że tracę oddech. Zbliżał się napad paniki. Zaczęłam oddychać głębiej, ale to tylko pogarszało sprawę.

– Może czuła pani jakiś zapach? – Głos komisarza brzmiał, jakby dobywał się zza ściany.

Zapach... Tak. Zapach potu gwałciela. I nie tylko jego potu... Były tam też inne zapachy czy raczej fetory. Odór jego oddechu, spermy, niepranych ubrań, moich wymiocin.

– Czy możemy już przerwać? – zapytałam. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam się trząść.

– Idzie pani tak dobrze – powiedział policjant.

Zemdliło mnie.

– Ale ja już nie chcę – wydukałam.

– Jeszcze kilka pytań i kończymy – powiedziała Sikora, która właśnie weszła do pokoju.

– Nie, nie... – Byłam pewna, że zwymiotuję. – Przyjdźcie jutro.

– Jeśli nas pani odprawi, damy więcej czasu przestępcom – mówiła łagodnie, patrząc porozumiewawczo na Mroza. Ewidentnie właśnie się czegoś dowiedziała. – W przeciwnym wypadku już zaczniemy działać...

– Nie mam siły! Tak trudno to zrozumieć?! – wybuchłam.

W pokoju zapadła cisza. Tym razem zabytkowy zegar wydawał się

nienaturalnie głośny...

– Oczywiście, że rozumiemy, ale nie zajmie to dużo czasu – Sikora nie dawała za wygraną.

– W ogóle nie miałobyście do mnie pytań, gdyby nie to, że wasi chłopcy to partacze! – nie wytrzymałam. Tak głęboko to we mnie siedziało.

– Wysłaliśmy patrol. Niczego podejrzanego nie zanotował – bronił się Mróz.

– A dwóch dryblasów w insigni?! – wrzeszczałam.

– Niczego takiego nam nie zameldowano. Może wtedy ich tu nie było?
– komisarz także podniósł głos.

– Za to byli, jak tylko weszłam do domu. I rano. Uwzięli się na mnie, a potem mnie porwali. Uwzięli się na kobiety z tej rodziny! Tego właśnie bała się moja matka! Tego, że zaczniecie naciskać i nie odpuścicie. Oni przynajmniej działali szybko i skutecznie. Weszli do domu zaraz po mnie! – Ostatnie słowa wykrzyczałam tak głośno, że zabolalo mnie gardło.

– Zaraz... – Mróz uniósł ręce w obronnym geście. – Przepraszam. Jest mi niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało, naprawdę. Gdybyśmy mieszkali w innym kraju, być może otrzymałaby pani ochronę jeszcze tego samego dnia, po pierwszym głuchym telefonie. I powtórzę raz jeszcze: to, co się stało, nie powinno mieć miejsca. Ale abstrahując od naszych zaniedbań – pokazał w powietrzu cudzysłów – których dokonujemy zgodnie z literą prawa, niepozwalającą nam przydzielać ochrony z powodu samych tylko telefonów... – Urwał i odsapnął. – Gdzie pani stała, gdy przestępcy weszli do domu?

– Mówiłam już. Przy telefonie. Pani aspirant to wie. – Nieco się uspokoiłam, choć wciąż wszystko we mnie buzowało.

– I była pani przekonana, że to nasz patrol siedzi w samochodzie?

– Zgadza się. – Obdarzyłam komisarza złośliwym uśmiechem, przypominającym, że przed chwilą właśnie to powiedziałam.

– Czy dlatego nie zamknęła pani za sobą drzwi? – zapytał pewnie Mróz.

Oślupiałam. Przez wzgląd na wartość domu i ilość trzymanyh w nim pieniędzy mój przezorny ojciec zamontował także alarm. Miał tu kilka sejfów pochowanych za obrazami, w których trzymał złoto i papiery wartościowe. Wszystko, czego bał się oddać bankowi. To, co nie traciło na wartości i czym nie chciał się z nikim dzielić. Wiedziałam o tych skarbach, bo dzieci dostrzegą wszystko. Znają każdą najmniejszą skrytkę w domu. Ja akurat nie byłam skora do rozpowiadania takich rzeczy. Alarm sprawiał, że w nocy czułam się bezpiecznie. System włączano wieczorem, a Julian wolał go uzbrajać osobiście. Mimo wszystkich tych środków ostrożności, jak daleko sięgałam pamięcią, nigdy nie zostawiłam niezamkniętych drzwi. Zawsze przekręcałam oba zamki, upewniając się przez naciśnięcie klamki, że nie da się otworzyć.

– Zamknęłam drzwi – powiedziałam poważnie.

Znów zapadła cisza.

– Czy jest pani pewna? – zapytał Mróz.

Zastanowiłam się. Sięgnęłam pamięcią do momentu sprzed porwania. Tego dnia zbierało się na burzę. Nogi mi spuchły, bo pacjenci po moim powrocie dosłownie się na mnie rzucili i cały dzień siedziałam w wysokich butach. Choć niewiele pamiętałam z momentu po zastrzyku, to, co wydarzyło się wcześniej, zostało ze mną.

– Zamykałam drzwi, zdejmując buty. Najpierw górny zamek, potem dolny.

Para policjantów wymieniła porozumiewawcze spojrzenia.

– No dobrze. Dziękujemy, pani Pol. Bardzo nam pani pomogła. – Mróz wstał i schował notes do kieszeni.

– Wiemy, że to dla pani trudne rozmowy. Na pewno będziemy chcieli zadać jeszcze parę pytań, w razie gdyby pani sobie o czymś przypomniała. Detale zaczną wracać. – Sikora obdarzyła mnie matczynym uśmiechem. Takim z reklam.

– Nie muszę nic więcej mówić? – zdziwiłam się.

– Dziś nie. Musi pani odpocząć. – Podeszła i ścisnęła moje dłonie w przyjacielskim geście. Nie miałam siły wstać.

– Chciałabym wyjechać – powiedziałam, patrząc jej w oczy.

Sikora spojrzała na Mroza, po czym znów przeniosła wzrok na mnie.

– Za granicę?

– Nie, nad jezioro – odparłam.

– Proszę się jeszcze wstrzymać. Porozmawiamy za tydzień. O samym zdarzeniu w hali. Do tego czasu będziemy już mieć toksykologię.

– Sama pani powiedziała, że muszę odpocząć – przypomniałam.

– Tak, lecz proszę pozostać do dyspozycji. Możemy mieć jeszcze pytania. – Przykucnęła koło mnie, tak jak to się robi w pogadankach z dziećmi, by poczuły się w rozmowie z dorosłym jak równy z równym. – Chodzi o pani życie. Proszę na razie nie wyjeżdżać.

Wstała i rozprostowała marynarkę.

– Gospościa za nami zamknie – zasugerowała, żebym już nie wstawiała.

– Pani Czesiu – chciałam krzyknąć, ale głos utknął mi w obolałym gardle.

– Sami się tym zajmijmy. Proszę odpoczywać – powiedział Mróz. Brzmiał dziwnie. Jak nie on. – Do widzenia – pożegnał się.

Chwilę później zniknęli mi z oczu. Zagaili panią Czesię w kuchni. Nie słyszałam już, jak zamykają się za nimi drzwi. Zostałam w fotelu, w salonie. Po raz kolejny wsłuchałam się w zegar. Tym razem poddałam się dobroczynnemu, hipnotycznie kojącemu tykaniu i zasnęłam.

Mijały godziny, dni i wieczory. Aż upłynął tydzień. Policja mnie nie nachodziła. Tak... Nachodziła, to dobre słowo. Nikt, kto nie przeszedł przez to, co przydarzyło się mnie, nie zrozumie, czym jest wracanie do traumy raz po raz. To nie tylko rozdrapywanie ran. Rozdrapanie najgłębszej nawet rany nie ma nic wspólnego z bólem psychicznym. Ponowne przeżywanie wstydu, przypominanie sobie samej siebie, półnagiej, ledwie łapiącej oddech pod

ciężarem spoconego gwałciciela, jest nie do opisanego. Dlatego czekałam. Czekałam, aż wspomnienia wyblakną. Nie chciałam do końca zapomnieć, by w razie, gdyby ich złapano, móc zeznawać w sądzie. Na to byłam gotowa. Żeby ich pogrzyźć. Wysłać do więzienia, może nawet na zawsze. Nie wypierałam tego, co było. Ale chciałam, żeby trochę zbladło. Zatarło się i odpuściło, choćby na chwilę. By móc wrócić do normalności.

Nie byłam w stanie pracować. Cieszyłam się, że moja klinika jakoś zarabia. Niewiele, ale coś tam przynosiła. W przeciwnym wypadku musiałabym prosić o pomoc Juliana i Teresę. No właśnie. Matkę...

Znów mieszały się we mnie emocje. Zaczęłam winić ją za wszystko, co się stało. Mogłam uniknąć porwania, gdyby podzieliła się informacjami z policją. Z drugiej strony, wiedząc, jakie to trudne, rozumiałam jej ból. Wiedziałam już, co ją spotkało, i w pełni jej współczułam. Ale miałam również poczucie, że gdyby zdobyła się na jedną taką rozmowę jak ta, którą odbyłam z policjantami przy akompaniamencie starego zegara, być może udałoby się czegoś dowiedzieć. I zapobiec... Ja chroniłabym swoje dzieci, gdybym je miała. Zawsze chciałam mieć dzieci. Witek też. Pomni jednak słów rodziców: „Najpierw kariera, potem rodzina”, skupiliśmy się na sobie. Sobiepanki. Zapatrzeni w siebie egoiści, stukający w klawisze komputera lub smartfona. Zamiast spotykać się z ludźmi, wybieraliśmy wirtualne przyjaźnie. I co miałam teraz zrobić? Taka mądra pani psycholog, a tak nieporadna emocjonalnie. Właściwie powinno się jej odebrać prawo wykonywania zawodu! Nie miałam nawet kota, a co dopiero przyjaciela, któremu mogłabym się zwierzyć. Razem z drugim takim mądrym panem, doktor embi dach mogli, położyliśmy związek, i ta k z r e s z t ą od p r z ą t k u nieudany. Zostałam sama. Wspomniałam Tomka. Ale trudno mi było myśleć o mężczyźnie tak, jak kiedyś. Widziałam go w porannej mgie, otulającego mnie koszulą. I tyle. Reszta była zbyt świeża, zbyt brutalnie męska, by ją sobie wyobrazić.

W sobotę Witek zapytał, czy chcę pójść do sklepu. Zgodziłam się.

Stwierdziłam, że jeśli nie wyjdę do ludzi, to zamiast wyzdrowieć, popadnę w ciężką paranoję.

– Jak tam, siostra? – zapytał w samochodzie. Dziwnie to zabrzmiało. Jak typowe wirtualne „elo” albo „cze”. Domyśliłam się, że nie wie, jak zapytać o moje samopoczucie w realnym świecie.

– Lepiej – odparłam szczerze. Wygrzewając się na słońcu w ogrodzie każdego dnia, wypaliłam niewielkie dziury we wspomnieniach. Udało się. Na coś się przydały te studia.

– Cieszę się. Może rozpalimy grilla dziś wieczorem? – zaproponował.

– Wspaniały pomysł! Może kogoś zaprosimy? – Od razu pomyślałam o Tomku. Wisiałam mu piwo.

– Jeśli chcesz... Nie ma sprawy – przystał na mój pomysł.

Murowany grill, o którym mówił, stał w kącie ogrodu, zakurzony i ufajdany przez gołębie. Być może mieszkały w nim nietoperze... Nikt do nas nie przychodził. Zarządzenie Teresy. Nieme, jak zawsze, ale wiedzieliśmy, że nie życzy sobie gości. Witek chciał się jej dzisiaj postawić, więc i ja byłam na to gotowa. Ale że do tanga trzeba dwojga, zgodził się na obecność Tomka.

Wysiedliśmy z bmw (nie pierwszej nowości), na które zbierał przez dwa lata. Kochał to auto. Zarobił na nie sam, z państwowej pensji. Ojciec nie dołożył ani grosza, bo Witek mu nie pozwolił. Kiedy szliśmy do sklepu, brat oglądał się za autem, jakby miał go już nie zobaczyć.

– Gorąco – rzucił.

W końcu mieliśmy lato. Upały przyszyły zniecka.

– Przesadzasz – powiedziałam, mając w pamięci temperaturę o poranku, która obudziła mnie tydzień wcześniej. Odruchowo pomacałam pokrytą gęstym pudrem twarz. Opuchlizna zeszła szybko, ale zostały po niej siniaki, które musiałam ukryć, by nie wzbudzać niezdrowego zainteresowania na ulicy.

Uderzenie gorąca, które poczuliśmy po wyjściu z samochodu, zniknęło

gwałtownie w klimatyzowanym sklepie.

– Pójdę po węgiel i rozpałkę. Tylko tego trzeba do grilla, prawda? Bo już nie pamiętam... – Witek zaśmiał się. On też musiał pomyśleć o rodzinie nietoperzy mieszkającej w kamiennej konstrukcji, użytej po raz ostatni w roku, w którym ją zbudowano.

– Nie zapomnij o zapałkach. Bo od matki nie pożyczę. – Mrugnęłam do niego porozumiewawczo. – Ja zajmę się jedzeniem, zgoda? – Uśmiechnęłam się, choć musiałam się starać, by wyglądało to naturalnie.

– Stało się coś? – zaniepokoił się.

– Nie, tylko... – zawahałam się. – Nie. Nic – powiedziałam stanowczo. W myślach nawet tupnęłam nogą. Postanowione. Wracam na Ziemię.

– Mogę cię zostawić? – Wyczuł mnie, jakby czytał w myślach.

– Tak, nic mi nie będzie. Przecież nie każdy chyba chce mnie porwać? – Chciałam, aby to zabrzmiało jak żart, ale nie było ani zabawne, ani na miejscu.

Witek nie odpowiedział. Przyjrzał mi się uważnie, zmrużył oczy, zrobił krok i ścisnął mocno moją dłoń na znak wsparcia. Mrugnął i odwrócił się na pięcie, by skierować się do jednej z dalszych alejek sklepu. Ja poszłam w drugą stronę. Sama nie byłam wielką miłośniczką mięsa. Wolałam położyć na grill warzywa. Ale wiedziałam, że jeśli ktoś miałby do nas wpaść, to kiełbasa może się przydać. Ruszyłam więc do działu z padliną.

Stałam przy lodówkach. Bez emocji przyglądałam się mięsu, które zostało już jakoś przetworzone. Kiełbasy i szynki wyglądały zwyczajnie. Ale gdy spojrzałam na poćwiartowane zwłoki świni, krwistoczerwone steki z krowy, świńskie ogony, krowie ozory, racice i gęsie szyje, od razu mnie odrzuciło. Nie mogłam.... Przypomniałam sobie odgłosy tłuczonego mięsa i swoją twarz w odbiciu szpitalnego lustra. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Postanowiłam najpierw kupić napoje i warzywa, a potem, jeśli zbiorę się na odwagę, wrócić tutaj i pokonać te paskudne skojarzenia.

W alejce z chemią spożywczą, jak mój były narzeczony zwykł nazywać

kolorowe, gazowane napoje, poczułam się trochę lepiej. Przystanęłam przed ścianą kolorowych etykiet i próbowałam się skupić. Może nie odkryłam Ameryki, ale uznałam, po raz kolejny, że im większy wybór, tym trudniej go dokonać, nawet jeśli produkty mają identyczne składniki, ceny i smaki. Napój to napój. Ma zniwelować smak wódki lub stanowić słodką odmianę po piwnej goryczy. A jednak wybór „neutralizatora” zatrzymał mnie na dłużej między półkami.

W pewnej chwili odniosłam wrażenie, że ktoś stoi na końcu alejki i się we mnie wpatruje. To taki moment, kiedy w zatłoczonym tramwaju zawsze spojrzysz w oczy człowiekowi, który zapatrzył się na ciebie. Nawet jeśli siedzi na drugim końcu składu. Teraz też mogłam przysiąc, że ktoś się na mnie gapi. Niechętnie, czując narastające zdenerwowanie, spojrzałam w tamtą stronę. Nikogo nie było. Pomyślałam, że panikuję, bo to mój pierwszy kontakt z rzeczywistością od kilku dni – i to po otarciu się o śmierć. Wzięłam dwa głębokie oddechy, szybko chwyciłam byle co i z butelką pod pachą podrażowałam w stronę mięsa. Wyszłam na główny trakt, znów poczułam czyjeś spojrzenie. Obejrzałam się i go zobaczyłam. Stał tam, w dżinsowej kurtce, choć na dworze był upał. Patrzył prościusięko na mnie. Przyśpieszyłam kroku, by jak najszybciej znaleźć się wśród ludzi, i stanęłam w kolejce. Kiedy ponownie znalazł się w zasięgu mojego wzroku, poczułam, że wpadam w panikę. Wytrzymałam dwa zamówienia przede mną, ale gdy nadeszła moja kolej, tylko wykrztusiłam z siebie coś nieskładnie i odwróciłam się na pięcie. Obok lodówek z wędlinami dział ze zdrową żywnością oferował kilka zastępników tego, co aktualnie znalazło się za mną. Stanęłam tam na chwilę i oparłam się o półkę. Po kilku oddechach ruszyłam przed siebie, wiedząc, że nie obędzie się bez Witka. Przyśpieszyłam kroku, lecz w dwóch trzecich dystansu do kolejnej przecinki stanęłam jak wryta. Mężczyzna w kurtce wyszedł zza regału i zablokował drogę. Alejka ze zdrową żywnością nie cieszyła się szczególnym zainteresowaniem. Postanowiłam zawrócić. Wolałam widok

mięsa niż towarzystwo nieznanego. Ruszył za mną. Nie słyszałam kroków, ale nagle poczułam na sobie jego rękę. Jedną złapał mnie w pasie, krępując mi ramiona, drugą zakrył usta. Jak wtedy, gdy mnie porwano.

Butelka wypadła mi z rąk. Poczułam szarpnięcie. Napastnik kopnięciem otworzył drzwi do pomieszczenia z tabliczką „Wstęp tylko dla obsługi”, wciągnął mnie do środka i zamknął drzwi, napierając na nie ciężarem ciała.

Pokój był ciemny i mały. Nie miał klimatyzacji, co od razu odczułam. Nie próbowałam walczyć z tym mężczyzną. Był bardzo silny. Pomyślałam, że skoro tu jest, to wtedy nie zabił mnie tylko dlatego, że coś mu przeszkodziło. A teraz planował dokończyć dzieła. To miał być koniec. W sklepowym pomieszczeniu socjalnym. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

– Nie krzycz. Nic ci nie zrobię – powiedział cicho.

Serce waliło mi jak młotem. Nie wiedziałam, jak zareagować, czy mu uwierzyć, czy nie. A on mówił dalej:

– Rozluźnię ucisk i zdejmę rękę z twojej twarzy. A ty nie będziesz krzyczeć. Chcę pogadać. Mamy układ? – zapytał. – Pokiwaj głową, jeśli się zgadzasz.

I tak zrobiłam. Wtedy powoli rozluźnił rękę, ale wciąż mnie obejmował. Postanowiłam go wysłuchać, by zyskać czas na znalezienie wyjścia z aktualnego położenia. Beznadziejnego, jak sądziłam.

– O co tu chodzi? – wyszeptałam. Tylko na tyle było mnie stać.

– O właśnie, Olka. Dobre pytanie. – Napastnik znał moje imię. To było dziwne, ale uspokajało.

– Kim jesteś? – Wzięłam łapczywy oddech. Podczas porwania także starałam się rozmawiać z moimi oprawcami. Wtedy nie miało to sensu. Teraz czułam, że mogę coś wskórać.

– Nieważne. Ważne, że chcę ci pomóc – odparł i znów nieco rozluźnił swoje objęcia.

– Co masz na myśli? – Każda jego odpowiedź budziła moje coraz

większe zdziwienie. Chciał pomóc i dlatego zamknął mnie w tej klitce?

– Dobrze zrobiłaś, rozmawiając z policją. Odważny krok. Prawidłowy – powiedział, czym mnie zaskoczył.

– Tak sądzisz? – zapytałam.

– Owszem. Olśniło ich po twoich zeznaniach. Pojawił się nowy trop, który dotąd wydawał się mało prawdopodobny – wyjaśnił.

– Mają jakiś trop? – zdumiałam się. Wydawało mi się dziwne, że tak nagle przerwali rozmowę ze mną.

– Tak. Zdziwiający. Byli przekonani, że się mylą. Ale to, co im powiedziałaś, sprawiło, że zaczęli przekonywać się do tej teorii.

– Jakiej teorii?

Przestąpiłam z nogi na nogę. W pomieszczeniu było ciemno. Nie widziałam go. Dodatkowo robiło się duszno. A on owijał w bawełnę, zamiast powiedzieć wprost.

– „Najpierw był kształt w ciemności” – zacytował wyjątek z rozmowy z policjantami.

– Skąd o tym wiesz? – zapytałam. Przecież go tam nie było!

– Słyszę to i owo – odparł.

– Skąd? Błagam, powiedz mi!

– Czasem współpracuję z policją. Nie przy twojej sprawie – chwycił mnie za brodę. Dość delikatnie. Może nawet zbyt delikatnie.

Znów poczułam dyskomfort. Obiecałam sobie, że więcej nie będę używać emocjonalnych zwrotów, świadczących o desperacji.

– Jesteś informatorem? – domyśliłam się.

– No, powiedzmy. Widzisz, jaka jesteś bystra? – Przybliżył się do mnie. Przymknęłam oczy. Bałam się go. – Zasłyszałem na komendzie ciekawe story o mojej dawnej koleżance ze szkoły i postanowiłem się z nią tym podzielić.

– Chodziliśmy razem do szkoły?

– Tak, tyle że ty... należałaś do trochę innej kasty – powiedział sarkastycznie. – Nie możesz mnie pamiętać. Za grzeczna byłaś na moje towarzystwo – zaśmiał się triumfalnie. Jeśli uważał mnie za „wyższą kastę”, którą zapewne gardził, sytuacja, w której się znaleźliśmy, musiała go bawić. – Ale to bez znaczenia. Nie mam zamiaru ci się przedstawiać.

Nie musiał mi tłumaczyć, jak rozpoczął współpracę z policją. Miał zapewne jakiś zatarg z prawem. Pomyślałam, że pewnie kradł... I tak dobrze, że ostatecznie postanowił odpokutować swoje czyny w taki sposób. Nie poznałam go w sklepie. Nie byłam w stanie go sobie przypomnieć. Raczej nie należał do kręgu moich najbliższych znajomych.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? – zapytałam, czując, że zalewa mnie pot. Robiło się coraz duszniej.

– Twój tatuś to dziany gość. Pamiętam... Oliwia była najładniejsza w liceum. Miała superciuchy, szybko zrobiła prawko i jeździła audi TT. Taki widok w liceum to rzadkość.

– Rozumiem. Byliśmy w tej samej szkole i zapewne mnie nie lubiłeś. Dawne dzieje – potwierdziłam na znak, że go słucham, i dodałam gratis radę od psychologa: – Trzeba żyć dalej, bez starych urazów.

– Tatuś miał też łódź. – Zignorował moją dyplomację. – Trzymał ją w hangarze nad rzeką.

– Ma ją do tej pory – potwierdziłam.

– Byłaś tam kiedyś? – rzucił jakby od niechcienia.

Zastanowiłam się przez sekundę. Owszem, pływaliśmy tą łodzią wielokrotnie, ale zawsze przybijaliśmy do portu nad... rzeką... W pobliżu miejsca, gdzie mnie znaleziono... Czy właśnie to sugerował? Sugerował, że kształt w hali, który zapamiętałam, to łódź mojego ojca?

– Nie – odparłam. Ten sam pot, który mnie zalał, stał się nagle zimny...

– Pływałaś z tatą i nigdy cię nie interesowało, gdzie jest łódź, kiedy nie stoi w porcie. Bogactwo, kasa, szpan? Tak. Ładne ciuchy i autko? Owszem. Ale bliskie relacje z rodzicami... Cóż...

– Co ma z tym wspólnego mój ojciec? – Strach i gniew odebrały mi głos, więc szeptałam.

– No nie wiem, Olka. Nie wiem... Policja zastanawia się, dlaczego twoi porywacze wleźli ci na chatę jak do siebie. Zamknęłaś drzwi, co nie? Powiedziałaś tak na przesłuchaniu.

– Tak było – potwierdziłam. Wirowało mi w głowie.

– A jednak śladów włamania ni chu-chu... – podsumował, całkiem odbierając mi chęć na powrót do domu.

– Czyli że co podejrzewają?

Poczułam, że całkiem rozluźnia uścisk. Ale już nie chciałam uciekać.

– Podejrzewają, że ktoś z twojej cudownej, bogatej rodziny miał w tym swój udział. Jaki? Nie mam pojęcia. W jakim celu? Też nie. Wiem tylko tyle: zanim znów coś ci się stanie, bo tak pewnie będzie, powinnaś spróbować pogrzebać w przeszłości rodzinki. Masz możliwości.

– Możliwości? – Chciałam, aby sprecyzował, co przez to rozumie. Oczywiście, odpowiedź utrzymał w dotychczasowym tonie.

– Mieszkasz z nimi? Może czasem wystarczy zapytać... To są właśnie relacje. Kojarzysz?

– Dlaczego policja tego nie sprawdzi? – Tym razem ja zignorowałam jego wywód. Odwróciłam się w jego stronę. Chciałam zobaczyć jego twarz. Ale panował mrok.

– Bo nie mają dostępu do sejfów, dokumentów, łódki starego, choć nad tym akurat pracują, ani domku nad jeziorem. Nie chcą ich wystraszyć, wyważając wszystkie drzwi naraz. W dodatku gdyby niczego nie znaleźli, daliby sprawcy czas na ulotnienie się. Zatrzymają ten sekret dla siebie, przynajmniej na razie. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Z nikim się tymi informacjami nie dziel. Bo i mnie wepchniesz na minę.

– Nie zrobię tego, obiecuję – zapewniłam go.

– Idę teraz – powiedział. – Poczekaj minutę, wyjdź i skieruj się

do mięsnego, jasne? – Nacisnął klamkę.

– Zaczekaj – poprosiłam. Do pomieszczenia wpadło trochę światła i świeżego powietrza. – Dlaczego to dla mnie robisz? – Przyjrzałam się mu. Pomyślałam, że znam tę twarz.

W odpowiedzi znów się zaśmiał. Równe, białe zęby błysnęły w półmroku na tle ciemnego zarostu.

– Bo fajna dupa z ciebie. Niezmiennie. – Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, jak takie słowa zabrzmiały w ciasnej, dusznej norze, z ust mężczyzny, którego nie kojarzyłam. Choć to zdanie jakbym już kiedyś słyszała... Po gwałcie podobne stwierdzenie było jak piekący policzek. On, niewzruszony, po chwili dodał: – Czego się spodziewałaś? Romantyzmu?

Pociągnął za drzwi i wyszedł. Odczekałam minutę, jak kazał, i sama też opuściłam pomieszczenie.

– Halo, proszę pani – usłyszałam za sobą.

Zignorowałam nieprzyjemny damski głos.

– Tu nie wolno wchodzić, halo! – nie ustępowała. – Chwileczkę – krzyknęła za mną.

Odwróciłam się z impetem.

– Wiem, okej? – wrzasnęłam. – Taki wielki sklep, ale toalety nie ma.

– To się w domu załatwia – odparła niewzruszona. Wielki kawał baby. Naprawdę wielki. Miała skrzekliwy głos, a to jej „halo” doprowadzało mnie do szału.

– Tak, tak. Komuna się skończyła – odpyskowałam.

W odpowiedzi usłyszałam tylko wymowne „pfff”. Cóż... To zawsze najlepiej działało na nieuprzejmy personel sklepu. Żadna z tych nadgorliwych nie chciała być kojarzona z poprzednim ustrojem. Szczególnie, że wszystkie spotykały się teraz w kościele, a nie na pochodach pierwszomajowych.

W alejce z napojami zastałam brata.

– Wygląda, że stanęłaś przed naprawdę trudnym wyborem! – powiedział z uśmiechem.

– Trudny... wybór? – Wciąż było mi duszno. Nie zrozumiałam, co miał na myśli.

– Popitka. Szukałaś czegoś szczególnego? Napoju z Yangmei albo śmierdzącego duriana? – nabijał się z mnie. – Zwykła cola wystarczy.

– Byłam na... mięsnym. Ale nie mogę. – Złapałam się na tym, że zamiast podłapać żart, bacznie mu się przyglądam.

– Stało się coś? – zaniepokoił się moim zachowaniem.

Spojrzałam mu w oczy, jakbym próbowała dojrzeć przez nie duszę. Nagle całe moje życie, właściwie nasze wspólne życie, stanęło mi przed oczami. Czy za porwaniem stał najukochańszy, najbardziej troskliwy brat, jakiego mogłam sobie wyobrazić? Jaki miałby w tym cel? Chodziło o majątek, tak? Najpierw matka, potem ja... Może jako prokurator wiedział, kogo i jak wynająć, by nikt się nie zorientował? Może zgodnie z tym, co mówiła matka, naprawdę utrudniał policji znalezienie nas obu. Najgorsze, że ten scenariusz, choć wydawał się zupełnie nieprawdopodobny, nie był niemożliwy. Ojciec przepisałby na niego cały majątek. Być może potem sam straciłby życie. Chyba że... mieli jakiś układ między sobą?

– Oliwka? – zapytał ponownie Witek. Teraz widziałam, że naprawdę się zdenerwował. – Chcesz jechać do domu?

– Chcę – odpowiedziałam, chociaż nie byłam już pewna, czy dom jest bezpiecznym miejscem.

– Mam to odłożyć? – zapytał, wskazując wzrokiem ręce pełne zakupów. Zastanowiłam się. Znów mu się przyglądałam.

– Nie, nie zmieniamy planów – odparłam po chwili. Zdecydowałam, że jeśli mam się tym zająć, muszę być na miejscu. Trzymać rękę na pulsie. W końcu nie mogą wiecznie udawać, a prawda zacznie im doskwierać. A wtedy... No właśnie, co wtedy?

– Jak sobie życzysz. – Zmierzył mnie wzrokiem. Może uznał, że powinnam dać sobie jeszcze czas na powrót do normalności, spotkań z ludźmi i wychodzenia do sklepu.

Kiwnęłam głową. Moje samopoczucie rzeczywiście odbiegało od normy. Nieważne, z jakiego powodu. Zgodziłam się z nim. Chciałam jak najszybciej znaleźć się z dala od ludzi. Chociaż wiedziałam, że w domowym zaciszu może czaić się nowe zagrożenie, któremu będę musiała stawić czoło.

Wieczór nadszedł dość szybko, może nawet za szybko. Udało mi się złapać Tomka, a on chętnie przystał na spotkanie. Pomyślałam, że naprawdę się martwi i chce sprawdzić, co u mnie. Miałam nadzieję, że mu się nie spodobałam, bo trudno mi było teraz myśleć o odwzajemnianiu czyichkolwiek uczuć. Poza tym gdy wyjawiał, kim jest, uświadomiłam sobie, że choć myślałam o nim jak o moim aniele stróżu, tak naprawdę był prawnikiem broniącym przestępców. Takich samych jak ci, którzy mnie porwali. Dla czystego zysku. A ten zysk widać było we wszystkim: w tym, co ze sobą przyniósł, i w tym, co miał na sobie.

– Jak się czujesz? – zagał tak jakoś lekko.

Pomyślałam, że zapytał, bo tak wypada, bo jest dobrze wychowany i ma klasę. Ale czy rzeczywiście chciał wysłuchiwać moich zwierzeń?

– Nie odbierz tego źle, ale i tak nie zrozumiesz – odparłam machinalnie, myśląc o napadzie strachu w sklepie.

– Przepraszam, nie chciałem być natarczywy.

– Nie byłś.

Oczywiście, od razu poczułam wyrzuty sumienia. Cały dzień czułam się nieswojo w domu. Staralam się nie patrzeć na każdego jak na wroga i nie doszukiwać się nienaturalnego zachowania. Ale im bardziej mi na tym zależało, tym więcej nieprawidłowości dostrzegałam. Paranoja!

Po powrocie zastanawiałam się nad porannym zdarzeniem na zimno. Matka nie odzywała się od wielu dni. Nie chciała rozmawiać z policją.

Może i jej powiedziano to, co sama dziś usłyszałam. W jej przypadku upatrywanie nieprzyjaciela w każdym, kto choćby raz miał z nią styczność, było nieodłączną częścią paskudnego charakteru. Jeśli ktoś powiedział jej to samo, co informator, który mnie znał, Teresa mogła mieć za wroga i mnie. Ja również rozważałam jej udział w moim porwaniu. I o to chodzi. Może ktoś chciał nas skłócić? Jaki miałby w tym cel? Ani matka, ani ja nie straciłyśmy życia podczas porwania. Napastnicy mieli nas zastraszyć. Skoro nadal żyłyśmy, to może ich plan polegał na tym, że wkrótce sami się powyrzynamy? Chociaż taka myśl przeszła mi przez głowę, trudno było patrzeć na domowników tak, jak dawniej. Wszystko zdawało się nienaturalne i udawane. Ot, choćby zachowanie ojca...

Julian, który zazwyczaj nie odrywał się od komputera, zszedł do ogrodu, w którym siedzieliśmy. Jak gdyby robił to codziennie, otworzył piwo i dołączył do naszej czwórki.

– Cześć. – Wyciągnął rękę do Tomka. – Julian, ojciec Oliwii.

– Dobry wieczór. – Tomek był odważny i pewny siebie. Wymienili uściski dłoni.

Julian przywitał się jeszcze z dziewczyną Witka i usiadł przy stole. Milczał. Był typowym informatykiem, specem od programów, których napisanie wymagało niezwyklej wiedzy i umiejętności. Jeśli znalazł pokrewną duszę, potrafił nawet wykrzesać z siebie kilka zdań. Na tym jego komunikacyjne się kończyły. Od samego początku istnienia firmy, kiedy pracowali tylko we dwóch z partnerem, który dziś także był majątnym współwłaścicielem ich intratnej spółki, robił wyłącznie to, co nie wymagało kontaktu z ludźmi. Dlatego zasłonił się piwem oraz jakąś przekąską i starał się nie rzucać w oczy. I tak zdziwiło mnie, że w ogóle dołączył do imprezy.

Dosiadłam się do niego, bo nie chciałam, by był sam.

– Co słysząc, tato? – zapytałam, jakbyśmy nie widzieli się od tygodni. A może właśnie tak było. Spotkania przy stole i ciche kolacje nie były przecież równoważnikiem normalnych konwersacji.

– Nic, o czym byś nie wiedziała – odparł i mrugnął porozumiewawczo.

Teraz dopiero zobaczyłam, jak bardzo stres ostatnich dni odbił się na jego kondycji. Dawno mu się nie przyglądałam i miałam wrażenie, że postarzał się w ciągu tygodnia. Patrzyłam na tę szlachetną i dobrą twarz, ale gdzieś z tyłu dochodził cichy, wewnętrzny głos, powtarzający w kółko słowo: „hangar”.

– A ty, kochanie? Jak się czujesz? – wyrwał mnie z zamyślenia.

– Chyba już lepiej – odpowiedziałam.

– Jak w klinice? Nadal masz problemy? Może potrzebujesz wsparcia?

– Nie – zaprzeczyłam. – Sama się z tym uporam. Jestem na dobrej drodze – dodałam.

– Postanowiłem kupić psa. I założyć zamek elektryczny w bramie – zmienił nagle temat. Obiecywał co jakiś czas, że zajmie się tą bramą. Ale stara willa, w której mieszkaliśmy, i ten wiekowy, metalowy płot tworzyły pewną romantyczną aurę rodem z angielskich filmów kostiumowych, z której nie potrafił zrezygnować. Przynajmniej do niedawna. – Powinienem był...

– Nie mogłeś tego przewidzieć. I to nie wina bramy. Ani braku psa – przerwałam mu i chwyciłam za dłoń.

Niestety, słowo „hangar” oraz fakt, że drzwi były otwarte, choć na pewno je zamknęłam, nie dawały mi spokoju.

– Jest mi strasznie przykro. Uwierz mi...

– Tato, nie musisz – znów przerwałam, ale on nie chciał przestać. Nie zważając na to, jak ja się z tym czuję, kontynuował:

– Robiliśmy wszystko, by cię znaleźć, jak matkę. Kiedy zniknąłeś, spanikowałem...

Odnosiłam wrażenie, że się nakręca. Rozmowa pozostałej trojki nieco przycichła, bo Julian mówił coraz głośniej. Poczułam się skrępowana.

– Tato, proszę, czy możemy o tym porozmawiać jutro? – spróbowałam

raz jeszcze.

Rozumiałam, że ma wyrzuty sumienia, ale to przykre, że mówi o tym teraz, kiedy sam uważa za stosowne, kiedy ma czas. Bo gdy ja proponowałam rozmowę, także jako psycholog, zawsze musiałam czekać, aż znajdzie czas dla mnie. Miałam zawsze naginać się i dostosowywać do jego potrzeb. Nawet dziś. W takiej sytuacji.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała. Zrobiłbym wszystko... oddałbym własne życie... – Jego głos lekko się załamał. A ja, niewiele myśląc, postanowiłam to bezlitośnie wykorzystać. Przecież chodziło o moje życie.

– Powiesz mi coś? – zapytałam, a on w odpowiedzi kiwnął głową. – Jak się poznaliście z mamą? Nigdy o tym nie mówisz.

I wtedy zapadła cisza. Tomek, Daga i Witek patrzyli na mnie. Ojciec też wbił we mnie wzrok. Na jego twarzy mieszały się szok, niepewność i jakby... odraza. A może źle to odczytałam?

– Skąd... to pytanie? – Aż stracił dech. Zmiana tematu mogła być zaskakująca. Ale takie emocje?

– No wiesz. Fajnie by było poznać tę, zapewne romantyczną, historię. Rzadko rozmawiamy... – Nie wiedziałam, jak usprawiedliwić swoje nagłe zainteresowanie. Ale jak inaczej miałabym zacząć? Rodzinne sekrety? Hangar na łódzie?

– Nie ma w niej ani krzty romantyzmu – odparł zimno. Nie żartem, jak to zwykli odpowiadać mężczyźni z ponad trzydziestoletnim stażem w małżeństwie. Tylko bardzo poważnie i tak... niemiło.

– Skoro wytrzymaliście ze sobą przez tyle lat, to chyba coś musiało w tym być? – Ja z kolei chciałam rozluźnić atmosferę. Wysiliłam się więc na żart, z którego jednak nikt z zebranych się nie zaśmiał.

– Musieliśmy – chrząknął – wytrzymać. I tyle.

– To znaczy, że jestem niechcianą ciążą, tak? – znów starałam się obrócić w żart jego słowa. – Takim jajkiem niespodzianką? Ale Witek to już chyba z miłości, co? Tak się mówi. Pierwsze z przypadku, drugie

z miłości.

– Mówi się, że pierwsze z konieczności – poprawił mnie Witek i upił łyk piwa.

Może już kiedyś o to ojca zapytał i wiedział, jak to się skończy. Był tak poważny jak Julian. A reszta poczuła się chyba mocno nieswojo. I to przez nas. Biedny Tomek...

– Ani z konieczności, ani z przypadku. – Ojciec także wypił i to dużo naraz. Odstawił butelkę. Wbił we mnie lodowate spojrzenie. – Ani z miłości – powiedział, wstał, przyglądał się spodnie. – Dobranoc – pożegnał się i wszedł do domu, zostawiając nas w osłupieniu.

Nie wiedziałam, jak powinnam się z tym czuć. Być może wbiłam mu szpilę (choć nie miałam zamiaru), ale on także próbował leczyć wyrzuty sumienia w nieodpowiednim momencie. Długo się nie zastanawiałam. Wstałam i ruszyłam za nim.

– Zaraz wracam – rzuciłam na odchodne. – Bawcie się.

Ruszyłam za ojcem szybko, ale gdy tylko weszłam do domu, zwolniłam. Uspokoiliam oddech i odczekałam chwilę. Po cichu podążyłam za nim do jego gabinetu. Usłyszałam, jak zamyka drzwi. Starając się nie nadepnąć na żadną z wyrobionych, skrzypiących desek prawie stuletnich schodów, dotarłam na ich szczyt. W holu na górze leżał gruby chodnik. Bezgłośnie przeszłam pod drzwi gabinetu ojca i przystanąłam pod nimi. Przyłożyłam ucho do zimnej, drewnianej płyty i słuchałam. Przez moment w pomieszczeniu panowała całkowita cisza.

Kiedy mieszka się w jakimś miejscu od trzech dekad, zna się jego każdy dźwięk. Domy, mieszkania, a nawet konkretne pomieszczenia „mówią”. Jak klamka na dole, przy drzwiach prowadzących do kuchni, która po naciśnięciu na nią wydawała serię pisków, lub zawiasy drzwi do loggii na piętrze, wyjące wniebogłosy nawet po naoliwieniu. A tutaj – ulubiony fotel Juliana, towarzyszący mu od dziesięciu lat. Gdy ojciec się z niego podnosił, mebel wydawał odgłos ulgi. Nie dało się go pomylić z żadnym

innym. Julian wstał, a kilkanaście sekund później wystukiwał na klawiaturze kod do sejfu ukrytego za obrazem, który namalował dla niego mój wujek. Mrocznym i odpychającym. Może dlatego dawno temu ojciec postanowił za nim ukryć sejf. Chyba sądził, że nie mam pojęcia o jego istnieniu. Kilka lat temu wymienił w nim zamek na elektroniczny. Owszem, nie znałam kodu, ale o istnieniu skrytki wiedziałam od najmłodszych lat. Dziecko jest jak woda. Dostanie się wszędzie, do każdego zakamarka, i to niepostrzeżenie. Pamiętam, jak stałam za tymi drzwiami. Miałam może sześć lat. Ojca odwiedził znajomy, który chyba nawet mi się podobał. Był wysoki, miał ładny głos i to tyle z moich wspomnień na jego temat. Dziecięca ciekawość zawiodła mnie pod te drzwi. Gość ojca wkrótce opuścił gabinet, a ja schowałam się za komódką. Kiedy znajomy wyszedł, odprowadzony przez jeszcze wówczas młodą panią Czesię, znów przyłgnęłam do uchylonych drzwi gabinetu taty. Wtedy odkryłam sejf, do którego Julian wsunął plik banknotów. To były dolary; mimo że PRL już nie istniała, ojciec najwyraźniej wciąż miał stare odruchy. Choć dziś kliknięcia w guziki z cyferkami mogły przypominać dźwięki pralki czy mikrofalówki, to młaśnięcia zamka ciężkich drzwi sejfu nie dało się z niczym pomylić. Wniosek był prosty. Po rozmowie ze mną wstrząśnięty Julian otworzył sejf. Teraz szeleścił jakimiś kartkami. Nie był to jednak szelest papieru do drukarki czy cichy szum przeczesywanego pliku banknotów, a czegoś umieszczonego, jak sobie wyobrażałam, w teczce, przeglądanego powoli i ostrożnie. Nietypowe zachowanie, a nawet niepokojące. Gdy tylko ojciec zamknął sejf i zakrył go obrazem, na palcach przebiegłam do położonej obok biblioteki i nie włączając światła, wstrzymałam oddech. Po kilku minutach zdecydowałam się wrócić do gości na dole. Gdy wychodziłam, na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Stała w nich Teresa, otoczona kłębam dymu z papierosa.

– Mamo – powiedziałam cicho, by Julian mnie nie usłyszał.

– Nie bawisz się na dole? – zapytała, jak zwykle tonem, który zdradzał

zupełny brak zainteresowania odpowiedzią.

– Właśnie wracam... – Pokazałam kciukiem drzwi własnego pokoju.

W normalnych (choć już ustaliłam, że to słowo nie pasuje do mojego domu) okolicznościach Teresa powiedziałaby coś w rodzaju „mhm” i schowała się w swoim królestwie. Ale tym razem tego nie zrobiła. Po prostu patrzyła. Jej twarz podświetlała od dołu niewielka lampka na biurko, co dodawało obliczu demoniczności. Odprowadzona tym spojrzeniem, dotarłam do schodów, pocąc się po drodze jak szczur. Teresa nie zamknęła drzwi, a przynajmniej tego nie zauważyłam. Weszłam do ogrodu poruszona, co od razu zauważył Tomek.

– Wszystko w porządku? – zapytał ze szczerą troską.

– Tak – odparłam. Właśnie zdecydowałam, że nad jezioro wyruszę szybciej, niż myślałam.

VII

Podziurawiona droga dokuczała od piętnastu minut. Przez pierwszą godzinę jechało się dobrze. Potem hałas w samochodzie osiągnął zdecydowanie szkodliwy poziom. Mimo to nie zwolniłam tempa.

Z domu wyjechałam, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować. Wciąż szumiało mi w głowie. To chyba nawet nie był jeszcze kac, a ciągle stan lekkiego upojenia alkoholowego. Wiedziałam, ile ryzykuję, ale nie byłam w stanie dłużej przebywać z rodziną.

Po niemal półgodzinnej męczarni skręciłam w leśną, średnio utwardzoną drogę. Średnio... Nie to, że koła grzęzły w ziemi, ale gdyby znów zaczęło padać, mogłabym mieć poważne problemy. Tutaj przynajmniej skończyły się dziury, choć trzeba było uważać na wystrzeliwujące spod kół kamienie. W oddali zobaczyłam jezioro. Jego tafla skrzyła się w słońcu tak jasno, że nawet w przeciwsłonecznych okularach musiałam mrużyć oczy. W niewielkiej odległości od wody ukazał się dom. Wjechałam na resztki zaniedbanego podjazdu i wyłączyłam silnik. Wysiadłam z auta, by otworzyć bramę wjazdową, która zarosła przez ostatnie trzy miesiące. Czyli od czasu, gdy odwiedziłam to miejsce po raz ostatni.

Rozsunęłam wrota i wjechałam w zarośniętą trawą drogę. Podprowadziłam auto pod leszczynę, pod którą zazwyczaj je zostawiałam. Udeptując trawę, już planując pierwsze w tym roku koszenie, dotarłam do drzwi chaty. Otworzyłam je i jak zawsze trochę się załamalam. Od kilku lat dom odwiedzałam tylko ja. A więc i ja go sprzątałam. Za każdym razem, gdy wracałam po dłuższej nieobecności, zastanawiałam się, skąd te tumany kurzu, które pokrywały wszystko, od podłogi po górne półki mebli. Nie wspominając o pajęczynowych osiedlach przy suficie.

Ojciec nie wynajął nikogo do pilnowania tego miejsca, licząc, że będę go regularnie doglądać. Nie darzył go żadnym sentymentem, choć kiedyś lubił tu przebywać. Po czasie zrezygnował z wakacji nad jeziorem. Powtarzał tylko, że jeśli kiedyś będę potrzebować pieniędzy na remont, chętnie mi je da. Pod warunkiem, że potem sprzedam tę piękną, drewnianą chatę, którą tak lubiałam. Mój azyl...

Zaraz po tym, gdy weszłam do domu i zdążyłam ocenić ogrom pracy, która mnie czeka, zadzwonił telefon. To był Witek.

– Nie ma mnie – powiedziałam na głos.

Nie chciało mi się rozmawiać. Mróz i Sikora zapowiedzieli kolejną wizytę. Z nimi też nie miałam ochoty gadać, przynajmniej na razie. Przyjechałam tu, żeby nabrać dystansu i przygotować się na dalszą część zeznań.

W moim drewnianym azylu, nawet jeśli kurz utrudniał oddychanie, czułam się jak u siebie. Tak całkiem u siebie, bez dzielenia przestrzeni z rodziną. Zawsze lubiałam tutejszy klimat. Niewielka chata z małym stryżkiem witała gości datą wypaloną w drewnie i umieszczoną nad drzwiami do salonu połączonego z kuchnią: 1927. Poczynając od pierwszego wolnego miejsca obok tablicy, każdą ze ścian domu zdobiły czarno-białe zdjęcia. Moja matka niegdyś robiła ich wiele. Ale ta pasja zniknęła, jak każda inna. Fotografie, które pozostały w domu, były naprawdę dobre. Szkoda, że Teresa miała słomiany zapał. Zapała się w życiu tylko raz. Wtedy, kiedy odmówiła zeznań.

Dla pierwszych właścicieli budynek ten był domem rodzinnym. Po wojnie, z racji ładnego położenia, gdy przeszedł w ręce rodziców mojego ojca, a potem jego samego, stał się domkiem nad jeziorem, wyłącznie letniskowym. Stare, pociemniałe deski stęknęły, a kurz wzbił się w powietrze, tworząc gwiazdne refleksy w promieniach wpadającego przez okno słonecznego światła. Rozejrzałam się. Przyjeżdżałam tu ostatnio tak rzadko, że zawsze coś zdawało się być nie na miejscu. Przetawiłam wazon,

odwróciłam stół, wymieniłam firanki. A potem tego nie pamiętałam. Mój narzeczony nie lubił tego domku i zapewne tylko w tym jednym zgadzał się z moim ojcem. Postanowiłam zmienić częstotliwość wizyt nad jeziorem. Obiecałam sobie, że już nigdy nie dopuszczę, by zamiast pięknego zapachu drewna w progu witały mnie tumany kurzu.

Wyjrzałam przez kuchenne okno. Wychodziło na wschód, co gwarantowało energetyzujące poranki i wyciszające popołudnia. Delikatny szum wody za oknem, śpiew ptaków, rechot żab, szelest liści i od czasu do czasu traw pod łapami czegoś większego od wiewiórki za każdym razem sprawiały, że uświadamiałam sobie, jak niewiele znaczę w obliczu tych wszystkich istnień wokół. Zlewanie się z naturą od wieków uznawano za naturalną terapię dla zdrowia duszy. Dlatego gdy w tej ciszy-nieciszy po raz kolejny zadzwonił telefon, najpierw podskoczyłam ze strachu, potem zaczęłam się spazmatycznie śmiać, a następnie odrzuciłam rozmowę i wyciszyłam dzwonek. Postanowiłam wysłać Witkowi wiadomość, żeby przypadkiem nie wzywał policji. W końcu już raz mnie porwano.

Pojechałam już dziś. Proszę, uszanuj to i daj mi kilka dni. Zadzwoń.

Nie odpisał. Obraził się. Nie sądziłam, by pomyślał, że coś mi grozi, bo przecież rozmawialiśmy wcześniej o moich planach. Miałam nadzieję, że nie jest zamieszany w to, co mnie spotkało. Bo jeśli by tak było, znalazłabym się w potrzasku. Tylko on wiedział, gdzie mnie szukać.

Jeszcze w mieście zrobiłam po drodze zakupy. Ominęłam market szerokim łukiem i zajrzałam do niewielkiego sklepu na osiedlu, otwartego od szóstej rano. Potem pojechałam prosto nad jezioro. Wiedziałam, że zapasów wystarczy mi góra na trzy dni i czeka mnie wizyta we wsi obok. Ojciec zawsze robił zakupy jak dla wojska, przez co rzadko zaglądał do położonych nieopodal sklepów. Towarzyszyłam mu może dwa, trzy razy. Później zaglądałam tam sama, ale i mnie przestało ciągnąć do tej sennej i nudnej osady, w której największą rozrywkę stanowił automat

do lodów.

Póki co, kilkukilometrowa wycieczka do wsi mogła poczekać. W mieście zakupiłam nawet dwie butelki czerwonego wina, takiego *château de* produkcja maszynowa, rocznik środa. Ale trudno się spodziewać czegoś rasowego po osiedlowym sklepiku. Plan na wieczór uważałam więc za domknięty. Teraz należało uwierzyć, że wreszcie nadeszło lato.

Chciałam tylko leżeć i wygrzewać się w słońcu. O bale starego, niezbyt bezpiecznego pomostu uderzały drobne, zielone fale jeziora. Nade mną słońce przedzierało się przez korony gęstych drzew, tworząc na spróchniałych, szarych deskach ruchomą mozaikę. Z książką w ręku, starałam się zapomnieć o problemach, które zostawiłam w mieście. Uczucie niepokoju rosło we mnie jednak z każdą minutą tego pozornego wypoczynku. Zdawałam sobie sprawę, że nie będzie łatwo uporać się z sytuacją, w której się znalazłam, w ciągu kilku godzin... Po trzech kolejnych rozdziałach, które nie przyniosły mi radości z czytania, wskoczyłam do zimnej wody.

Wieczór przy winie był kolejnym poważnym problemem, z jakim przyszło mi się zmierzyć. Czytanie w stresie sprawiło, że butelka zniknęła w czterdzieści minut. W picciu towarzyszyły mi komary, dla odmiany pijące bez opamiętania ze mnie. Obsesyjnie aplikowałam więc kolejne dawki śmierdzącego środka z witaminą B przeciwko robactwu. Zawsze żartowałam, że opędzam się nim od Teresy. Po godzinie, mimo liczego towarzystwa krwiopijców, uznałam, że czuję się samotna. Dobiło mnie to na tyle, że postanowiłam położyć się spać. Zawiana, wdrapałam się do sypialni na poddaszu. Wyjęłam pościel z komody i zataszczyłam na łóżko. Nawet nie powlekając, zawinęłam się niedbale w to, co cisnęłam na zakurzoną narzutę, i zasnęłam w okamgnieniu. Zdążyłam jeszcze pomyśleć, że jednak ciągnie mnie do cywilizacji... Taki ze mnie mieszczech.

Następnego dnia, choć zapasów w lodówce było w bród, wbrew

wcześniejszym planom postanowiłam zajrzeć „do wsi”.

Od czasu, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, owa „wieś”, która funkcjonowała w naszym domowym nazewnictwie, rozrosła się do rozmiarów małego miasteczka – turystycznej enklawy. Już nie tylko my mieliśmy domek letniskowy nad jeziorem (choć wcióż jeszcze na odludziu). Po drugiej stronie niegdyś sennej miejscowości powstało całe osiedle domków, wynajmowanych w sezonie, od maja do późnego października. Dziś miejsce to tętniło życiem. I na tym polegał problem. Nastawieni na imprezowanie po ciężkiej pracy turyści przechadzali się po długiej ulicy, przy której usytuowana była większość sklepów i, jak się okazało, także barów i cukierni. W oddali, ponad gęstą zabudowę domów, których także i w centrum przybyło, wystawała wieża kościółka z osiemnastego wieku. Nigdy do niego nie zaglądałam, ale sam widok lubiłam. Moja tęsknota za cywilizacją miała w ciągu godziny obrócić się przeciwko mnie.

Po jakimś czasie każdy turysta płci przeciwnej zaczął napawać mnie lękiem. Przypadkowy ojciec rodziny, przechodząc obok rozkopu, otarł się o mnie. Jęknęłam z obrzydzenia. Zrobiło mi się duszno. Poczulałam mrowienie w okolicy ust, a do tego doszły mdłości. Oparłam się o ścianę. Nieznajomy i jego rodzina zatrzymali się, osłupiali.

– Wszystko w porządku? – zapytał nieświadomy winowajca.

Nie dotknął mnie, ale odruchowo machnęłam ręką, jakbym chciała się od niego opędzić.

– Tak, tak... Dziękuję – odparłam szybko, by nie wzbudzać sensacji. Czulałam na sobie jego wzrok, gdy odchodził.

Niby wiedziałam, że nie każdy mężczyzna chce mnie skrzywdzić. Mimo to odczuwałam ich bliskość jak niebezpieczeństwo, a najmniejszy kontakt jak uraz. Poprzedniego dnia policyjny informator swoim atakiem o mało nie przyprawił mnie o zawał. Dziś także bałam się każdego. Wiedziałam już, że chęć powrotu do cywilizacji była głupotą. W końcu po to uciekłam,

by od niej odpocząć.

Ojciec nie chciał nas tu zabierać. Ani mnie, ani Witka. Tłumaczył, że idzie na nudne spotkanie lub jeszcze mniej ciekawe zakupy. Kazał nam za to korzystać z uroków lasu i jeziora, trochę zmuszając nas do kontaktu z naturą. Posłusznie wykonywałam jego polecenia, dopóki nie zaczęłam oglądać się za chłopakami. A gdzie ich znaleźć podczas wakacji, jeśli nie tu? Czasem, gdy Witek nie zapraszał do domku swoich przyjaciół, wymykaliśmy się z chaty wcześniej rano i szliśmy tutaj. Musiałam zabierać go ze sobą, bo inaczej skarżył na mnie rodzicom. Wolałam to niż opłacanie jego milczenia z kieszonkowego. Szybko jednak poznaliśmy się na tutejszej społeczności, która odstawała od naszego stylu życia.

Potem w ogóle zrezygnowałam z wyjazdów nad jezioro. Spędzałam czas z przyjaciółmi i na zagranicznych wakacjach w ciepłych krajach. Wróciłam tu dopiero wtedy, gdy rodzice całkiem porzucili leśny domek. Doceniłam jego uroki i zabierałam do niego poznanych w mieście chłopaków. Później jeździłam tu z narzeczonym. Ale wyszło, jak wyszło... Wtedy właśnie zimna woda z jeziora uleczyła moje rany. Zaraz po zerwaniu i wprowadzeniu się z powrotem do rodziców zaczęły się między nami tarcia. Oni zdążyli się odzwyczaić od tego, że kręcę się po domu. Szczególnie matka załazła mi za skórę. Po kilku dniach przyjechałam tutaj i spędziłam piękny, zimowy tydzień. Widok z okna na czarną tafłę wody i ośnieżone drzewa przywodził na myśl norweskie samotnie. Wystarczyło sięgnąć, bez wycieczek samolotem i nocowania w hotelu. Godzina drogi od miasta. Postanowiłam wtedy, że tu spędzę starość. Bo starość w takim miejscu jest jak druga młodość. Kolejny tom życia, które można zacząć od nowa. Dziś nadal tak myślałam. Ale aby dożyć owej starości, należało pozbyć się głębokiej traumy. Postanowiłam nad tym popracować.

Weszłam do sklepu, w którym pracowała ładna i miła pani po pięćdziesiątce. Ucieszyłam się, że to sprzedawczyni, a nie sprzedawca. Kupiłam wszystko, czego potrzebowałam, a wiejski sklep okazał się być

lepiej zaopatrzony niż mój na osiedlu, gdzie dostałam tylko kiepskie wino, po którym wciąż czułam ciężar w żołądku. Kiedy pożegnałam się z przemiłą ekspedientką, wymieniwszy uwagi na temat pogody tego lata, zadzwonił telefon. Witek najwyraźniej nie zrozumiał, że chcę być sama. Nie odebrałam.

Zadzwonił ponownie, gdy jadłam lody w pobliskiej kawiarence. Nadal nie zamierzałam odbierać. Lody w takim miejscu smakują inaczej. Zimą wspominamy ich smak i czujemy ciepło letnich dni. Nie chciałam sobie psuć przyszłych wspomnień wysłuchiowaniem jego pretensji. Potem brat na jakiś czas odpuścił. Odezwał się znów, gdy objuczona zakupami, wśród których znalazł się nawet parasol ogrodowy w paskudnym zielonym kolorze, próbowałam odnaleźć klucz w plecaku. Nawet nie byłabym wtedy w stanie wyciągnąć telefonu. Zresztą nie chciałam. Weszłam do domu i rzuciłam pakunki w kuchni. Po tej stronie słońce miało pokazać się dopiero jutro rano. W zależności od nastroju, przyjemnie jadło się zarówno w tej ciemnej już teraz kuchni, jak i na ustawionej po drugiej stronie domu ławie ogrodowej. Przygotowałam sobie spory posiłek. Porcja dla dwóch osób. Ostre powietrze wzmagало apetyt. Miałam zamiar sama siebie zaprosić na kolejną zakrapianą winem kolację.

Wyniosłam się z ucztowaniem na zewnątrz. Głównym daniem była sałatka. Czułam się jak na wakacjach i nie miałam zamiaru pichcić. Usmażyłam jedynie grzanki. W domku nie było toster, a nie łudziłam się, że uda mi się rozpalić grill. Rozłożyłam na stole kilka chrupiących dodatków, deskę fantazyjnie ułożonych serów i ogórki małosolne, które pięknie zapachniały mi w sklepie. Na koniec odkorkowałam wino, dużo lepsze niż to z poprzedniego wieczoru. Brakowało tylko eleganckiego kieliszka, ale skoro nie było toster, to trudno, żebyśmy znalazła tu taki wynalazek. Wlałam nieco szlachetniejsze chateau do zwykłej szklanki i rozsiadłam się przy stole. Kiedy uniosłam „puchar” w niemym toaście za – mimo drobnych nieporozumień – najlepszy dzień w moim życiu, telefon

zadzwoił po raz kolejny. I tym razem mnie wkurzył. Zostawiłam go w kuchni. Uporczywy, przenikliwy dźwięk świdrował uszy. Wstałam od stołu i ruszyłam z powrotem do domu. Postanowiłam wygarnąć bratu brak taktu i zrozumienia dla moich potrzeb. Kiedy dotarłam do celu, okazało się, że tym razem dzwonił Tomek. Coś mnie tknęło i odebrałam.

– Halo? – Czułam, że mój głos brzmi bojowo.

– Hej. A co to za nastrój? – Tomek od razu mnie wyczuł.

– Staram się wyciszyć, a od rana mam telefony... – fuknęłam.

– O, to przepraszam. Może zadzwonię później? – zapytał uprzejmie.

Im więcej z nim rozmawiałam, tym bardziej odnosiłam wrażenie, że to kompan nie dla mnie. Sztywny taki... Nie wiem. Ale niewidzialna siła, która zrodziła się wówczas, kiedy znalazł mnie nagą i pobitą, trzymała mnie przy nim tak, że nie mogłam się od niego uwolnić. Nie miałam przed nim tajemnic, a przynajmniej tak czułam.

– Nie, przepraszam. Nie miałam na myśli ciebie. Skąd miałeś wiedzieć, że to mój dzień zapomnienia?

– I jak idzie zapominanie? Nie licząc wtargnięć w twój odpoczynek?

– Dobrze.

Wyjrzałam przez okno na suto zastawiony stół i omal nie jęknęłam z żalu. Za nic w świecie nie chciałam tam zabierać elektronicznych kajdanek. Postanowiłam dokończyć rozmowę tutaj.

– Policja była dziś u mnie. W twojej sprawie.

– Jak to zniosłeś? – zapytałam. Chociaż... do kogo z takim pytaniem? Do adwokata?

– Normalnie – odparł zgodnie z moimi oczekiwaniami.

– No tak... – Pokręciłam głową z dezaprobatą dla własnej ignorancji.

– Opisałem tamten poranek, ale nie sądzę, żebym jakoś szczególnie pomógł.

– To może mi pomożesz? – palnęłam i znów złapałam się za głowę.

Język najwyraźniej zaczął wakacje jako pierwszy i paplał, zanim głowa to przemyślała.

– Jak? – zapytał przymilnie. Niestety, nie o to mi chodziło. Ale jak miał odebrać moje pytanie, jeśli nie jako propozycję randki? Chrząknął, gdy się zorientował. – Jak? – poprawił tembr głosu.

– Nie tak, jak pomyślałeś – wyjaśniłam, żeby wszystko było jasne.

– Rozumiem – odrzekł spokojnie. Miał to opanowane. Nie z takich sytuacji potrafił wybrnąć, gdy reprezentował ludzi z półświatka.

– Czy jest szansa... – zaczęłam, uważnie dobierając słowa.

– Tak?

– Czy jest szansa, żebyś tu przyjechał?

– Tu? To znaczy gdzie? – zdumiał się.

Przed chwilą ostudziłam jego nadzieje na randkę. Zdziwienie było szczere. A już zaczęłam podejrzewać, że nasłał go Witek, który nie mógł się dodzwonić. Nie wiem dlaczego, w ogóle nie przeszło mi przez myśl, że mógłby być kimś niebezpiecznym. Że kiedy mnie wtedy znalazł, mogło to nie być dziełem przypadku. Że może nie mieć dobrych zamiarów, a wszystko, co robi, jest pewną formą kontroli nad tym, co i komu mówię. Nie pomyślałam o tym. Zaufałam mu.

– Jestem teraz nad jeziorem, w domku letniskowym. Wyślę ci esemesem adres cukierni we wsi. To niedaleko, godzinkę jazdy od miasta. Mógłbyś przyjechać jutro? – Tak naprawdę chciałam, żeby wskoczył w auto i był tu za godzinę, ale wiedziałam, że jeśli zgodzi się na jutro, to będzie cud.

– Cóż, mógłbym... Masz domek nad jeziorem? – zainteresował się, a to już zaczęło mnie niepokoić.

– Nie, należy... do koleżanki – skłamałam. – Kobięca solidarność zawsze objawia się w potrzebie – szyłam. Zaczęłam się zastanawiać, jakie szanse ma psycholog w starciu z wyszkolonym w odróżnianiu kłamstwa od prawdy prawnikiem.

– Pewnie, że przyjadę. – Zdawał się cieszyć z możliwości wkroczenia w krąg wtajemniczonych. – Z ogromną chęcią. Sprawdzę tylko kalendarz...

– Proszę, jeśli to możliwe, porzuć kalendarz i po prostu tu bądź – powiedziałam poważnie.

Być może zorientował się, że z nim pogrywam, ale widocznie nie miał nic przeciwko temu. Ja natomiast wpadłam na ciekawy pomysł już wtedy, gdy poprosiłam go o pomoc. Nie wiedziałam, czy się zgodzi. Miałam się o tym przekonać następnego dnia.

– Dobrze. – Tomek zapewne odczytał to typowo po męsku. „Chce, żebym przyjechał. Potrzebuje mnie”.

– Dziękuję. Do jutra – pożegnałam się. Było mi obojętne jak to zrozumiał. Ufałam mu i zakładałam, że nie mam się czego bać.

Wróciłam do stołu, który przygotowywałam wcześniej przez pół godziny, i stwierdziłam, że nie jestem już głodna. Nowy pomysł, uporczywa myśl karmiła mnie od kilku minut. Zupełnie jak wczoraj stres, kiedy zamiast czytać książkę, piłam wino jak oranżadę i nie stroniłam od orzeźwiających kąpeli. Wiedziałam, że tego wieczoru czeka mnie powtórka z rozrywki.

Dzień znów był pochmurny. Siedziałam pod parasolem z logo marki lodów, których już dawno nigdzie nie sprzedawano. Parasol jednak został. W takim miejscu nic się nie marnuje. Lekko wiało, a „żaglowa” konstrukcja skrzypiała niepokojąco. Ale skoro wytrzymała tyle lat, nie sądziłam, bym to właśnie ja miała paść jej ofiarą.

Czekałam na Tomka, który miał się pojawić za piętnaście minut. Jak zawsze wolałam być wcześniej i przemyśleć strategię rozmowy. Kupiłam dzbanek lemoniady i napełniłam nią dwie szklanki. Podjechał kilka minut później, równo o czasie. Nie wiem, jak w jego oczach przedstawiałam się ja, pod smutnym, skrzypiącym i wyblakłym parasolem, bo on... Gdy zaparkował przy ulicy swojego dodge’a chargera i wysiadł z niego dumny, wyprostowany i dystyngowany, prezentując drogi, idealnie skrojony

garnitur od Hugo Bossa, miał na wyłączność wszystkie spojrzenia we wsi. Nie było osoby, która by go nie zauważyła. Od mdlejących na jego widok pań za ladami sklepów i lokali, po zazdrosnych, wytatuowanych osiłków, udających brak zainteresowania, w rzeczywistości rzucających mu ukradkowo nienawistne spojrzenia. Czekałam, aż się dosiędzie i na zawsze odmieni przyjazne dotąd nastawienie sprzedawczyń do mojej osoby.

– Cześć – powiedział już z daleka.

Wstałam i pozwoliłam mu pocałować się w policzek.

– Jakiś ty punktualny – skomentowałam jego królewskie przybycie.

– Możesz mnie nazywać mecenasem – zażartował, dzięki czemu zapomniałam, że mam na sobie bluzę z kapturem i dresowe spodnie.

– Zatem, mecenasie, mam pewną sprawę.

– Od razu do rzeczy – skomentował z uśmiechem.

– Przepraszam. Świetnie wyglądasz – poprawiłam się i poczułam, że moje uszy zmieniają kolor oraz temperaturę.

– Nie to miałem na myśli, ale dziękuję. W krajach Europy Zachodniej zapytałabyś mnie: „Jak się czujesz”? – poinstruował mnie. – Ale to ja cię zapytam.

– Nie wiem – odparłam szczerze. – Nie mogę... – Zamilkłam. Nie umiałam dokończyć zdania, które zabrzmiałoby tak: „Nie mogę nauczyć się znów żyć wśród ludzi”. Zatkanęło mnie na tyle skutecznie, że na moment odjęło mi oddech. Tomek od razu to zauważył.

– Rozumiem – powiedział i przysunął się do mnie.

– No nie wiem – odparłam, czując łzy napływające do gardła.

– Spokojnie.

Przytulił mnie. Tego mi było trzeba. Poza bratem, od momentu odnalezienia nikt mnie nie przytulił. Ani matka, ani ojciec. Ani przyjaciółka, którą musiałabym sobie wymyślić, bo żadnej nie miałam. Wtedy jednak Tomek chyba i tak był jedyną osobą na świecie, której bym

na to pozwoliła. A przynajmniej jedynym mężczyzną.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę. Nie chciałam, żeby się skończyła. Ale to ja podjęłam temat i musiałam mu wyjaśnić, dlaczego go ściągnęłam.

– Tomek? – zaczęłam, nie wiedząc, czy powinnam go o to prosić.

– Słucham. – To nie było typowe, polskie „Słucham?”, tylko gwarancja, że tak właśnie jest.

– Przedwczoraj miałam dziwną przygodę.

– Tak? – Odsunął się trochę, by móc na mnie patrzeć. – Potrzebujesz ochrony? Mogę spróbować...

– Nie w tym rzecz. – Uniosłam ręce na znak, by nie panikował. – W sklepie spotkałam kogoś, kto sprawił, że poczułam się mało bezpiecznie... we własnym domu.

Nie skomentował. Po prostu słuchał.

– Jak dobrze znasz mojego brata? – palnęłam bez zastanowienia.

Tomek otworzył szeroko oczy, zszokowany pytaniem.

– Całkiem nieźle – odparł ostrożnie. – To świetny prawnik.

– Kolega?

– Też... Dobry kolega, bardzo... uczciwy.

– Tak też sądzę – potwierdziłam.

– W czym rzecz?

– W sklepie spotkałam policyjnego informatora.

Tomek dziwnie się skrzywił i mrugnął powoli.

– Oliwio, policyjni informatorzy to zazwyczaj ludzie o kiepskiej reputacji.

– Wiem...

– I jeśli któryś z nich – przerwał mi – powiedział ci coś, czego nie chciałaś usłyszeć, o twoim bracie, dodajmy, prokuratorze, to...

– Nie do końca o nim – tym razem to ja przerwałam.

– Wyjaśnij, proszę. – Przyglądał marynarkę na brzuchu. Był taki elegancki. Nawet kiedy się denerwował.

– Ponoć podsłuchał, jak na komisariacie mówiono o mnie. Chodziliśmy razem do liceum. Kojarzył mnie. Sporo o mnie wiedział, więc mu wierzę.

– Mam rozumieć, że go nie widziałaś, tak? Jeszcze zdołał cię nastraszyć? – dopytywał Tomek.

– Tak wyszło. Ale zasiał we mnie ziarno niepewności, które od wczoraj zdołało wykiełkować na tyle, że odbiera mi rozum!

– Jakież to informacje ci przekazał? – Z tonu Tomka wynikało, że zbagatelizuje wszystko, co teraz powiem. Nie poddawałam się jednak.

– Zasugerował, że to, co mi się przytrafiło, miało miejsce w hangarze na łódzie należącym do mojego ojca. I że wybór tego miejsca przez porywaczy był raczej nieprzypadkowy.

Takiej informacji nie dało się zbagatelizować.

– Możesz to potwierdzić? Pamiętasz to miejsce? – Wyjął z kieszeni telefon z rysikiem i zaczął notować.

– Nie mogę temu zaprzeczyć. W ciemności widziałam kształt. Przypomniałam sobie o tym podczas przesłuchania. Reakcja śledczych też mnie zszokowała. Po prostu zakończyli rozmowę i wyszli. Dodam, że w pośpiechu. Dlatego gdy mi o tym powiedział, pomyślałam, że musi to być prawda..

– Gdzie jest ten hangar?

– Gdzieś nad rzeką.

– Nie byłaś tam? – zdumiał się.

– A po co? Jak już pływaliśmy, to pływaliśmy. Zrozum. W naszej rodzinie jest wiele niedopowiedzeń – wyjaśniłam.

– Raczej dziur w życiorysach... – skomentował. – Przepraszam – dodał jakby odruchowo i upił łyk lemoniady.

Niestety, miał rację.

– Chodzi mi tylko o to, żebyś tę informację potwierdził, jeśli możesz to sprawdzić, a potem mnie tam zabrał.

– Co? – Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Mówię serio. Chcę tam pojechać i spróbować sobie wszystko przypomnieć – odparłam.

– Czy ty wiesz, o co mnie prosisz?

– Wiem. Jestem psychologiem.

Tomek bezwiednie przetarł twarz dłonią. Zastanawiał się. Może to dzisiejsza temperatura i garnitur, a może jednak emocje sprawiły, że zaczął się pocić. Spojrzał na mnie tak, jakby upewniał się, że moja prośba nie jest wynikiem impulsu, a przemyślaną strategią działania.

– Czy chcesz, żebym zawiózł cię w miejsce, gdzie – ściszył głos – zgwałcono cię i zostawiono na pewną śmierć?

– Tak. Chcę – odpowiedziałam z determinacją. – I to jak najszybciej.

Gwiazdy migotały nade mną, gdy siedziałam na pomoście nieopodal domu. Z jednej strony wszystko spowite było mrokiem, z drugiej księżyc, prześwitujący od czasu do czasu przez chmury, rozjaśniał noc miękką poświatą. To była taka jasna ciemność. Zupełnie zresztą jak cisza, która wcale nie była ciszą. Była brakiem dźwięków miasta. Rozbrzmiewała żabią piosenką, kwileniem nocnych ptaków i szumem wodnych traw. Siedząc i patrząc w tę nieskończoność na niebie, myślałam o tym, jak niewiele moje problemy znaczą dla otaczającego mnie świata. Szczególnie bezkresnego kosmosu, którego cząsteczką stałam się po narodzinach i który od samego początku raczej tego nie zauważył. Znałam tylko jedną osobę, której zależało na rozwiązaniu tych problemów i postawieniu przed wymiarem sprawiedliwości sprawców mojej krzywdy. Tą osobą byłam ja. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi wszechświata, użalając się nad sobą. Tomek starał się mi pomóc, a ja wciąż się wahałam, borykając się z wyrzutami sumienia, że go o to poprosiłam. Z drugiej strony sama nie miałam najmniejszych szans...

Tomek miał zadzwonić, gdy coś ustalą. Myśl, że mogłabym znaleźć się w miejscu, w którym doszło do gwałtu, i przeżyć to na nowo, napawała mnie lękiem i wstrętem. Ale jednocześnie ów lęk paradoksalnie dodawał mi sił. Wtedy strach sparaliżował mnie na tyle skutecznie, że nie potrafiłam walczyć z napastnikami, ale skoro los podsuwał mi drugą szansę, powinnam spróbować zakończyć sprawę. I tym razem to ja będę autorem scenariusza.

Dzień zaczął się zwyczajnie. Wstałam, zjadłam coś, choć miałam ściśnięty żołądek. Włożyłam lekką sukienkę, mimo że od rana się chmurzyło, a prawdopodobieństwo deszczu według Google wynosiło sześćdziesiąt procent. No cóż. Trudno, żebym jeszcze w taki dzień przejmowała się kilkoma kroplami deszczu.

Od spotkania z Tomkiem minęły dwa długie dni. Nie dzwoniłam, nie pisałam. Nie chciałam, by miał wrażenie, że na niego naciskam. Moja prośba i tak była dość nietypowa. Miałam nadzieję, że potraktował ją poważnie i mnie za nią nie znienawidzi. Szykowałam się do kolejnej trudnej doby, opartej na pełnym niepokoju oczekiwaniu.

Krzętałam się po domu, trochę sprzątałam, gdy rozległ się dzwonek telefonu. „Jesteś moim aniołem” – śpiewał Steven Tyler z Aerosmith. Ten dźwięk... Dopadłam komórki i próbowałam uspokoić przyspieszony oddech. Nie chciałam, by wiedział, co teraz czułam.

– Halo? – zapytałam. Nie udało mi się ukryć emocji.

– Cześć. Wciąż chcesz to zrobić? – zapytał profesjonalnym tonem. Beznamiętnym, kompletnie neutralnym tonem prawnika, gdy mówi do kamery: „Bez komentarza”.

– Tak – odparłam szybko. To była jedyna rzecz, której naprawdę pragnęłam.

– Znalazłem ten magazyn – poinformował mnie.

– Czy to...

– Tak – nie pozwolił mi skończyć pytania.

Nie wytrzymałam. Próbowałam stłumić szloch. Ale najwyraźniej

usłyszał. To był magazyn ojca, wiedziałam.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Oliwio – uspokajał Tomek. – To jeszcze nic nie znaczy.

Nadal milczałam. On także. Wreszcie postanowiłam przerwać tę ciszę. Przyłożyłam telefon do piersi i wzięłam kilka głębszych oddechów. Gdy uznałam, że się pozbierałam, znów przyłożyłam aparat do ucha.

– Chcę tam pojechać i się przekonać – wyrzuciłam z siebie.

– Kiedy?

– Dziś. Dziś po południu – odpowiedziałam bez namysłu. Wiedziałam, że jeśli nie zrobię tego szybko, lęk będzie we mnie narastać. I w końcu mnie zabije.

Spakowałam się w pośpiechu. Założyłam, że szybko tu wrócę, bo będę miała co odreagowywać. Jak bardzo potrzebuję tego miejsca, zrozumiałam od razu, gdy odpaliłam silnik auta. Przeszła mi nawet przez głowę myśl, że może lepiej tę sprawę zostawić. Ale nie. Ten tok myślenia do niczego nie prowadził. Wytoczyłam się z lasu i już po chwili telepało mną na wszystkie strony na podziurawionej drodze wiodącej do dwupasmówki.

Tomek czekał na moście, nieopodal którego mnie znalazł. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, a nawet zareagować na mój widok, mocno go przytuliłam. Niepewnie odwzajemnił uścisk.

– Dziękuję – powiedziałam cicho.

– No nie wiem...

– Dlaczego? – Spojrzałam na niego z dołu. Niby piętnaście centymetrów różnicy, a ten wyższy wydaje się gigantem...

– Nie chcę przysporzyć ci cierpień – wyjaśnił.

– Nawet jeśli to na moje własne życzenie? – To pytanie miało go uspokoić. – Nie miej wyrzutów sumienia. Nie tak łatwo mnie złamać.

Tomek przypatrywał mi się, wewnątrz jego głowy argumenty za i przeciw toczyły poważną batalię. Wciąż mocno go obejmując,

poczułam, jak bierze głęboki oddech. Oddech, który w moim przekonaniu oznaczał kapitulację.

– Dobrze więc. Chodźmy.

Powoli uwolnił się z moich objęć i ruszył w stronę przeciwną do rzeki. Byłam pewna, że taki hangar na łodzi musi mieścić się na brzegu. Tymczasem my oddalaliśmy się od wody, przynajmniej na razie. Ilu jeszcze rzeczy nie wiedziałam o ojcu i jego interesach? Pływałam łodzią, ale nigdy się nie zainteresowałam, gdzie trzyma ją w zimie. I to moja wina. Jako wykształcony psycholog, terapeutka i przede wszystkim córka, zamiast zdobywać znajomych na Instagramie, powinnam próbować walczyć o więzi rodzinne.

Dreptałam za Tomkiem i cała się trzęsłam. Zaczynało kręcić mi się w głowie. Gdzieś mnie prowadził. Gdzieś... Ten jeden raz pomyślałam, że ufam mu jak naiwne dziecko. A tak naprawdę nie wiem, co czeka mnie na końcu drogi. Nie miałam czym się bronić. Odruchowo wsadziłam ręce w kieszenie spodni. Nie dość dyskretnie przesunęłam z pleców na brzuch niewielki plecak, w którym trzymałam portfel i klucze.

– Zapomniałaś czegoś? – zapytał Tomek, choć nawet się nie obejrzał.

– Tak mi się wydawało – odparłam, zmuszając się do swobody.

Zatrzymał się.

– Coś się stało? – zapytał, patrząc przy tym z taką troską, że od razu poczułam wyrzuty sumienia.

– Zapomniałam... – Szukałam w głowie czegoś, co było w tym momencie ważne i czego mogłabym potrzebować. Nadal nerwowo grzebiąc w plecaku, namacałam klucze. – No bo niby jak dostaniemy się do środka?

– I szukasz tam łomu? – Po tym pytaniu zapadła cisza. Szum wody w oddali akompaniował naszym oddechem. Zamarłam na kilka sekund. To było dziwne uczucie. Ufałam mu bezgranicznie, a teraz próbowałam odbudować jego zachwiane zaufanie do mnie... Czekałam w napięciu na reakcję Tomka. A on po prostu się roześmiał. – Szukasz łomu czy

kluczy? – powoli pytanie.

– Niczego, to odruch – odparłam, wciąż niepewnie.

– Czyli nie masz kluczy? – upewnił się.

– Skąd miałabym je mieć?

– To hangar twojego ojca. – Rozłożył ręce i znów się zaśmiał.

– Musisz mi o tym przypominać? – zapytałam ze łzami w oczach i ruszyłam przodem.

Tomek odczekał chwilę, najwyraźniej zaskoczony moim zachowaniem. Reagowałam tak na stres, o czym nie wiedział. Ruszył za mną dopiero po kilkunastu sekundach.

– Wiesz, gdzie idziesz? – zapytał zza moich pleców.

– Nie – burknęłam.

– Hej, nie chciałem! – Położył rękę na moim ramieniu. – Nie umiem postawić się w twojej sytuacji. Mogę się jedynie domyślać, co czujesz, choć nawet nie chcę sobie tego wyobrażać – powiedział tak, jakbym sama dyktowała mu, co ma mówić.

Przyjrzałam mu się. Uczucie niepewności przeszło. W ciągu ostatnich pięciu minut zachowywałam się jak niezrównoważona psychicznie.

– Przepraszam. Zazwyczaj jestem normalna.

– Chodźmy. Miejmy to za sobą – zarządził.

Przygarnął mnie do siebie po przyjacielsku. Poddałam się tej bliskości bez walki.

Wydawało mi się, że znam miasto jak własną kieszeń, ale to miejsce było dla mnie absolutną nowością. Ojciec miał łódź od dłuższego czasu, czyli nie zostało zbudowane wczoraj. Pofabryczny ciąg budynków z czerwonej cegły wznosił się nad wąskim, sztucznym kanałem, który uchodził do rzeki w dalszej części miasta. Porywacze przenieśli mnie pod most, dla policji jednak namierzenie hangaru ojca nie było specjalnie trudne. Moje zeznania zapewne potwierdziły ich tezy.

Niewysoki, stojący na uboczu budynek wprowadził mnie w zdumienie. Może Tomek źle zlokalizował miejsce, do którego mnie wywieziono. Mogłabym dwadzieścia razy przejść obok i gdyby nie jakieś specjalne uczucie, znak z kosmosu czy szósty zmysł, w życiu nie powiedziałabym, że to tu. A jednak...

Rozejrzałam się. Teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam wejść do tego hangaru. Brak kluczy wcale mnie nie zniechęcał.

- W porządku? – zapytał Tomek.
- A jak myślisz? – odparłam pytaniem.
- Wracamy?
- Nie – zaprzeczyłam gwałtownie.

Nic nie mogło mnie teraz powstrzymać. Ani on, ani niekontrolowany napad strachu, ani nawet zdrowy rozsądek. Byłam gotowa, choć to nie będzie łatwa konfrontacja.

- Jesteś pewna? – dopytywał.
- Tak, tak... Po prostu coś mi się przypomniało – wyjaśniłam.
- Powinniśmy wszystko notować! – Sięgnął do kieszeni po swój magiczny telefon.

– Nie wiem, czy dam radę. – Zakręciło mi się w głowie. Poczulałam się, jakbym miała zemdleć lub jakbym nagle znalazła się w ciele kogoś innego. Przez kilka sekund wracałam do siebie. Mimo tego, co powiedziałam, nie wątpiłam, że dobrze robię. – Jeden z nich niósł mnie.... Przerzucił przez bark, wiesz? – mówiłam do niego, tracąc oddech. – Czułam ucisk w brzuchu. Też... – Zebrało mi się na wymioty, więc przerwałam. Przestałam oddychać w ogóle. – Miał spocone plecy i śmierdział – dodałam i przycupnęłam. Potarłam dłoń o dłoń, wciąż czując pot porywacza na palcach. Musiałam schylić głowę, żeby nie paść jak długa.

– Oddychaj – powiedział Tomek. Przestał na chwilę notować i pochylił się nade mną.

– To właśnie robię – zapewniłam go.

– Wchodzimy? – zapytał Tomek.

– Po to tu przyszliśmy – odpowiedziałam i podparłam się o ścianę. Powoli wstałam i rozejrzałam się wokół. Ani żywej duszy. Dobre miejsce na przetrzymywanie porwanej ofiary.

– Imponuje mi twój upór.

Tomek wyciągnął rękę i postukał o pordzewiałe drzwi wielką kłódką, która broniła wejścia do hali. Znów zagadka otwartych drzwi. Zarówno tutaj, jak i do mojego domu porywacze weszli bez problemu. Wnioskowałam, że w obu przypadkach dysponowali kluczami. Musiałam sprawdzić, czy wewnątrz budynku kryje odpowiedź na pytanie: skąd?

W trawie wypatrzyłam kamień.

– Co robisz? – zaciekawił się Tomek. Zmarszczył czoło i poszedł za mną.

– Szukam tego łomu, o którym rozmawialiśmy.

– Łomu – zaśmiał się nerwowo. Żaden prawnik nie chciałby być zamieszany we włamanie. Ale chyba nie myślał, że obejrzę drzwi i odejdę?

Kamień okazał się większy, niż sądziłam. Wyjęłam go drżącymi rękami z ziemi, odsłaniając wijące się pod spodem robaki, które zaraz schowały się w cieplej, wilgotnej glebie.

– Oliwia, to już włamanie – ostrzegł mnie.

– Nie do końca. To rodzinna posesja – powiedziałam, po czym dźwignęłam kamień w górę. – I nasze, rodzinne sprawy.

Podeszłam do kłódki i bez namysłu uderzyłam w nią kamieniem. Echo poniosło po okolicy łoskot, a Tomek nerwowo się rozejrzył.

– Poszło?

– Nie. Ale pójdzie – zapewniłam go, po czym zaczęłam tłuc w kłódkę.

Pękła dopiero po siódmym uderzeniu. Spadła na trawę. Spojrzałam na swoje dzieło, nie przejmując się tym, czy ktoś mnie widział, czy nie.

Czułam, że jestem w prawie. Niewiele myśląc, odciągnęłam skobel i otworzyłam drzwi.

Wewnątrz panował półmrok. Miejsce wyglądało kompletnie inaczej. Kształt łodzi nie był już tylko kształtem, ale realną, namacalną, sporych rozmiarów rzeczą. Sufit ginął w ciemnościach za kurtyną zachodniego światła, wpadającego do hali przez wąskie okna, umieszczone w trzech czwartych wysokości ścian. Każdy krok wzbijał w powietrze pył z betonowej podłogi. Przeszłam kilka metrów, zanim nadepnęłam na coś. Mały przedmiot zaskrzypiał, a ja, choć to mogło być cokolwiek, już wiedziałam. Zadrżałam.

– To tutaj – powiedziałam półgłosem, który zabrzmiał jakoś obco.

– Tak, dlatego tu jesteśmy.

– Miałam taką... – Język zaczął mi się plątać.

Tomek zrozumiał, że jest ze mną niezbyt dobrze. Chciał do mnie podejść.

– Zostań. – Wyciągnęłam rękę jak do psa. – Bo zادهczesz... – Nie byłam w stanie wykrztusić słowa więcej. Trzęsącymi się dłońmi sięgnęłam po znaleźisko. Chwyciłam je w dwa palce. Za pierwszym razem wyśliznęło się i znów wpadło w pył. – Nie! – zdławiłam krzyk. Zanurzyłam dłonie w kurzu i poczułam, jak jego drobinki wchodzi mi pod paznokcie. Wygrzebałam mały, okrągły kształt i tym razem mocno ściskając, podniosłam go na wysokość swoich oczu.

– Mogę podejść? – zapytał Tomek.

– Nie – rzuciłam ostro. – Musimy znaleźć je wszystkie.

– To może chociaż powiesz, co to?

– Guziki – odparłam. – Miałam na sobie taką bluzkę, kiedy wróciłam z pracy... A gdy on mi ją tutaj rozdarł, guziki się posypały i...

Wbiłam wzrok w Tomka. Powoli, wciąż mnie obserwując, znów sięgnął do kieszeni po swój elektroniczny notes. Zapisał to, co powiedziałam. Nie zrobił pół kroku, dopóki mu na to nie pozwoliłam.

– Jeśli znajdziemy kolejne, musimy zrobić zdjęcia. A potem wezwać techników. My sami nie powinniśmy zbierać dowodów. Będą nieważne – pouczył mnie.

– Ale to nie jest moja nieruchomość – powiedziałam.

– Zanim zaczęłaś walić kamieniem w kłódkę, twierdziłaś co innego. Ale może zdołam nas z tego wyplątać.

– Zależy, kto stoi za moim porwaniem.

– Nie ma ludzi nietykalnych. – Tomek zrozumiał, że mam na myśli mojego brata. – Choć niektórych dotknąć trudniej.

– Zróbmy, co trzeba, i chodźmy stąd – zarządziłam. Im dłużej przebywałam w magazynie, tym gorzej się czułam.

– Jasne. Zbierzmy jak najwięcej – przytaknął. – Mogę podejść? – upewnił się. Skinęłam głową.

Błądziliśmy w zaspach pyłu i rzeczego piasku.

– Nie pamiętam tego – oceniłam wzbijającą się w powietrze szarą chmurę kurzu.

– Tam jest go mniej – wskazał miejsce pod oknami przypominającymi więzienne blendy.

Zacisnęłam pięści i ruszyłam w tamtą stronę, nie dbając o ślady. Czułam, że tam znajdę coś ważnego.

– Zadepczesz – pouczył mnie tonem podobnym do mojego sprzed kilku minut.

Nie zwróciłam na to uwagi. Po prostu szłam przed siebie. Kiedy dotarłam w to miejsce i zalało mnie światło docierające spod sufitu, impuls podyktował mi, co robić. Nie mogłam go powstrzymać. Położyłam się na ziemi i spojrzałam w górę. Jak patrzyłam wtedy, gdy mnie tu zawleczono. Dopiero wówczas w pełni uświadomiłam sobie, że jestem w tym samym budynku, tylko o innej porze dnia. Z tej perspektywy wysokość się zgadzała. Moje ciało wróciło wspomnieniami do tamtego

wieczoru. To, co miałam pod plecami, zapach powietrza i akustyka od razu zadziałały jak pamiątkowy film. Pamiątkowy horror. Zaczęły do mnie wracać wrażenia – ból, upokorzenie, bezsilność.

Tomek z oddali zbliżał się w moją stronę. Szedł powoli, ostrożnie, nie chcąc zniszczyć resztek śladów, które zniszczyłam ja. Jego sylwetka rysowała się w moim polu widzenia niczym cień. Nagle wyciągnęłam w jego stronę dłoń, w niemym geście każąc mu się zatrzymać.

– Oliwia? – zapytał zaniepokojony.

– Stój – powiedziałam.

– Co się dzieje? – szepnął głośno.

– Tomek... Tu był ktoś jeszcze – powiedziałam, a moje słowa wprost mnie poraziły.

Ten ktoś stał wtedy nieopodal miejsca, w którym znalazł się Tomek. Sylwetka prawnika pobudziła pamięć do pracy.

– Było ich więcej? – Tomek znów chciał notować.

– Napastników było dwóch. Ale tam... Tam, gdzie stoisz, wtedy też ktoś stał. Byłam półprzytomna. Nie pamiętałam. Wiedziałam, że muszę tu przyjść.

Wstałam powoli i tym razem uważnie się rozglądając, podeszłam do tego miejsca, w którym stał ten trzeci. Nie byłam pewna, czy to wszystko mi się tylko nie wydaje. Wołałam wierzyć, że w kącie, do którego zmierzałam niepewnie, jakbym szła po linie, stał ktoś, kto to wszystko zaplanował, a potem na miejscu sprawdził, czy wszystko idzie po jego myśli. Dotarłam do kąta, a moim oczom ukazał się dowód na to, że pamięć mnie nie zawiodła. Odbite w kurzu ślady butów. Sportowych, średniego rozmiaru.

– Ślady. Znalazłam ślady butów!

– Ostrożnie, nie zdeptaj! – Tomek wyciągnął ręce w moją stronę. – Zadzwońmy po policję – zaproponował i od razu sięgnął po telefon.

– Nie! – Poczulałam ukłucie w brzuchu. – Jeśli tu wejdą, a mój ojciec dowie się, że to ja ich wpuściłam, będzie po wszystkim. Przecież wiesz, że to bezprawne. Tydzień temu nie wiedziałam, że ojciec w ogóle ma taki magazyn! Chcę, żeby ten, kto mi to zrobił, zapłacił za moją krzywdę. Rozumiesz?

– Oczywiście. Chociaż... nie. Nie rozumiem, dlaczego w związku z tym nie wezwiemy policji. – Opuścił powoli telefon, ale nadal trzymał go w ręce. Może myślał, że działałam impulsywnie. Ale ja wiedziałam, co robię. Nie pracowałam w policji, ale to nie przeszkadzało mi ufać własnemu instynktowi. – To jest sprawa dla organów ścigania. Jeszcze dziś może dojść do aresztowania. Może po prostu nie jesteś na nie gotowa, ale powinniśmy oddać tę sprawę funkcjonariuszom. Skąd wiesz, co już ustalili? Może ci pomogą?

Zastanowiłam się przez chwilę. Sytuacja przypominała trochę gry typu escape room, w których łamigłówki, puzzle i inne elementy składają się na główny cel: opuszczenie zamkniętego pokoju. Właśnie doszłam do ślepego zaułka i nie wiedziałam, jak wykorzystać zebrane informacje.

– Tomek, przecież wiesz, że jeśli oni tu teraz wejdą, to taki ktoś jak ty podważy w sądzie ważność dowodów.

– Można to obejść. Służę pomocą.

– Niech tu wejdą kiedy indziej. Z nakazem. Poza tym muszę dać im jeszcze jakiś dowód na potwierdzenie moich słów. Cokolwiek. Jeśli to ktoś z rodziny, to jaki mógłby mieć motyw? Dlaczego chciałby, żebym cierpiała? Nie chciał mnie zabić? Czy chodziło tylko o upokorzenie?

– Dowód... A może jest takie miejsce, w którym twój ojciec trzyma skarby, dzięki którym poznamy motyw? Moja mama ma taką szufladę, taki departament wspomnień... – zaczął, a wtedy znów uniosłam rękę.

– Sejf. – Pokiwałam głową. Zaraz po tej dziwnej rozmowie w ogrodzie ojciec poszedł prosto do gabinetu i zajrzał do sejfu.

– Sejf nie brzmi zachęcająco... – zauważył Tomek. – Dość pancernie –

dodał.

– Ojciec chyba uważa, że nie mam pojęcia o tym sejfie.

– Mimo to nie sądzę, żeby data twoich urodzin mogła być szyfrem do zamka – stwierdził, wcale mnie tym nie pocieszając.

– Znajdę sposób, by go otworzyć – zapewniłam.

Teraz jeszcze musiałam sama w to uwierzyć. Na szczęście miałam kilka pomysłów. Podobał mi się zwłaszcza jeden. Tylko jego realizacja nie była łatwa.

VIII

S pędziliśmy w hangarze niemal dwie godziny, starając się sfotografować każdą rzecz, jaka wydawała nam się ważna dla sprawy. Znalazłam jeszcze kilka guzików. Najwięcej było ich w pobliżu miejsca, gdzie leżałam półżywa, licząc na rychłą śmierć.

Nie wróciłam już nad jezioro. Martwiłam się tylko, że zapasy jedzenia, które zrobiłam dwa dni wcześniej, przy najbliższej okazji pójdą na kompost.

Pojechałam do rodziców. Po wejściu do domu spotkałam Witka.

– O? – zachnął się.

Tak bez „dobry wieczór”. Po prostu: „O?”.

– Nie dąsaj się jak dziecko – powiedziałam ostro. – Nie wiesz, przez co przechodzę. – Wcale nie brzmiałam jak ofiara. Teraz zapewne przypominałam wiecznie egzaltowaną Teresę.

– Może nie wiem. Bardzo ci współczuję. Ale kiedy znikasz bez słowa wyjaśnienia, nie odbierasz telefonów, przez co wszyscy się denerwowaliśmy, a potem wracasz, jakby nic się nie stało, to nie oczekuj niczego więcej.

– Wiedziałaś, gdzie jadę. I tak się denerwowałaś, że nawet nie przyjechałaś nad jezioro – palnęłam. Brawo, Oliwia. W punkt.

Witek popatrzył na mnie z wyrzutem. Nie powinnam była tego mówić, fakt.

– Tomek powiedział mi, że nic ci nie jest – wycedził po chwili milczenia. – Policjanci chcieli z tobą porozmawiać.

Pożałowałam, że się tak do niego odezwałam.

– Witek, przepraszam. Nie jestem sobą...

– Rozumiem – odparł bez cienia zrozumienia. Może i miał rację. –

Porozmawiasz z nimi?

– Jutro. Jestem zmęczona.

– Jutro zabieram rodziców na kolację. I mam nadzieję, że pójdziesz z nami.

– Jutro rano – poprawiłam, nie posiadając się z radości. A już myślałam, że czeka mnie przeglądanie repertuaru teatrów i wypychanie rodziców z domu na siłę. Nie to, że w porywach mojej huśtawki nastrojów zmieniałam się w nastolatkę. Po prostu miałam plan, który wymagał „wolnej chaty”.

– Dołączysz wieczorem?

– Nie wiem – odpowiedziałam wymijająco. – Postaram się... Choć muszę ci powiedzieć, że ludzie mnie stresują – wyjaśniłam, co było zresztą zgodne z prawdą. – Policja mogłaby tym razem postawić patrol na zewnątrz.

– Dobrze, przekażę im – burknął Witek i poszedł do salonu.

Usłyszałam, jak pada na kanapę i włącza kanał sportowy. Ostentacyjnie, na znak, że nie chce mnie widzieć w swoim towarzystwie.

Pomyślałam, że tak nie zachowuje się człowiek winny zbrodni. Nie wierzyłam, że mógł być w to zamieszany.

Weszłam na górę i przemknęłam obok uchylonych drzwi gabinetu ojca. Po krótkim namyśle zawróciłam jednak i zajrzałam do niego.

– Jesteś zajęty? – zapytałam.

Podniósł głowę i rzucił mi nieprzytomne spojrzenie. Zdjął okulary i rozmasował nasadę nosa.

– Nie tak bardzo. Siadaj. – Wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

– Przepraszam za wszystko – powiedziałam szczerze.

– Olu, spokojnie. Wszystko się ułoży. Nie masz mnie za co przeproszać.

– Złapał mnie za rękę i uściśnił ją po przyjacielsku. Ciepło jego dłoni zawsze mnie uspokajało. Nawet dziś, kiedy nie byłam pewna, z kim tak

naprawdę rozmawiam.

– Tak bym chciała... – westchnęłam. Nie miałam zamiaru się rozklejać.

– Może wyjdziemy gdzieś razem? Do teatru? Muzeum? – zaproponował.

– Muszę się pozbierać, tato... – Pociągałam nosem.

– Rozumiem. Będzie dobrze – powtórzył.

– Chyba tak – potwierdziłam i sama uścisnęłam jego dłoń, tak jakbym robiła to po raz ostatni. Wyszłam z gabinetu i skierowałam się do swojego pokoju.

Jeszcze w korytarzu, gdy otarłam tę jedną, nieupilnowaną łzę, która potoczyła się po moim policzku, myślałam nad tym, jak rozgryźć kod zabezpieczający sejf. Nadal przychodził mi do głowy tylko jeden pomysł.

Nigdy nie byłam fanką Internetu. Nie lubiłam czytać opinii dotyczących kliniki. Szczególnie teraz. Psycholog nie powinien mieć własnych problemów. Powinnam zamknąć stronę na Facebooku i nie pogrążyć się w większym stresie. Ale postanowiłam wykorzystać portal do tego, do czego nadawał się najlepiej. Chciałam kogoś wyśledzić.

Zajrzałam na profile kolegów z liceum. Niekoniecznie tych najlepszych. Krok po kroku, zaglądając w zakładkę „znajomi znajomych”, namierzałam kolejne osoby. Zagłębiałam się w świat, który w szkole omijałam szerokim łukiem. Doszłam do wniosku, że nawet jeśli ktoś jest ci obcy przez całe życie, i tak spotkacie się na fejsie. I nadal nie będziecie musieli się zobaczyć. Ciekawe.

Postacie z mojego małego śledztwa stawały się coraz bardziej intrygujące. Nowi potencjalni znajomi byli coraz paskudniejsi, a zamieszczane przez nich zdjęcia ograniczały się do widoków sprzed bloku, najczęściej z czymś wysokoprocentowym w tle. Ta niepracująca nigdzie „szlachta” miała smartfony, z których trzaskała setki selfików. I pomyśleć, że sama chciałam kupić sobie tradycyjny telefon na guziki, a tym samym odgrodzić się od internetowego centrum detektywistycznego.

Trafiłam na zdjęcie kogoś, czyje nazwisko nic mi nie mówiło. Część społeczności szkolnej pozostawała mi obca. Niedawno okazało się jednak, że ja byłam im całkiem dobrze znana. Przeglądając profil jakiegoś mężczyzny, połączonego ze mną poprzez łańcuch pseudoznajomych, z którymi nie zamieniłam w życiu pół słowa, natrafiłam na fotografię z nad morza. Miała siedemnaście lat. Czterech chłopców ubranych w bluzy z kapturami patrzyło groźnie w obiektyw. Żaden z nich wtedy nawet nie marzył o porządnym zarobku. A mimo to twarz jednego z nich nie mogłam pomylić z żadną inną. Jego głos i ostatnie słowa, które od niego usłyszałam w małym, sklepowym pomieszczeniu, idealnie pasowały do zimnego spojrzenia chłopaka ze zdjęcia.

– Mam cię – powiedziałam na głos.

Kliknęłam w podświetlone na niebiesko imię Adam, którym właściciel konta oznaczył chłopaka na opublikowanym zdjęciu. System przeniósł mnie na szaro-białą stronę, na której w miejsce zdjęcia profilowego ktoś wkleił postać Jasona z *Piątku trzynastego*. Zmroziło mnie i zaczęłam się zastanawiać, czy to dobry pomysł. Prosić o pomoc... Jasona? Poza tym jednym zdjęciem w masce, na profilu Adama Z. nie było żadnych innych fotografii i informacji. „Adam Z.” także nic mi nie mówiło. Nie wiedziałam, jak się nazywał. Tak naprawdę łączyło mnie z nim jedynie mgliste wspomnienie ze szkoły, które powróciło na ułamek sekundy w supermarkecie. Aby to sprawdzić, wybrałam ikonę wiadomości i napisałam: „Cześć”. I czekałam.

Czekałam i czekałam... aż mnie to znudziło. Poszłam na dół, gdzie pani Czesia szykowała obiadokolację. Ojciec, choć siedział w domu, jadał po zakończeniu pracy, wyciągając matkę z jej pieczary, w której spędzała cały dzień w towarzystwie piosenek z czasów młodości albo nawet sprzed jej urodzenia. Po domu rozchodził się miły zapach, ale nie czułam głodu. Ostre powietrze nad jeziorem wzmagало apetyt. Tutaj towarzyszył mi stres, odbierający ochotę na jedzenie. Sięgnęłam po szklanke i napełniłam

ją wodą. Wtedy usłyszałam dźwięk dochodzący z przedpokoju. Cichy odgłos dzwonka przy dziecięcym rowerku. Wiedziałam, że otrzymałam wiadomość. Popędziłam na górę i drżącą ręką poruszyłam mysz. Czarny ekran rozświetlił się, a w okienku czatu pojawiła się odpowiedź: „Cześć”. Spodziewałam się jakiejś konkretnej reakcji, zdziwienia, może chamstwa... Tymczasem otrzymałam zwrotkę w postaci echa i nie wiedziałam, co z nią począć. Przetarłam twarz parę razy. Miałam wrażenie, że zdrętwiała.

„Czy możemy się spotkać?” – napisałam.

Zawahałam się przez chwilę. Zanim wcisnęłam klawisz enter, przeanalizowałam swoją decyzję. Ostrożności nigdy nie za wiele. Zdrowy dystans też się przyda. Musiało być z niego niezłe ziółko. Fakt, że miał utarczki z policją, jakoś mnie do niego zbliżał. Gdyby był jednym ze stróżów prawa, zapewne podarowałabym sobie to pytanie. Ale nie był. Czułam, prawdopodobnie w wyniku głupiej przekory, że właśnie jemu mogę zaufać.

„Możemy – odpowiedź nadeszła błyskawicznie. – Gdzie i kiedy?”.

„U mnie w domu. Jutro wieczorem”. – Znów wbiłam enter i głośno przełknęłam ślinę, aż zaboląło. Zaczęłam zastanawiać się gorączkowo, co się stanie, jeśli matka zrezygnuje z kolacji z Witkiem, a ojciec nie będzie napierał, by zmieniła zdanie? Trzeba zapewnić im jakąś atrakcję. Bilety do kina lub teatru? Konna przejażdżka? Też ładny prezent. Może skok na bungee? Nigdy nie jest za późno, by przeżyć katharsis. Zanim zdążyłam ochłonać, Adam odpisał:

„Będę o siódmej”.

Pół nocy zeszło mi na analizowaniu tej decyzji. Stwierdziłam, że jeśli zaproszenie Adama do domu jest błędem i zginę dziś, kilka minut po siódmej, to może i lepiej, bo głupoty nie da się wyleczyć. Co najlepsze, właśnie ta myśl mnie zrelaksowała i pozwoliła zasnąć.

Rano obudził mnie Witek.

– Oliwia? Policja czeka na dole – oznajmił przez zamknięte drzwi

wspólnej łazienki.

Półprzytomna, podniosłam się na łokciu.

– Jak to? – zapytałam, sądząc, że to wciąż sen.

– Wczoraj powiedziałaś: jutro rano. Więc przyszli. – Jego stłumiony głos był szorstki i nieprzyjazny.

– Zaraz przyjdę – powiedziałam, choć do „zaraz” było raczej dość daleko.

Na dworze znów padało. Staralam się otrząsnąć z resztek snu i wytłumaczyć sobie, że muszę wstać. Ale wielkie krople, spadające jedna po drugiej, wystukujące jakiś awangardowy rytm na parapecie okna, działały jak kołysanka. Znów przysnęłam. Kiedy otworzyłam oczy, pobudzona łaskotaniem w brzuchu, czułam się, jakbym poprzedniego dnia wypić morze wódki. Można mieć kaca, nie pijąc? Można.

Postanowiłam się zebrać. Zaczęłam od telefonu. Adam nie wysłał żadnych nowych wiadomości. To dobrze. Byliśmy zatem umówieni.

Podniosłam się za szybko i od razu padłam z powrotem. Oszołomiona, powoli zeszłam z łóżka, na czworakach. Siedząc na podłodze, wciągnęłam na siebie różowy dres, który leżał na dywanie. Wpełzłam do łazienki i pomijając poranną toaletę, sprawdziłam, jak wyglądam. Rozmazany wczorajszy makijaż, i tak niezbyt starannie położony poprzedniego dnia, resztki tuszu pod oczami i żółte plamy na policzkach dzisiaj mogłam zaakceptować. Zebrałam włosy w kucyk i wypuściłam pojedynczy kosmyk, przykrywający dziurę w głowie. Wciągnęłam grube skarpety, nie do pary zresztą, i w takim stanie postanowiłam iść na rozmowę. Gdy znalazłam się za drzwiami, usłyszałam muzykę dochodzącą z pokoju Teresy. „Tighten up your tie, button up your jacket” – śpiewała Aretha Franklin. Wtedy przypomniałam sobie o pewnym drobiazgu. Natychmiast wróciłam do pokoju i wsunęłam go do kieszeni.

Sikora i Mróz siedzieli już w salonie, popijając gorącą kawę. Prowadzili z Witkiem ożywioną rozmowę. Gdy się przyjrzałam, oceniłam, że nie

wyglądają, jakby się mną przejmowali. Podśmiewali się. Ich miny nie wyrażały troski ani zaniepokojenia. Nie sugerowały też, że prowadzą sprawę dotyczącą psychopatów porywających, torturujących i gwałcących kobiety. Sekundę później oceniłam takie myśli jako samolubne. Właśnie gdy zaczęłam sobie tłumaczyć, że każdy ma swoje życie, niezależne od pracy, że nie jestem pępkiem świata ani tym bardziej nie jestem Teresą, żeby w ten sposób oceniać pracę policji (po minach!), z salonu wypadła na mnie pani Czesława.

– Zrobię ci herbatki, Oliwio.

– Dziękuję – bąknęłam i weszłam do salonu.

Wesoła rozmowa ucichła. Wzrok każdego z uczestników porannej kawki powędrował w moją stronę. I każdy wyrażał coś innego.

– Przepraszam, że musieliście czekać – powiedziałam i przyglądałam dres, którego dopiero teraz zaczęłam się wstydzić. Raczej nie wrodziłam się w Teresę, która po tym, jak wyrzucono ją z samochodu, na spotkanie z policją założyła sznur błyskotek, a na twarz nałożyła tonę drogiego makijażu.

– Nic nie szkodzi – powiedział Witek. Trochę zmiękł, jak mnie zobaczył. – Zostawię was samych.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Bo mi nie wolno tu być. Oficjalnie i nieoficjalnie.

– Dobra, już rozumiem.

Brat pożegnał się z funkcjonariuszami i wyszedł z domu. Sikora postanowiła się odezwać dopiero, gdy usłyszała odjeżdżający samochód.

– Jak się pani trzyma? – Uśmiechnęła się przy tym dobrotliwie.

– Jak widać – burknęłam, choć tym razem to była zagrywka z mojej strony.

Oboje opuścili wzrok. Mróz chrząknął.

– Jak wam idzie nad rzeką? – wystrzeliłam nagle, a oni wbili we mnie

zdumione spojrzenia.

– Nad rzeką? – upewniła się Sikora, szukając zapewne zgrabnej odpowiedzi.

– Nad rzeką, pod mostem, wokół rzeki... – dodałam ostro.

Do salonu weszła pani Czesia z herbatą, pachnącą korzennymi przyprawami. Z Sikory zeszło powietrze. Pewnie zdążyła już obmyślić kontrę. Nie mogłam się jej doczekać.

– Niech pani zamknie za sobą drzwi, proszę – zwróciłam się do gosposi.

– Dobrze – odparła zaniepokojona, ale zrobiła to, o co prosiłam.

Nadal na nich patrzyłam, czekając, aż podejmą rozmowę. Skoro jednak tak się nie stało, postanowiłam wytoczyć cięższe działa. Pogrzebałam w kieszeni bluzy i wyjęłam z niej mały, okrągły guzik, dziękując Arecie Franklin za przypomnienie o nim. Położyłam go na stoliku. Nadal milczałam. Ich miny wyrażały niezadowolenie.

– Zapewne już wiecie, gdzie go znalazłam – wycodziłam wściekła. Bo gdzie byli, gdy posunęłam się we własnym śledztwie (i to we własnej sprawie!) dalej, niż mogli sądzić? – Na żadnym z tych guzików nie ma odcisków palców. Tak jak na moim ubraniu, które miałam w tamtym dniu. Porywacze mieli rękawiczki na dłoniach. W pewnym hangarze na łódzie tych guzików jest więcej, na nich z pewnością też nie znajdziecie śladów. Posypały się na ziemię, zanim doszło do gwałtu.

Policjanci zaniemówili. Sikora siedziała z otwartymi ustami, a Mróz zaczął się pocić. Żadne z nich się nie odzywało, toteż postanowiłam mówić dalej.

– W tym samym hangarze, w kącie obok łodzi, której kształt już wam opisałam, stał ktoś jeszcze. Musiałam tam wrócić, by sobie przypomnieć. Nie gniewajcie się, szok zrobił swoje. Tam, gdzie stał ten ktoś, znajdziecie ślady butów. Jedyne z bieżnikiem. Reszta wydaje się być nieprzydatna. Będą tam także odciski butów moich i przyjaciela. Ale te, na których nam zależy, to obuwie sportowe, średniego rozmiaru. Na wszelki wypadek

zrobiłam zdjęcie. Komu wysłać?

Pytanie najwyraźniej dotarło tylko do Mroza.

– Do mnie – odrzekł i znów chrząknął nerwowo.

Od razu przesłałam mu zdjęcia, które zrobiłam poprzedniego dnia.

Sikora i Mróz wymienili porozumiewawcze, wciąż jednakowo gniewne spojrzenia, których sensu nie zrozumiałam. Mimo to napierałam dalej.

– Bierzcie się do roboty, bo nie chcę, by mnie lub moją matkę spotkało znów coś tak ohydneho, jak porwanie, tortury i gwałt.

– Myśli pani, że nic nie robimy? – zapytała urażona aspirantka.

– Wiem, że działacie, bo dzięki wam odkryłam hangar – odparłam twardo.

To ja byłam ofiarą. A ona czuła się dotknięta moimi słowami.

– Są rzeczy, których nie da się przeskoczyć. Pani może do tego hangaru wejść, kiedy chce. Choć także teoretycznie. Bo gdyby pani ojciec postanowił oskarżyć panią o włamanie, mógłby to zrobić. Skoro już zdecydowała się pani prowadzić śledztwo we własnej sprawie, w dość niekonwencjonalny, żeby nie powiedzieć: nieprofesjonalny sposób, proszę pamiętać, jakie to może mieć konsekwencje prawne – pouczyła mnie.

Niestety, zadziało to na mnie jak płachta na byka.

– To niekonwencjonalne dochodzenie przynajmniej posuwa sprawę do przodu – odparłam, choć wiedziałam, że przesadzam.

– Tak, ma pani rację. Oby ten pani pęd ku prawdzie nie spowolnił nas lub całkiem nie wyhamował. Jeśli zniszczy pani dowody, nie będziemy mieć podstaw do aresztowania.

– A kogo? – Pytanie miało ją zbić z tropu. W moim odczuciu strasznie się nad sobą użalała. Jakby zapomniała, kogo tutaj porwano. – Znaleźliście chociaż jednego podejrzanego? Facetów z dwukolorowymi oczami nie może być zbyt wielu...

– Takich informacji nie mogę udzielać – odparła, spojrzawszy wcześniej

na Mroza, który zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Jak to? Przecież mówimy o mnie.

– Dla dobra śledztwa.

– To także moje śledztwo! – podniosłam głos.

– Niech się pani nie nakręca, pani Oliwio. Do śledztwa temu, co pani zrobiła, bardzo daleko. Śledztwo to nie tylko odkrycie, kto i dlaczego, lecz także szereg procedur prawnych i niepodważalne dowody. Prawa się pani nie trzyma, a tych ostatnich zapewne pani nie ma? – wtrącił Mróz, mocno poirytowany.

– Nie mam – przyznałam. – Ale znajdę – dodałam pewnie. – I je wam przyniosę.

Wstałam i przetrąłam twarz, czując, że muszę się jeszcze położyć.

– Pani Czesława zamknie za wami. Powodzenia – pożegnałam się sucho i wróciłam do sypialni.

Po raz drugi wstałam koło południa, zastanawiając się, czy nie powinnam skorzystać z pomocy specjalisty. O ironio. Cóż, nie jest to odosobniony przypadek, kiedy terapeuta korzysta z pomocy innego terapeuty. Naprawdę to rozważałam, z uwagi na fakt, że po prostu nie mogłam pracować. Póki co miałam pieniądze z kliniki. Ale klinika bez lekarzy przestaje dobrze działać. A ci z pewnością woleliby wiedzieć, na czym stoją. Kiedy szefowej nie ma od wielu dni i dzieje się z nią coś niedobrego, napięcie rośnie, a morale spada.

Witek zarezerwował stolik w restauracji nieopodal naszego domu. Wiezorami było tam rzeczywiście przyjemnie. Patio podczas chłodów zamieniało się w ogród zimowy, a latem, w połowie otwarte, w przytulny taras. Miła muzyka, niesamowite zapachy i smaki, przyciszone rozmowy i szum drzew sprawiały, że traciło się poczucie czasu. Miejsce wybrał idealnie. Jakby wiedział, że będę potrzebować czasu. Dużo czasu.

Szybko nałożyłam makijaż. Przypudrowałam sińce pod oczami (i te na klatce piersiowej) i podmalowałam się. Włosami, jak co dzień od mojego

powrotu, zakryłam niewygojoną ranę w głowie. Znow spięłam je w kucyk, wypuszczając z niego pojedynczy kosmyk i zastanawiając się, czy jestem skazana na taką fryzurę do końca życia.

Adam był wyjątkowo punktualny. Przyszedł dokładnie dziesięć minut po tym, jak pozostali mieszkańcy opuścili dom. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam wysokiego bruneta z kolczykiem w brwi. Zauważyłam też tatuaż, który wystawał spod ciemnoszarej bluzy. Smok lub wąż wyglądał spod ubrania, łypiąc okiem z szyi mężczyzny.

– No proszę, jaki z ciebie domorosły detektyw – przywitał się w dość nietypowy sposób i nie czekając na zaproszenie, wszedł do przedpokoju, potrącając mnie ramieniem.

Oślupiałam. Od razu zaczęłam żałować, że go zaprosiłam. Jak mogłam być tak naiwna, by sądzić, że ktoś podobny do niego zechce mi pomóc?

– Jak się domyśliłaś, że to ja? Ostatnio, gdy się widzieliśmy, było ciemno... – zauważył, po czym, nie ściągając butów, wszedł do kuchni. Chwycił jabłko z patery i odgryzł kawałek.

– Po tym twoim: „Fajna dupa z ciebie” – fuknęłam. Pomyślałam, że muszę klaskać w rytm jego melodii. Podziałało. Na chwilę przestał żuć.

– Kiedyś cię już tak nazwałem? Fajną dupą? – Uśmiechnął się.

– Nie mnie. Inną... laskę – sprostowałam.

– No, pewnie nie jedną.

– Tę akurat zapamiętałam. Uczyła nas chemii. To był jej pierwszy semestr.

Adam zastygł. Pomyślałam, że mi się udało. Popisywał się i trzeba było go trochę utemperować. Może już nie byłam taką fajną, młodą dupą jak kiedyś, ale za to dupą po psychologii.

– A, tę... No tak – zmieszał się na samo wspomnienie. – Była taka sytuacja.

– Po której dyrektor wezwał twoją mamę, mimo że miesiąc później

skończyłeś osiemnaście lat? – Teraz to ja się zaśmiałam.

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Cała szkoła o tym mówiła. Szczególnie nasz rocznik. Koledzy z wyższych klas, nawet ci starsi tylko o rok, są zawsze dobrym tematem do przerabiania na przerwach.

– Dobra, czego ode mnie chcesz? – Odłożył nadgryzione jabłko na brzeg blatu kuchennej wyspy. – Bo jeśli myślisz, że powiem ci coś więcej o śledztwie w twojej sprawie, to... pech. Nic więcej nie wiem.

– Spokojnie. Ja coś wiem. – Podeszłam dwa kroki bliżej.

– To po co mnie tu ściągnęłaś?

– Nie ze wszystkim poradzę sobie sama.

– Po co te zagadki? – Przestąpił z nogi na nogę. Niepokoił mnie każdym ruchem, gestem, wyglądem... Nie znałam go wcale, choć wydarzenie z nauczycielką chemii pamiętałam dobrze. Adam był obcym, którego reakcje stanowiły jedną wielką niewiadomą. – Powiedz, o co lata, i zobaczemy, co da się zrobić.

– Dobrze, chodź za mną – powiedziałam odważnie i skierowałam się ku schodom.

Początkowo ruszył za mną, ale przy schodach zatrzymał się niepewnie.

– Dobra, Oliwka. O co chodzi?

– Nie rozumiem? – Odwróciłam się w jego stronę.

– Zapraszasz mnie wieczorem do pustego domu i prowadzisz na piętro. Nie że mi się to dziwnie kojarzy, ale w łeb też nie chcę dostać. Wiem, co ci się stało, i serio, bardzo ci współczuję. Ale ja z tym nie mam nic wspólnego.

– Adam, ty panikujesz? Chcę tylko, żebyś rzucił okiem na coś, co może mieć związek z tym, „co mi się stało”, jak to ładnie ująłeś. Tak się składa, że mam do ciebie interes i bynajmniej nie jest nim obezwładnienie cię i torturowanie. – Mimowolnie się uśmiechnęłam. Adam wreszcie wykazał ludzkie odruchy. Wolałam tę wersję od bezczelnego chama, udającego

macho.

Bez komentarza ruszył za mną, w chwilę po tym, jak podśmiewając się pod nosem, weszłam na piętro.

Zapaliłam światło na korytarzu i weszłam do gabinetu ojca. Zasunęłam rolety antywłamaniowe, na wszelki wypadek, żeby z zewnątrz nie było widać światła. Włączyłam stojącą na biurku lampę i czekałam. Adam niepewnie wszedł do pokoju.

– No, słucham? – Zniecierpliwiony, złapał się pod boki i lekko pochylił. Bez słowa podeszłam do obrazu i odsłoniłam sejf.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– I że niby co ja mam z tym zrobić? – zapytał, rozkładając ręce.

– Otworzyć – odparłam. – Sam to zasugerowałeś. Powiedziałeś, że policja nie ma dostępu do sejfów. Ja mam. Mam też ciebie. A tak się składa, że jesteś informatorem, czyli pewnie kiedyś zadarłeś z prawem...

Adam roześmiał się głośno, przerywając mi w pół zdania. Nagle przestał.

– Nabijasz się, tak?

– Nie – odpowiedziałam, poirytowana. – Mówię poważnie.

– Skąd pomysł, że jestem cholernym kasiarzem, co?

– Pracujesz w policji, jako...

– Dla policji lub, jeśli wolisz, z policją, to po pierwsze. Po drugie, nie do końca z własnej woli...

– Właśnie o tym mówię – wtrąciłam, uznając, że skoro sam to powiedział, mogę się pod tym podpisać, bez wypominania mu „trudnej przeszłości”.

– Ale wiesz, że nie każdy, kto zadarł z prawem, kradł?

– Tak – odparłam. Prawda była taka, że w amoku nie wzięłam pod uwagę, że mógł robić coś innego. Gorszego... Ale przecież nikt nie poprosiłby o współpracę byłego mafiosa, czyż nie? – To co takiego zmusiło

cię do tej niechcianej współpracy?

Zapadła cisza. Pomyślałam, że zaraz przyzna się do handlu narkotykami lub podrabiania dzieł sztuki.

– No cóż... Powiedzmy, że... w pewnym sensie się włamywałem – powiedział, opuszczając na sekundę wzrok.

Klasnęłam w dłonie, ciesząc się, że jednak miałam rację. Złodziej i tyle. Do dzieła.

– Z czego się tak cieszysz? – warknął.

– Bo się nie pomyliłam. – Nie zwróciłam uwagi na jego gniew.

– A jednak. Po tym, jak wyjąłem kilku bogaczom kasę z kont i zająłem się poufnymi danymi paru ważnych instytucji, policja sama się do mnie zgłosiła. Odsiedziałem mniej, ponieważ przystałem na współpracę. Kradłem, tak. Ale w sieci. A z takim – wskazał na sejf ojca – przedpotopowym czymś nie miałem do czynienia nigdy.

Staliśmy w milczeniu, patrząc na siebie. Oczywiście, trudno o to wypytywać w Internecie, ale może powinnam upewnić się wcześniej, na czym dokładnie polega jego współpraca z policją. Usiadłam w fotelu ojca i schowałam twarz w dłoniach.

– Przepraszam – powiedziałam po chwili. – Pewnie myślisz, że wyszła ze mnie bogata dziewczynka, która zawsze miała to, co chciała.

Nie odpowiedział. A ja na niego nie patrzyłam. Nie grałam. Mówiłam szczerze.

– Tylko że tu nie o to chodzi. Jestem po prostu zdesperowana.

Tak bardzo chciałam, żeby mi uwierzył. Miałam prosić go o pomoc. Wydawał się ostatnią deską ratunku. Oczami wyobraźni widziałam otwierający się sejf i teczkę z dziwnymi rachunkami na wysokie kwoty, jak na amerykańskich filmach. W jednej minucie wszystko się wyjaśnia. Następnego dnia dochodzi do aresztowań...

Tymczasem mój włamywacz nie był bynajmniej sir Charlesem

Lyttonem ani żadnym innym przystojnym geniuszem zbrodni. Był hakerem. Zapewne utalentowanym, skoro wymiar sprawiedliwości poszedł z nim na układ, ale ten internetowo-komputerowy aspekt przekreślał moje plany. Wszystkie nadzieje zostały pogrzebane. Lecz wtedy Adam zrobił coś, czego się nie spodziewałam.

– Wiesz, z ilu cyfr składa się kod?

– Z sześciu – odparłam.

– Z sześciu – powtórzył. – Jakieś ważne daty? – zapytał i podszedł do klawiatury kodującej sejf.

– Moje urodziny, Witka urodziny... Teresy urodziny – wymamrotałam.

– Podaj.

– Już sprawdziłam. Nie działają.

– W każdej konfiguracji? – dopytywał.

– Od tyłu, od przodu, od środka, na boki, sierpień jako osiem lub zero osiem, rok z uwzględnieniem tysiąclecia i bez. Każda konfiguracja zawodzi.

– Dobrze. Czyli sejf nie blokuje się po którejś z kolei próbie złamania kodu – wnioskowałam. – Może jakieś inne ważne daty? – Uniósł nerwowo rękę. On przynajmniej myślał, czego nie można było powiedzieć o mnie.

– Sprawdziłam datę ich ślubu, datę założenia firmy. Nic.

– A może to kombinacja?

– Kombinacja z dat?

– Próbowałaś coś z nich złożyć?

– Próbowałam składać daty moją i Witka. I jeszcze lata urodzin nasze i mamy. Ale nic z tego.

– To komputer twojego ojca? – zapytał, wskazując na laptop.

– Owszem. Też zabezpieczony hasłem.

– To akurat moja specjalność – powiedział.

Podszedł do fotela, który zajmowałam. i wykonał ręką gest, jakby mnie przeganiał. W normalnych okolicznościach na pewno bym

to skomentowała. Ale to nie były normalne okoliczności.

Otworzył komputer.

– Ojciec nie zorientuje się, że ktoś tu grzebał? – zaniepokoiłam się.

– Jeśli wytrzesz klawiaturę... – odparł i uśmiechnął się półgębkiem. Nie do mnie. Do ekranu. I do siebie, rzecz jasna.

Pochyliłam się nad nim, ale zasłonił komputer tułowiem. Zrozumiałam, że mam nie patrzeć. Odwróciłam się więc i czekałam. Wyciągnęłam z kieszeni telefon, by upewnić się, że nikt nie dzwonił i nie pisał. Była siódma trzydzieści. O ile plany nie uległy zmianie, rodzice i Witek pewnie właśnie dostali kolację. Zazwyczaj chodziliśmy na podobne spotkania razem, ale ja szczerze ich nie lubiłam. Z matką trudno się rozmawiało. Zawsze była wycofana i małomówna. Wolała skupiać się na sobie. Na swoich problemach ze zdrowiem, choć nie robiła nic, by im zapobiec. Ewentualnie na swojej melancholii i tęsknocie za tym, co minęło, lub na swoim wyglądzie, z którego była coraz mniej zadowolona. Mówiła też o domku nad jeziorem, jednak zawsze w kontekście tego, że trzeba go sprzedać. Wiecznie niezadowolona. Rzadko kiedy szczerza i otwarta. Właściwie zawsze kokietująca i pretensjonalna. Widziała świat w czarnych barwach. Ja taka nie byłam, jej nastrój jednak udzielał mi się po wspólnych kolacjach, czy to w domu, czy w restauracji. Wolałam chodzić do lokali z byłym narzeczonym. Niestety i to się skończyło. Więc wybierałam samotność w domu. A dziś był to wybór specjalny.

– Już – usłyszałam jakby z drugiego pokoju. Głos Adama wyrwał mnie z zamyślenia. Nie wiedziałam, ile czasu minęło. Raczej niewiele.

– I co teraz? – Miałam nadzieję, że poza samym włamaniem do komputera ojca, Adam miał konkretny plan działania. Niepolegający na „wyjęciu” z konta jego pieniędzy, nawiasem mówiąc.

– Teraz zajrzemy do jego kalendarza – zarządził. – Stary ma swoje lata i pewnie woli, żeby mu przypominać o ważnych sprawach.

– Mówisz o moim ojcu – upomniałam go.

– Powiedziałem coś niezgodnego z prawdą? – zdumiał się teatralnie. Taki miał styl. Chamski. Sprawdzał moją wytrzymałość. Mógł sobie na to pozwolić, bo to ja miałam do niego interes. No nic. Musiałam przystać na jego zasady.

– Nie. Masz rację, choć ja bym to nazwała przepracowaniem, nie starością – bąknęłam i znów na chwilę odwróciłam się od niego.

– Jeszcze tylko jeden filtr dla ludzi z amnezją – mruzczał pod nosem. – Ukryj spotkania, zostaw rocznice. Mam – Klepnął otwartą dłońią w biurko. – Styczeń. Szósty?

– Święto Trzech Króli – odpowiedziałam.

– Taki świętojebliwy? – skomentował Adam.

– Nie przesadzaj, proszę. I nie chodzi o samo święto. W tym dniu on i jego dwaj wspólnicy założyli firmę. To znaczy uznali, że zrobią wspólny biznes.

– Przy wódzie... – znów prostacki wtęć.

– Może i przy wódzie, ale firma działa do dziś. I to bardzo dobrze. – Uśmiechnęłam się, bo uznałam, że mu tym dopiekłam.

– „Może i przy wódzie” – zacytował mnie. – Może przy morzu... wody. To podobno scala związki – wyszeptał konspiracyjnie, jakby powierzał mi ważny sekret.

Cham, ale bystry. Nawet się uśmiechnęłam, tak półgębkiem, żeby nie widział. Adam znów pochylił się nad kalendarzem.

– Styczeń, dwudziesty – przeczytał.

Nie śpieszyło mu się. Mi za to coraz bardziej. Kolacja niby trwała w najlepsze, ale wszystko mogło ulec zmianie.

– Urodziny babci, jego matki. Zapala jej świeczkę w ogrodzie – wyjaśniłam.

– Wpisuj.

Podeszłam do sejfu i wpisałam tę datę, uwzględniając dwie ostatnie

cyfry roku (na więcej miejsca nie było), zaczynając od niego właśnie, potem od dnia, potem na pozostałych kilka sposobów.

– Nic – powiedziałam.

– Luty pusty. Wszyscy mówią, że w lutym nic się nie dzieje. Ja mógłbym przesypiać cały luty, wiesz? – Zaśmiał się bezgłośnie.

– Marzec? – ponagliłam go.

– Dziewiąty – przeciągnął to słowo. – Czyżby wtedy urodziła się jego księżniczka?

– To aż tak oczywiste? – zapytałam, znów mimowolnie się uśmiechając. Za kogo on mnie miał? W ogóle trudno było go rozgryźć. A to było przecież moją specjalnością.

– Księżniczki rodzą się tylko w marcu. Przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia z księżniczkami. Kwiecień.

– Pierwszy – dodałam.

– Taki żartowniś z twojego staruszka?

– To urodziny Witka – sprostowałam.

Adam wybuchł śmiechem.

– I pomyśleć, że taki żart losu wyrósł na poważnego pana prokuratora – ironizował.

– Znacie się jakoś tak bliżej? – odniosłam się do układów Adama z prokuraturą.

– Kiedy prokurator szedł ze mną na układ, twój brat zakuwał na studiach. „Znamy się tylko z widzenia” – zaśpiewał.

– Prokuratura pomogła ci wyjść na ludzi – pouczyłam go.

– No właśnie. Po to, żebym pod jej nosem włąmywał się do komputera ojca jednego z nich. Ale co tam... – Wbił we mnie wzrok. Aż mnie zmroziło. – Niewolnicy bywają niepokorni. Tylko że mnie nikt nie wychłoszcze. Wsadzą mnie i tyle.

Nie odpowiedziałam. W końcu był tu przeze mnie.

– Maj nic. Czerwiec nic. Ojca urodzin nie obchodzi?

– Nie wiem – burknęłam.

– Lipiec, dwudziesty drugi.

– Imieniny ciotki, jego siostry. Mieszka w Stanach. Dzwoni do niej.

Rzadko się widują.

– Wklepuj.

– To nie ma sensu. Imieniny? – protestowałam.

– Wstukuj, zaczynając od roku pięćdziesiątego – nakazał.

Wkurzona podeszłam do sejfu i zaczęłam wstukiwać: dwa dwa, zero siedem, pięć zero. Dwa dwa, zero siedem, pięć jeden.

– Jaki to ma sens? – zapytałam wściekła.

– Nie wiem – mruknął pod nosem.

Był czymś zajęty. Mnie też chciał czymś zająć. Zaczął stukać w klawiaturę. A ja jak głupia wpisywałam datę imienin ciotki, którą widziałam może trzy razy w życiu. Minuty mijały nieubłaganie. Nie można wiecznie jeść kolacji. Czułam rosnącą presję czasu. Zaczęłam się strasznie pocić. Miałam nadzieję, że nie pachnę tak, jak się czuję. Już miałam pośpieszyć Adama, gdy sam nagle się odezwał:

– Mała, znasz tę fotkę?

Odwróciłam się i spojrzałam na monitor. Moim oczom ukazał się portret Teresy za młodu, ustawiony jako tło pulpitu. Ładnie wyglądała. Łagodnie, pogodnie. Zawsze była piękna, ale na tym zdjęciu prezentowała się wyjątkowo.

– Nie kojarzę. Ale to moja matka.

– Gdzie to jest? – dopytywał.

– Nie jestem pewna.

Nie znałam ani tej fotografii, ani miejsca, gdzie została wykonana. Tuż za matką była odrapana wiata autobusowa. Zdjęcie zostało zrobione na przystanku. W tle widniały gierkowskie bloki, które ktoś postawił

pośrodku niczego.

– To chyba nie jest nasze miasto – wywnioskował Adam.

– Czemu tak sądzisz?

– Tylko jedna linia i to taka, której u nas nie ma – wyjaśnił. – To raczej linia podmiejska.

– Może w latach osiemdziesiątych była?

– Pisz. Dziewiętnaście, zero trzy, osiem sześć.

Doskoczyłam do sejfu i wklepałam podane liczby.

Wpisałam kod. Zanim położyłam palec na ostatniej cyfrze, poczułam w nim dziwne mrowienie. Sześć. Drzwi sejfu ustąpiły.

Rozczapierzyłam palce i uniosłam ręce w górę. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Jesteś geniuszem – wymamrotałam.

– Mam fart i do czynienia ze starym człowiekiem.

– Wyjaśnisz? – poprosiłam, niezrażona jego arogancją.

– Zobacz, tu jest data, w rogu. Pewno ważna. Gdyby nie to, że jesteś starsza, pomyślałbym, że to pierwszy seks...

– Uspokój się – upomniałam go i znowu mimowolnie się uśmiechnęłam. Faktycznie w rogu zdjęcia widniała data, napisana tak drobną czcionką, że można ją było dostrzec dopiero po sporym powiększeniu. – Może spróbujemy dojść, gdzie to jest?

– Brama numer dwanaście z tego, co da się przeczytać... – powiedział i powiększył zdjęcie. – Ulicy brak.

– A dalej?

– A dalej mamy wiatę, bez nazwy przystanku. Na oko małe miasteczko, niedaleko stąd. Spróbuję poszukać w Google – zadeklarował, po czym wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie monitora.

– No geniusz po prostu – powiedziałam. Może zabrzmiało to złośliwie, ale naprawdę podziwiałam jego spostrzegawczość.

– Nie, szczęściarz. Ale możesz powtórzyć to jeszcze kilka razy, jeśli masz ochotę – dodał po swoim. Tym razem w jego głosie pobrzmiwała duma przemieszana z niedowierzaniem. To prawda, fart i tyle. Ale trzeba było przyznać, że gdyby nie on i jego włam do komputera, nigdy nie poznałabym tego kodu.

– Co teraz? – zapytałam. Ręce zaczęły mi się trząść.

– Od tej pory radź sobie sama. – Usłyszałam, jak stuka w klawiaturę. Przetarł komputer rękawem bluzy i cicho go zamknął.

– Nie zostawiaj mnie. – Złożyłam ręce w błagalnym geście.

– Do czego jestem ci potrzebny? – Jego twarz przybrała gniewny wyraz.

– Dodasz mi otuchy – odrzekłam szczerze.

Westchnął głęboko. Był zdenerwowany. I tak już bardzo się naraził. Nie chciał wracać do więzienia. Mimo to ruszył z impetem w stronę sejfu.

– Nie, zaczekaj! – powstrzymałam go. – Ja to zrobię. Po prostu ze mną bądź. Niczego nie dotykaj. Moich odcisków nie ma w bazie danych policji.

Otworzyłam z namaszczeniem drzwi do skarbca rodzinnych tajemnic. Od dziecka o tym marzyłam. Może nie w tych okolicznościach i nie z takiego powodu, ale zawsze chciałam zobaczyć, co jest wewnątrz. Wyjęłam trzy teczki. Niewiele, jak na tak duży sejf. W pierwszej znajdowały się dokumenty firmowe. Ta była najgrubsza. Przejrzałam ją pobieżnie, ale nie znalazłam czegokolwiek, co mogłoby mnie zainteresować. Druga natomiast była o wiele ciekawsza.

– Akt ślubu rodziców – uśmiechnęłam się. Kiedyś wydawali się szczęśliwi, choć ojciec temu zaprzeczał.

– To... jakby kilka lat po twoich narodzinach? – wyliczył Adam.

– Tak, pamiętam to wydarzenie. Jak przez mgłę. To chyba moje pierwsze wspomnienie z życia.

– No tak, ślub to ślub. Powinien być absolutnie niezapomniany. Choć zazwyczaj pan młody go nie pamięta – zażartował.

– Mój akt urodzenia – przekładałam dokumenty. – A tu Witka. O, legitymacja PTTK! – Chciałam ją otworzyć, żeby zobaczyć, do jakiej odznaki doszedł ojciec, ale Adam wyjął mi ją z rąk. Notabene, chwytając ją przez bluzę. Musiało go to kosztować sporo nerwów.

– Masz na to czas? Szukaj dalej – ponaglił mnie.

W teczce z dokumentami rodzinnymi nie znalazłam niczego przydatnego lub osobliwego, co mogłoby wzbudzić niepokój. Teczka numer trzy natomiast przedstawiała się zgoła inaczej. Już sam jej wygląd sugerował, że nie jest to zwyczajna koperta ze wspomnieniami. Poszarzały papier i data: koniec roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego obok pieczętki, która aż raziła w oczy. I to po tak długim czasie.

– Wojewódzki Szpital Psychiatryczny – przeczytałam.

Spojrzałam na stojącego za mną Adama. Po raz pierwszy jego twarz pozostawała nieruchoma. Nie wysilił się też na żaden komentarz. Otworzyłam więc teczkę i wyciągnęłam dokumentację.

– Oddział zamknięty – przeczytałam.

– Czy twoi rodzice nie pobrali się rok później? – zapytał poważnie, bez podtekstów.

– Niecały... – sprostowałam.

„Wypis” – głosił tytuł na pierwszym z papierów. I to żółtych, z całą pewnością. Diagnoza: psychoza maniakalno-depresyjna. Po samym wypisie można było wywnioskować, że sporządził go lekarz starej daty, bo termin „psychoza” w chorobie dwubiegunowej w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku był już kompletnym przeżytkiem. Mógł jednak również sugerować przebieg choroby i stosunek owego lekarza do osoby, której dotyczył dokument. W dalszej części można było wyczytać, że choroba miała ciężki przebieg. Epizody manii, trwające po kilka tygodni, bywały trudne także dla szpitalnego personelu. Akty agresji popierała niezwykła, jak to opisywał lekarz, nadludzka siła, trudna do ujarznienia. Każdy z ciągnących się w nieskończoność, jakby się mogło wydawać,

i wyczerpujących epizodów manii oddzielały stany depresyjne, które dawały medykom wytchnienie. Także dlatego, że w szpitalu trudno jest popełnić samobójstwo, którego próba była powodem umieszczenia pacjentki na oddziale. Najtrudniejsze jednak było uświadomienie sobie, że ten dokument, jak i szereg kolejnych w teczce, dotyczy stanu zdrowia psychicznego kogoś bardzo mi bliskiego.

– Sawicka? – Adam wyrwał mnie z oszołomienia. – To nazwisko panińskie twojej...

– Matki, tak – potwierdziłam.

Zamknęłam na chwilę oczy. Ale gdy znów je otworzyłam, nadal tkwiłam w tej samej rzeczywistości. Nic się nie zmieniło. Papiery nie zniknęły. Sejf stał otworem. Teresa Sawicka przebywała w szpitalu psychiatrycznym więcej niż trzy razy, także już po ślubie, od kilku do kilkunastu tygodni z rzędu. Najbardziej sugestywny okazał się wypis, rysujący moją matkę jako niezdolną do życia poza szpitalem. Wypis na specjalne żądanie...

Owszem, pamiętałam, że zniknęła na dłużej. Nigdy jej nie odwiedzałam. Tata powtarzał, że wyjechała do ciepłych krajów, bo tutaj było jej za zimno. Potem twierdził, że wychodzi na pocztę zadzwonić, bo z domu będzie za drogo. Zapewne ją odwiedzał. A ja mu wierzyłam. Byłam dzieckiem i zupełnie o tym zapomniałam. Nigdy do tego nie wracaliśmy. Chyba przez to, że potem ojciec i nas zabierał do ciepłych krajów, które Teresa zdawała się dobrze znać.

– Czyżby twój tata wykupił ją z psychiatryka? – Adam dostrzegł to, czemu próbowałam zaprzeczyć.

– Nie mam pojęcia... To wszystko jest... – Zamurowało mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Oliwia. Sama chciałaś – przypomniał mi.

– Wiem, jasne? Wiem. Tylko nie spodziewałam się...

– Takich rzeczy trudno się spodziewać, prawda? – Położył mi ręce

na ramionach i odwrócił do siebie. – Ojciec lub brat mieli dość matki. Jest trudna, jak sądzę. – Wskazał na teczkę wciąż tkwiącą w mojej dłoni. – Obstawiam ojca, tak przy okazji – dodał i puścił do mnie oko. – W każdym razie... Jeden z nich chciał się jej pozbyć. Nie wiem zresztą, może obaj? Wynajęli zbirów. O, albo inaczej! Może to taka terapia? Wiesz, szokowa. Ty zdaje się jesteś psycholożką, co? Jest taka terapia?

– Adam... – chciałam mu przerwać, ale on mówił dalej. Już mnie nie bawił. Nawet nie wiem, czy miał zamiar.

– Zbiry schrzaniły sprawę. Potem chciały powtórzyć zlecenie. Kasa nie śmierdzi, jak to mawiał Wespezjan, czy jak mu tam...

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – wtrąciłam.

– No przecież mówię. Pomyłka!

– Nieprawda. To było wymierzone we mnie – upierałam się.

– No to na przykład...

– A co, jeśli to ona?

Dałam upust myśli, która dotąd chowała się w zakamarach umysłu. Czaiła się w jakimś ciemnym dołku i wychylała łeb tylko czasami, nieśmiało. Jak wtedy, gdy matka otoczona kłębam dymu życzyła mi powodzenia i to w dniu, w którym wszystko się wydarzyło. Nagle z oddalonej, nieobecnej w moim życiu matki stała się najlepszą przyjaciółką. Przyjaciółką w niedoli. Nie przypuszczałam, że upozorowała własne porwanie, ale już moje jak najbardziej mogła zaaranżować. Wydawało mi się to prawdopodobne, zwłaszcza po przeczytaniu dokumentacji medycznej.

– „Przytrafiło mi się coś strasznego, a ty mnie nawet nie szukałaś”. To była pierwsza rzecz, jaką od niej usłyszałam. A chwilę później spotkało mnie to samo, tylko że ja zniknęłam na jeden dzień. Czy chciała pokazać, jak bardzo cierpiała, każąc tym gnojkom zrobić mi krzywdę?

– Oliwka, nie bądź naiwna. Nie masz pojęcia, z jakimi ludźmi trzeba się stykać, żeby coś takiego zrobić. Nie zauważyłabyś, jak znika z domu, nie

mówi, gdzie idzie, wydaje koszarne sumy pieniędzy? – Adam próbował sprowadzić mnie na ziemię. Ja jednak uczepliłam się tej myśli.

– Wyjść można do fryzjera, pieniądze nie są problemem, tym bardziej, że ona zawsze dużo wydawała.

– A potem dała się pobić i zgwałcić, bo tak mówi opinia po obdukcji, żeby skrzywdzić ciebie?

– Sporo o tej sprawie wiesz jak na hakera – uznałam.

W chwili, kiedy to powiedziałam i zdążyłam zauważyć, że się zmieszał (po raz pierwszy tego wieczoru), usłyszałam klucz przekręcany w drzwiach. Nie było czasu na drażnienie tematu. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia. Przeczytałam dokładnie adres szpitala i schowałam teczkę do sejfu. Staralam się ułożyć wszystko jak należy i w oko wpadło mi coś jeszcze. Małe, czarne pudełko w kształcie walca. Wyjęłam je ze schowka i obróciłam w palcach.

– Nie ma czasu, wkładaj to z powrotem. – Adam chciał zabrać pudełko, ale zacisnęłam dłoń.

– Nie ma szans. Znam hasło. Mogę odnieść w każdej chwili – szeptałam.

– Oliwia? – usłyszałam głos Witka. Dochodził z dołu, na szczęście. Adam cicho domknął sejf i zgasił lampę.

– Szybko, do mnie – zarządziłam.

– To znaczy gdzie? – zapytał. Szeptaliśmy, a i tak mieliśmy wrażenie, że zachowujemy się za głośno. Nic dziwnego, że Adam wybrał kradzież w sieci.

– Chodź.

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam. Powstrzymał mnie i przeszedł do przodu. Wyjrzał z gabinetu jako pierwszy. Wtedy dopiero przepuścił mnie, bym wskazała mu drogę.

Wśliznęliśmy się do mnie.

– Zapomniałam odsłonić rolety antywłamaniowe – zorientowałam się i z wrażenia zasłoniłam usta.

– Powiesz, że się bałaś. W końcu to zrozumiałe. – Adam nie wydawał się zdenerwowany czy przejęty, choć wcześniej tak się bał, że pójdzie siedzieć za złamanie szyfru do laptopa. Rada wydawała się sensowna.

– Oliwia? – usłyszałam znowu, tym razem zaraz po tym, jak Witek zapukał do drzwi.

– Jestem – odparłam.

– Mogę wejść? – zapytał.

Spojrzałam na Adama. Kiwnął głową.

– Jasne.

Witek stanął w drzwiach, dzięki czemu kątem oka zobaczyłam, że rodzice rozchodzą się do swoich pieczar – matka do pokoju palaczki, ojciec do gabinetu, w którym przed chwilą grzebaliśmy. Gorączkowałam się, że Julian zauważy coś nietypowego. Był takim pedantem.

Witka na widok Adama zamurowało. Patrzył na niego przez chwilę w milczeniu. Chwilę później podszedł jednak z miną twardziela i wyciągniętą ręką.

– Witold Pol.

– Adam Zamojski.

Wymienili uścisk dłoni.

– To ja przyjdę później – powiedział z durnym uśmiechem.

– Spokojnie. Adam już wychodzi.

– Tak? – zdziwił się Adam.

– Niech zostanie, daj spokój. Chodźmy do salonu. Przyniosę piwo – zarządził Witek.

– Może innym razem – przekonywałam.

Adam wstał i rozłożył ręce.

– No cóż. Pani każe, a sługa nie ma wyboru. – Spojrzał na mnie

z wyrzutem.

Zeszliśmy razem na dół.

– Zaczekam w salonie. Pogadajmy – powiedział Witek.

Widać było, że jego chmurny nastrój odpuścił nieco. Nie lubił długo się dąsać. Wolał porozmawiać, jak to robią dorośli, choć nie miał takiego przykładu w domu. Zawsze zastanawiałam się, ile ze schematów zaobserwowanych w naszej rodzinie powieliliśmy, komplikując sobie życie. Trzeba było jednak przyznać, że Witek wiele z nich odwrócił, dzięki czemu był komunikatywnym, ciepłym i otwartym człowiekiem, czego nie można było powiedzieć o mnie. Choć te osiemdziesiąt minut spędzone z Adamem udowodniło, że nie jest aż tak źle.

Adam założył lekką kurtkę. Bardzo powoli, żeby mi na koniec dokuczyć. W sumie tylko mnie tym ubawił. Wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy. Znów położył dłonie na moich ramionach.

– Motyw, mała. Ona nie ma motywu. Złośliwość to nie powód, by wydawać pieniądze na zbirów. Poszukaj dalej – powiedział cicho.

Zdążyłam już ochłonąć i sama uznałam, że to niedorzeczne. Choć nie nierealne.

– Poszukam. Jeśli nie innego sprawcy, to motywu właśnie – odparłam.

– Dasz mi znać, co Pandora trzyma w puszcze? – zapytał i uśmiechnął się dyskretnie. – Najlepiej jutro.

Przez chwilę nie wiedziałam, co ma na myśli, ale w końcu załapałam, że chodzi o to walcowate pudełko.

– A tak, dam. Zadzwoń. Właśnie, numer telefonu – rozejrzałam się za swoją komórką.

– Puściłem ci krótki sygnał. – Mrugnął porozumiewawczo.

Spojrzałam pytająco, ale Adam odwrócił się i otworzył drzwi.

– Do jutra – rzucił przez ramię i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. A ja patrzyłam za nim, jak znika za drzewami, najpierw jednym, potem

drugim, a potem już za rogiem kolejnej ulicy.

Wróciłam do salonu. Witek pił piwo, które tak bardzo chciał otworzyć z nowo poznanym kolegą. Nieco ubawiony całą sytuacją, nie znając przecież celu wizyty Adama, uśmiechnął się do mnie od wejścia. Przyciszył telewizor, w którym nadawano podsumowanie meczów z ostatnich kilku dni.

– Fajny ten Adam... – powiedział i odwrócił się, żebym nie widziała, jak się uśmiecha.

– Może być – powiedziałam bez przekonania.

Wydawało się, że panowie szybko by się dogadali. Może nawet za szybko.

– Następnym razem, jak będziesz miała randkę, uprzedź mnie, to zabiorę rodziców gdzieś dalej. Albo zaproszę Dagę. Będzie różniej.

– Jasne... Dam znać – odparłam, nie wyprowadzając go z błędu. To była randka i koniec. Sama powinnam w to uwierzyć, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia brata.

– Jak poszło? – Witek odstawił piwo na stół.

– Adam nie jest w moim typie – stwierdziłam.

– Pytam raczej o rozmowę z policją. Nie mieliśmy okazji o tym pomówić – sprostował i znów się uśmiechnął. Chyba bezwiednie.

– Ach, tak. – Na samo wspomnienie tego, jak ich pogoniłam do pracy, serce zaczynało bić mocniej. – W porządku. Przedstawiliśmy sobie nasze stanowiska.

– Stanowiska?

– Tak. Powiedziałam im, na co mogliby zwrócić większą uwagę, a co na razie odpuścić.

– Że jak? – zapytał Witek.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Zapewne jutro usłyszy od Mroza, że utrudniam śledztwo i zdeptuję ślady, ciągnąc za sobą

jakiegoś gościa, który nie ma nic wspólnego ze sprawą.

– Powiedziałaś, że najpierw powinni znaleźć miejsce, w którym do wszystkiego doszło. Bo jak mi się wydaje, dałam im mnóstwo szczegółów.

– Mhm – pokiwał głową. – Nie wiem, czy powinnaś mówić policji, co ma robić, ale nie jesteś jedyną, która daje im wskazówki. Każdy ma ciśnienie na rozwiązanie własnych problemów, to oczywiste. Każdemu się śpieszy. To jak rodzina z dużą liczbą dzieci, jak sądzę. Dla takiego malucha matka jest jedna. Ona za to ma ich całą gromadkę i każdego stara się traktować tak samo. Policjanci robią, co mogą. I wierz mi, robią bardzo dużo.

– Rozumiem – odpowiedziałam z ulgą.

– Ale ten Adam... – zaczął Witek.

Nie było mi do śmiechu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, po co go tu ściągnęłam. Ojciec jednak nie wychodził z gabinetu (co mogło wskazywać zarówno na jego winę, jak i na doświadczenie Adama).

– Adam to... – Szukałam dobrego słowa, żeby się ode mnie odczepił. I znalazłam najmniej adekwatne, a zarazem najlepiej ujmujące tę niecodzienną sytuację. – Przypadek? – zapytałam sama siebie. Nie o takie określenie mi chodziło.

– Nie, spokojnie. Nie chcę wiedzieć – odparł skwapliwie Witek. – Ale wygląda na w porządku gościa.

– Może być – powtórzyłam. Wyrzuty sumienia wróciły i pomyślałam, że jeśli uchylę Witkowi rąbka tajemnicy, to może znów je uspokoję. Nie chciałam mówić wszystkiego. Tylko dwa słowa o Adamie i może o własnych podejrzeniach. Zaczęłam nieśmiało. – O ile w porządku może być ktoś, kto...

– Nie chcę wiedzieć, serio – wypalił nagle, wchodząc mi w pół zdania. – Jeśli się dobrze bawiliście, to się cieszę. – Upił kilka ostatnich łyków piwa i odstawił butelkę na stół. – Idę po jeszcze. Na pewno nie chcesz?

– Dziękuję – odparłam, lekko zdumiona.

Ja na jego miejscu chciałabym wiedzieć wszystko o kobiecie, którą nakryłabym z nim w pustym domu. Jaka jest, czy miła, czy mądra, gdzie pracuje, ile chce mieć dzieci? Ale wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że kiedy mężczyzna poznaje kobietę, sam na początku zazwyczaj nie potrzebuje tych wszystkich informacji. Szczególnie tej o dzieciach. Reakcja Witka, choć nie pozwolił mi się wygadać, była zrozumiała. A może po prostu tak ma być? Miał się nie dowiedzieć? Postanowiłam zamilknąć w tej sprawie.

– Włączymy jakiś film? – zaproponował, wrywając mnie z zamyślenia.

– Z chęcią. – Uśmiechnęłam się, nie wiedząc dlaczego, wciąż myśląc o Adamie. Ot, taka magia sugestii... – I wiesz co?

– Tak?

– Jednak skuszę się na to piwo. – Wskazałam mu drzwi.

Pokręcił tylko głową i zrobił minę podobną do tej, jaką miał Adam przy słowach „sługa musi”. Po kilku minutach oglądaliśmy razem *Good Night and Good Luck*, zapijając chłód scenariusza równie zimnym APA.

Po trzecim piwie lekko chwiejnym krokiem weszłam do pokoju i usiadłam na łóżku. Na moment udało mi się zapomnieć o puszcze Pandory, o której mówił Adam. Ale gdy opuściłam salon, moja ręka powędrowała do kieszeni, w której wciąż tkwiło walcowate pudełko. Znalazłszy się na górze, delikatnie usunęłam wieczko i wysypałam na rękę zawartość. Wydała mi się dość oczywista. Małe walcowate pudełko mogło być schronieniem dla biżuterii, zębów mlecznych, a nawet (dla odważnych) pępowiny, która odpadła mnie lub Witkowi. Ale nie. Zgodnie z przeznaczeniem pojemniczek zawierał kliszę fotograficzną, już wywołaną. Wyciągnęłam ją z opakowania i rozwinęłam. Wśród negatywów odkryłam fotografię z pulpitu laptopa Juliana. Reszta jednak stanowiła wielką niewiadomą. Postanowiłam jak najszybciej rozwiązać zagadkę.

IX

Jak to? – To pytanie zadawałam dość często. Zazwyczaj dotyczyło ono spraw związanych z firmą. W urzędach często słyszałam wiekopomne: „Tego się tak nie da zrobić”. Odpowiadałam wtedy pytaniem: „Jak to?”. Jednak nie spodziewałam się, że podobne zadam w punkcie fotograficznym w galerii handlowej.

– To bardzo stara klisza. Znam się na tym – poinformował mnie sprzedawca.

– Ale co to ma wspólnego z faktem, że pan nie zrobi odbitek? To klisza jak każda inna. Tylko stara!

– Nie do końca – sprostował.

Czułam, że czeka mnie mało interesujący wykład. A interesował mnie tylko jeden podpunkt. Odbitki.

– Jakość nie będzie pani odpowiadać. A potem wystawi mi pani słabą recenzję w Internecie – stwierdził.

– Nie bawię się w takie rzeczy – burknęłam. – Skoro się pan na tym zna, zrobi pan to dobrze czy nie?

– Może w lepszym labie? Z dobrze wyposażoną ciemną. Tutaj takiej nie ma. – Rozejrzył się ostentacyjnie.

– I gdzie niby mam z tym iść? – zapytałam zrezygnowana.

– Do Stratosfery – odparł poważnie.

– To żart czy nazwa firmy? Bo jeśli żart, to mało śmieszny.

– To nazwa studia, specjalizującego się w wywoływaniu podobnych klisz. Mało tego. Mają je wciąż w sprzedaży.

– Nie mam zamiaru kupować. Chcę tylko odbitek – spróbowałam ostatni raz. Ale sprzedawca nawet nie drgnął. – Czy to daleko? – poddałam

się.

– Daleko czy nie, po prostu warto – powiedział, wyszczerzając w uśmiechu krzywe zęby.

Studio Stratosfera mieściło się niemal dokładnie po drugiej stronie miasta. Od jego północnych granic (podczas gdy ja mieszkałam na południowym krańcu) dzieliło je zaledwie kilka domków. Dzielnica, w której się znalazłam, zupełnie nie przypominała mojej. Domy, wybudowane w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, nijak miały się do okazałych, starych willi, jak ta, w której sama mieszkałam. Odkryłam, że niekomfortowo czuję się w nieswoim otoczeniu. Brak tu było architektonicznego wysublimowania i dobrego smaku. Dawna architektura miejska, zarówno pod względem historycznym, jak i po prostu wizualnym, prezentowała się o wiele lepiej. Gdy zajmowało się jeden z takich domów i wiedziało, o jakich wewnętrznych przestrzeniach mowa, nie miało się ochoty nawet na krótkie odwiedziny we współczesnym klocek bez duszy. Nudne wydawało się samo usytuowanie tych budynków na niewyszukanych podwórkach, które latem zamieniały się w grillowiska, a zimą nie pełniły już żadnej funkcji, podczas gdy ja mogłam wypić herbatę w półotwartym ogrodzie zimowym, czy to w domu, czy w pobliskiej restauracji. Wszystko tu poprzętkano o łokach, reprezentującymi przekrętych epok budowlanych w tym kraju. Od socjalistycznych, chwalebnych „osiągnięć” z wielkiej płyty, po współczesne, nieco niższe molochy z balkonami przypominającymi metalowe szufladki w biurowej szafce. Minęłam zakład wulkanizacyjny i przyłapałam się na rozważaniach, że chyba nie mogłabym mieszkać w takiej okolicy. Usłyszałam głos Adama. Miał rację. Mógł mnie nie lubić, gdy byłam jeszcze nastolatką, właśnie za takie poglądy i brak wyrozumiałości. Zganiłam się, choć nadal moim największym marzeniem było jak najszybciej załatwić sprawę i szybko wrócić do pięknego, starego domu.

Na jednym z nowszych budynków jednorodzinnych zobaczyłam napis

„Stratosfera”. Mały parking pod studiem był całkowicie zajęty, toteż musiałam zostawić samochód na ulicy opatrzonej znakiem zakazu postoj. Włączyłam awaryjne i wpadłam do domku, licząc, że samochody na parkingu należą do właścicieli i całą sprawę uda mi się załatwić dość szybko. Okazało się jednak, że w tym małym, niepozornym laboratorium fotograficznym aż roi się od klientów. Kolejka ciągnęła się do przedsionka, w którym stojąc kilka minut, zdążyłam poznać zasady działania zakładu.

Nie robimy zdjęć do dokumentów maści wszelakiej.

Nie wywołujemy zdjęć w minutę. Od tego są fotokioski.

Nie sprzedajemy aparatów, nośników pamięci cyfrowej i wkładów do polaroida.

Nie wywołujemy zdjęć z kart i pendrive'ów.

„Nieźle... A mimo to klientów nie brakuje” – pomyślałam.

– Co tam masz? – usłyszałam wysoki, kobiecy głos.

– Aa... – Poczułam się wyrwana z zamyślenia i potrzebowałam czasu, by przeskoczyć na normalny tryb. – Kliszę? – Uśmiechnęłam się głupio. Co mogę mieć? Skoro tłułam się tu przez pół miasta, to nie po to, by wyjść po przeczytaniu instrukcji w przedsionku.

Dziewczyna była chuda. Zwróciłam na to uwagę, bo miała obcisłe spodnie, które kupiła chyba na dziale dla nastolatk.

– Mogę zobaczyć? – zapytała z manierą, której nie lubię. Jakby wciąż miała dwanaście lat.

– Jasne. – Podałam jej pudełko.

– Łał... – skomentowała, czytając napisy z denka. – Gdzie dostałaś taki film? – Jej oczy błysnęły.

– Znalazłam w domu – odparłam, pomijając szczegóły. – To bardzo stara klisza.

– No wiem – mówiła, nakręcona odkryciem. – I wciąż dało się zrobić zdjęcia?

Zaskoczyła mnie nieco. Chwilę później zrozumiałam, że wzięła mnie za fotografa ze szczególnym szczęściem.

– Ach, to... nie tak. Film jest wywołany i został prawdopodobnie zrobiony w latach osiemdziesiątych. Pamiątka rodzinna.

– Rozumiem – usłyszałam w jej głosie nowy odcień podniecenia. Przecież chodziło o fotki retro.

„Oszołomy” – pomyślałam o braci fotograficznej.

– Mamy tu dziś urwanie głowy. Zabiorę to do środka. Czekać, proszę, i jak nadejdzie twoja kolej, powinnam już wiedzieć, na kiedy uda mi się to wywołać – zagadała nagle.

– Yyy... dzięki. – Uśmiechnęłam się, zdumiona. W życiu nie powiedziałabym, że to dziecko tu pracuje, a tym bardziej w ciemni.

Wystałam swoje dziesięć minut. Dziesięć minut! W małym, osiedlowym zakładzie. W dzisiejszej ogólnie panującej pogoni za czasem to była strata nie do odrobienia. Troje ludzi: chłopak, chuda dziewczyna i być może ich ojciec, na co wskazywałoby dość wyraźne podobieństwo, związało się jak w ukropie. Gdy znalazłam się przy ladzie, moja artystka od razu do mnie podeszła.

– Przejrzałam to wstępnie. Droga klisza, nawet jak na tamte czasy. Ciężko było ją dostać. Wyrób niemiecki – powiedziała. Na jej nosie tkwiły wielkie okulary, znad których patrzyła na mnie, a przez które spoglądała na trzymany w rękach film.

– Tata jeździł do Niemiec w tamtym czasie – wyjaśniłam. Byłam pewna, że drogą kliszę mógł kupić tylko on.

– Jest dobrze zachowana, jakby przeleżała cały ten czas w szczelnym, zamkniętym i chłodnym miejscu – zauważyła dziewczyna, a mnie przeszły ciarki.

– Tak było – mruknęłam pod nosem.

– W związku z tym nie powinno być problemów z odbitkami. Czy lecimy po całości?

– To znaczy? – poczułam się niedoinformowana. Czy to był jakiś fotograficzny slang?

– Odbijamy wszystkie negatywy czy masz wybrane ramki? – wyjaśniła.

– Wszystkie – odpowiedziałam bez namysłu.

– A jaki format? – Przysunęła do siebie mały notes i zaczęła w nim pisać.

Rozejrzałam się za tablicą z formatami, jakie wiszą na ścianach w punktach w centrach handlowych, ale niczego takiego nie znalazłam. W niewielkim pomieszczeniu było bardzo duszno. Jak oni mogli pracować w takich warunkach? Do tego wszechobecny szum rozmów powodował nieznośny hałas, nie wspominając o dominującym smrodzie odczynników. Właśnie w takich warunkach, w obecności wielu osób, zdecydowanie naruszającej moją strefę komfortu, powracało uczucie paniki wywołane traumą. Jak najszybciej chciałam się stamtąd wydostać.

– Jak największy – rzuciłam.

Dziewczyna spojrzała czujnie.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak. Trochę tu duszno – odpowiedziałam i przymknęłam oczy.

– Słuchaj, to jest klisza średnioformatowa. Z tą wielkością to szалу nie będzie. Ale zaproponuję ci na początek jeden z rozmiarów midi i cyfrowy skan, który będziesz mogła powiększać do woli. Wtedy spokojnie wybierzesz interesujące cię klatki, wrócisz tu i zrobimy z nich większe odbitki.

– Zgoda. – Czułam, że drętwieją mi usta.

– W takim razie zajrzyj za dwa dni – powiedziała i podsunęła mi kwitek z datą i numerem zlecenia.

Wypadłam z laboratorium. Otworzyłam auto i usiadłam na siedzeniu pasażera. Od razu złożyłam dach, dziękując sobie samej za pomysł z kabrioletem. Pochwyciłam butelkę wody o temperaturze świeżo podanej

zupy i wypiliśmy to, co w niej zostało. Przetarłam twarz.

„Rozmaże mi się makijaż” – pomyślałam. Dziwne rzeczy przychodzą do głowy, kiedy człowiek traci przytomność lub popada w histerię.

Ułożyłam się wygodnie i przez chwilę starałam złapać normalny rytm oddechu. Nie mogłam prowadzić w takim stanie. Po kilku minutach mrowienie w ustach i palcach zaczęło ustępować, a ja poczułam się, jakbym przebiegła dziesięć kilometrów po lesie. Upał nie pomagał, powietrze stało – ani jednego podmuchu. Gdy zaczęłam przyklejać się do siedzenia, postanowiłam sięgnąć za kierownicą i pojechać do domu.

Prowadziłam ostrożnie, starając się skupić na tym, co robię. Ale kiedy zadzwonił telefon, niemal przejechałam na czerwonym świetle. Wyhamowałam z piskiem opon, poprawiłam ciemne okulary i zapadłam się w siedzenie ze wstydu. Dzwonił Adam. Odebrałam i jeszcze bardziej się skuliłam. Do kolekcji nieszczęść brakowało mi tylko mandatu.

– Zapomniałam. – Wolałam się od razu wytłumaczyć.

– Tak przypuszczałem. Powiesz mi? – brzmiał łagodnie, nie tak jak poprzedniego dnia.

– To była klisza.

– Chyba się tego spodziewaliśmy – powiedział za nas dwoje. Słusznie zresztą. – Zbyt ten twój stary poukładany, żeby trzymać w takim pudełku nadpalone cygaro albo spinacze, nie?

Nie wiem, czy chciał zażartować, ale kiedy wyobraziłam sobie mojego ojca odkładającego końcówkę cygara do sejfu, uśmiechnęłam się do siebie.

– Masz już odbitki? – zapytał.

– Zawiozłam film do Stratosfery. Czekał – powiedziałam, widząc nadjeżdżający z naprzeciwka radiowóz. Położyłam telefon na kolanach. Panowie jednak nie zwrócili na mnie uwagi. Gdy zniknęli, przyłożyłam go znów do ucha. – Policja.

– Dobrze. Ja też prowadzę – zaśmiał się, chyba po raz pierwszy tak na luzie, szczerze.

– Zdjęcia odbieram za dwa dni.

– Świetnie. Rozmawiałem z ludźmi w szpitalu. Jesteśmy umówieni na jutro.

– My? – zapytałam zszokowana. Nie prosiłam go o to.

– A co? Wolisz tam jechać sama?

– Czekaj, czekaj – powstrzymałam go. – Dziękuję ci, że się tak zaangażowałeś, ale ja nie jestem pewna, czy w ogóle chcę tam jechać.

– Nie jesteś ciekawa, co mają do powiedzenia o twojej matce?

– Jestem – odpowiedziałam pewnie. Chwilę później zwątpiłam. – Jestem? – zapytałam, także na głos. Po prostu nie byłam gotowa na tę podróż, szczególnie że miała się odbyć tak szybko.

– Jeśli to ma pomóc w rozwikłaniu całej sprawy... – zachęcał mnie Adam.

Pomyślałam o Tomku. O moim aniele stróżu. Nie wiem, czy nie wolałabym jechać tam z nim. A co, jeśli ona tam siedziała przez coś niewyobrażalnie złego? Za własne, podłe czyny lub jako ofiara? Nie byłam pewna, czy Adam jest odpowiednim towarzyszem w tak trudnej podróży.

– Jeśli ma pomóc... – Biłam się z myślami.

– Jeśli się nie zdecydujesz, pojedę tam sam – oznajmił.

– Nie powiedzą ci – podniosłam głos. Przecież to oczywiste! Czy był tak naiwny?

– Założysz się? – wystrzelił i znów na chwilę mnie zamurowało.

– Dlaczego tak się zainteresowałeś moją sprawą? – Próbowałam w jego intencjach odczytać coś między wierszami. Podobałam mu się? A może był początkującym pisarzem i szukał inspiracji? Temat naprawdę był intrygujący, delikatnie ujmując.

– Bo...

– Tylko nie mów mi już, że jestem fajną... – przerwałam.

– Nie powiem – wszedł mi w słowo. – Nie miałem tego na myśli.

A wtedy, w sklepowym kantorku... Nie powinienem był tak mówić. Wybacz. Chcę ci pomóc, bo mogę.

I wtedy, bez względu na to, czy mówił prawdę, czy nie, zrobiło mi się miło. Bo usłyszałam to, co powinnam była już dawno. Bez zbędnych nacisków typu: „Musisz porozmawiać z policją” lub wątpliwości: „Na pewno chcesz to zrobić”? Po prostu. Mogę pomóc i pomogę. „Nie pytałem, czy tego chcesz. Wiem, że to docenisz”. Chociaż sama nie byłam pewna, czy chcę dowiedzieć się o mojej matce tego, co przez tyle lat ojciec skrzętnie ukrywał, wiedziałam, że tak należało zrobić.

– O której się spotkamy? – Po chwili milczenia odważyłam się na pytanie, na które zapewne czekał.

– O dziewiątej. Na rogu twojej ulicy. Tylko się nie spóźnij.

– Będę punktualnie.

Kolejny dzień przywitał mnie w domu wciąż pogrążonym we śnie. Obudziłam się o piątej. Na dworze było już jasno, ptaki darły się w koronie starego drzewa w ogrodzie tuż przy moim oknie. Nie mogłam spać, choć wcześniej nie śniłam o niczym. Po prostu, jak za dotknięciem różdżki otworzyłam oczy i zaczęłam bitwę myśli. Poczułam, jak wzbiera we mnie niepokój. Ilekroć pomyślałam o rolce kliszy fotograficznej, naszym włamaniu do sejfu ojca czy nawet o samym spotkaniu z Adamem, czułam podekscytowanie. Im jaśniej się robiło, im bliżej do dziewiątej, tym bardziej nasilało się nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu.

O siódmej dziękowałam rynkowi farmaceutycznemu za leki na rozwolnienie. Nie byłam jednak pewna, czy w ogóle uda mi się wyjść z domu. Chociaż byłam zwolenniczką terapii i przemiany wewnętrznej, zawsze trzymałam w domu dyżurne opakowanie hydroksyzyny. Wzięłam dwie tabletki i natychmiast poczułam się senna. Z początku wydawało mi się, że to autosugestia. Ale to chemia zaczęła działać, mój organizm oszalał. Zawroty głowy i szum w uszach stały się nieznośne, choć taka dawka powinna łagodnie wyciszać.

O ósmej pomyślałam, że pora wszystko odwołać. Zanim wybrałam numer Adama, zrobiłam coś niedopuszczalnego i położyłam się na dwadzieścia minut, przegrywając z sennością spowodowaną tabletkami. Tabletkami, po których powinno się spać najlepiej całą noc i bez przerwy. Gdy zniekształcony dźwięk budzika w telefonie wyrwał mnie ze snu, rozplakałam się. Zrobiłam to po raz kolejny, kiedy spojrzałam w lustro. Za dwadzieścia dziewięć ubrałam się, uczesałam i nawet lekko umalowałam. A potem wyszłam, by o dziewiętej pojawić się na rogu ulicy.

Adama zobaczyłam z daleka. Czekał przy zaparkowanym samochodzie, którego sama nigdy bym nie kupiła, ale na który byłam dziś skazana. Nawet gdybym zaprotestowała i chciała jechać swoim wozem, musiałabym mu oddać kluczyki, a to po prostu nie wchodziło w grę.

– Jaka punktualna – stwierdził, po raz kolejny odpuszczając sobie powitanie.

Zrobił też coś, co sprawiło, że znów poczułam się niekomfortowo. Klepnął mnie w ramię, jak mężczyznę, dobrego kumpla. Nie zabolalo mnie, ale zdenerwowało. Pomyślałam, że zasługuję na to, by traktować mnie delikatnie, bo kuksańce mnie nie motywują.

– Nie czuję się najlepiej – oznajmiłam od razu.

– Wskakuj i zdrzemnij się – otworzył drzwi. – Zajmie nam to pół godzinki. Może czterdzieści minut.

– Do szpitala wojewódzkiego czterdzieści minut? – Rozłożyłam ręce. Wydawało mi się, że bełkoczę i wyglądam na pijaną. Dlatego mówiłam bardzo wolno, żeby dobrze składać słowa.

Adam przyjrzał mi się uważnie. Miałam wrażenie, że jego nozdrza delikatnie się rozszerzają, jakby w moim oddechu szukał woni alkoholu.

– A ty, kochana, myślałaś, że po upadku komunizmu wojewódzki szpital psychiatryczny nie zmienił siedziby?

– Zawsze wydawało mi się, że od lat mieści się w tym samym budynku.

– Pozwól, że ci wyjaśnię.

Zaprosił mnie gestem do samochodu. Wsiadłam i zapadłam się w skórzany fotel.

Po drodze wytłumaczył mi różnicę między miastem a województwem w latach osiemdziesiątych i wcześniej. Z tego, co zrozumiałam, mimo że znajdowaliśmy się w stolicy województwa, to w samym mieście rządził i dzielił szpital miejski. Aby nieco jeszcze utrudnić urzędowe zawilości i zależności, szpital wojewódzki nie mieścił się w stolicy regionu, a w mniejszym mieście. Zanim skończył wywód, usnęłam na kolejne pół godziny. Tym razem śniłam o matce, otoczonej kłębamii dymu papierosowego, w promieniach słońca wpadających do kuchni.

Poczułam szarpanie.

– Piłaś coś? – dotarło do mnie jakby z zaświatów. – Co brałaś?

To pytanie ostatecznie mnie rozbudziło.

– Nic – stęknęłam. – Nie spałam w nocy.

Adam szarpał mnie za ramię. Spojrzałam na jego rękę. Puścił.

– Spójrz na mnie – rozkazał.

Posłałam mu nieprzytomne spojrzenie.

– Wzięłam hydroksyzynę. Strasznie się zdenerwowałam.

Jego wzrok podziałał jak serum prawdy. Znów się rozryczałam. Nie wymagałam, by się nade mną litował. Ale nie chciałam, by był taki ostry. Nie wiem, czy mnie oceniał, czy poczuł się zażenowany. Wzięłam się w garść. Wytarłam nos wierzchem dłoni, a opuszkami palców z dolnych powiek zdjęłam łzy, które po wymieszaniu z tuszem do rzęs zamieniły się w czarne kleksy.

– Jeszcze chwilę – poprosiłam.

Nie odezwał się. Pozwolił mi się wypłakać, uspokoić i pozbierać.

– Gotowa? – zapytał.

– Nie. Ale pójźmy tam i miejmy to za sobą. – Wzięłam głośny oddech przez przytkany łzami nos i na chwilę zatrzymałam powietrze.

– Brawo. Dobra decyzja. – Adam znów klepnął mnie w ramię.

Wysiedliśmy z samochodu. Po czterdziestu minutach spędzonych w małej, klimatyzowanej przestrzeni wyjście na zewnątrz było jak skok do wulkanu. Gorąco uderzyło od asfaltu, którym pokryty był przyszpitalny parking.

– Nigdy tu nie byłam – powiedziałam.

– To chyba dobrze? W sensie, że nie jako pacjentka – poprawił się.

– Mam na myśli to miasto. A niedaleko stąd mamy kawałek lasu nad jeziorem i niewielką, starą chatkę – wyjaśniłam.

– Tak? – Wyraźnie zainteresował się tym faktem. Odniosłam wrażenie, że układa sobie coś w głowie.

– Dziwne, prawda? – kontynuowałam swoją myśl. Dopiero gdy zobaczyłam, jak marszczy czoło i nad czymś się zastanawia, zwróciłam uwagę na ten dziwny zbieg okoliczności.

Budynek szpitala został postawiony w latach sześćdziesiątych. Zapewne nie tak dawny remont sprawił, że w słoneczny dzień kolor fasady zlewał się z bładoniebieskim niebem.

Przed wejściem do środka Adam przystanął. Spojrzał na mnie surowo.

– Wejść pierwszy. Staraj się nie odzywać, nie komentuj, najlepiej stój obok i czymś się zajmij, dopóki ci nie powiem, że pora na ciebie. Dobra? – poinstruował mnie.

Zdziwiłam się. Od razu wyobraziłam sobie, jak kradnie klucze z portierni lub grozi, że się wysadzi, jeśli nie wejdzie do archiwum. Lub jak w drodze na portiernię przebiera się za lekarza.

– Jasne – odparłam niepewnie.

Oczywiście postanowiłam go słuchać i trzymać się z boku, ale trochę mnie te rozkazy dotknęły. „Milcz, ja będę mówił”.

Adam wszedł do budynku pierwszy, zgodnie z planem. Podszedł do oszklonej recepcji.

– Zamojski. Dzwoniłem wczoraj – przedstawił się przez interkom.

Stanowisko pielęgniarki dyżurnej od razu kojarzyło się z pacjentami kategorii „szczególnie niebezpieczni”. Ich oddział zamknięty musiał obfitować w kolekcję osobowości rodem z filmów jak *Tożsamość* lub *Lot nad kukułczym gniazdem...* Pomyślałam, że w takim miejscu nie można po prostu zażądać wydania papierów i grzecznie czekać na ich odbiór. Nie miałam pojęcia, jak Adam ma zamiar przekonać personel do przedstawienia mu historii pacjentki. Ku mojemu kompletnemu zdumieniu, wyjął z kieszeni policyjną odznakę i machnął nią przed oczami pielęgniarki. Zrozumiałam, dlaczego kazał mi milczeć.

– Tak, już panu mówię. – Pielęgniarka wyciągnęła na blat jeden z plastikowych koszyków, stojących w lewym rogu małego pomieszczenia. Wyszperała jakiś kwitek i przekazała go Adamowi przez półkoliste okienko. – Musicie państwo pójść z tym do archiwum. Stąd w prawo, do schodów i na sam dół. Pokój B3.

Podsunęła księgę odwiedzających, do której Adam wpisał swoje nazwisko i datę, po czym podetknął ją mnie, abym zrobiła to samo.

– Dzięki.

Bez mrugnięcia okiem wziął papier od pielęgniarki i odszedł we wskazanym kierunku. Podpisałam się i dogoniłam go.

– Skąd masz odznakę? – zapytałam cicho.

Byłam na niego zła. Najpierw biadoli, że znów go wsadzą do więzienia i nawet papier łapie przez rękaw bluzy, a teraz macha ludziom przed oczami podrobioną odznaką.

– Miałaś się nie odzywać – upomniał mnie. – A to oznacza również: nie pytać, nie komentować. Po prostu milczeć. Capisci?

Nie odpowiedziałam, zresztą zgodnie z życzeniem. Czułam się nieswojo. Odnosiłam wrażenie, że działamy nielegalnie. Ba, miałam pewność.

– Bywam na komisariacie, gdzie pracują nieostrożni funkcjonariusze –

powiedział znieca i mrugnął porozumiewawczo. – Nie odkładaj na bok odznaki. A teraz już cisza, jeśli chcesz czegoś się dowiedzieć.

Dotarcie do pokoju B3 okazało się wyzwaniem. Prowadził do niego korytarz będący częścią oddziału dla pacjentów w manii i depresji. Chorych przybywało wraz ze wzrostem tempa współczesnego życia i trzeba było wygospodarować więcej miejsca. Padło na skrzydło, w którym mieściło się archiwum, przez co zostało ono odizolowane od reszty szpitala i wchłonięte przez jeden z oddziałów dziennych.

Adam wcisnął dzwonek. Po jakimś czasie usłyszeliśmy kroki, a potem szcęk zamka w drzwiach.

– Zamojski.

Znów legitymacja, przyprawiająca mnie o ciarki. Odruchowo zacisnęłam pięści.

– A tak, zapraszam – powiedział pielęgniarz i przepuścił nas w drzwiach.

Naszym oczom ukazał się jasny korytarz, rozświetlony jarzeniówkami. Znałam podobne widoki z praktyk. Ściany upstrzone radosną twórczością ludzi, którzy miewali myśli samobójcze. Ich krajobrazy, panoramy, słońca i lasy, jeziora, ptaki, chociaż przypominały rysunki dziecięce, tak naprawdę wyrażały smutek i tęsknotę za normalnością. Przypomnieli mi się moi pacjenci. Miałam wyrzuty sumienia. Ale naprawdę nie mogłam pracować. Dlatego tu przyjechałam. By wyjaśnić, zrozumieć i zapomnieć.

Poczułam, że chociaż przebywający tu pacjenci nie byli niebezpieczni, fakt, że trzeba będzie się z nimi zetknąć, wprawiał mnie w dyskomfort. Szczególnie że w szpitalu, tak jak i w wielu innych tego typu placówkach, zarówno personel, jak i podopieczni oddziału mieli prawo do strojów dziennych, przez co trudno było odróżnić, kto jest kim.

Stanęliśmy pod pokojem, na którego drzwiach wisiała tabliczka z oznaczeniem B3. Żadnych sugestii co do archiwum. Pielęgniarz uchylił drzwi i zajrzał do środka.

– Jeszcze trwa konsylium. Powinno to zająć mniej niż kwadrans.

– Konsylium? – zdziwiłam się.

Adam spojrział na mnie karcąco. Miałam się nie odzywać.

– No niestety. Dyżurka w remoncie. Lekarze przychodzą do naszej na obiad. Obradują w archiwum. Lepiej tutaj niż w łazience. Nie ma gdzie się podziać – wyjaśnił.

– Trudno, zaczekamy – zarządził Adam. Świetnie wczuł się rolę policjanta. Był taki stanowczy, surowy. Sama bym to kupiła.

Pielęgniarz odszedł, a my czekaliśmy w milczeniu pod zamkniętymi drzwiami archiwum. Znałam takie oddziały, na których klamki w drzwiach były okrągłe, przekręcane. W innych często nie było klamek, a przynajmniej nie od strony, po której przebywał pacjent. Tutaj wszystko urządzono po domowemu, by w miarę skutecznie zamaskować przygnębiającą, szpitalną rzeczywistość.

– Jak się miewają twoi pacjenci? – zapytał Adam, przerywając milczenie, gdy wpatrywałam się w klamkę z nadzieją, że za chwilę się poruszy. Nie lubiłam takich cichych minut, ciągnęły się w nieskończoność.

– Nie jestem w stanie pracować – odparłam i westchnęłam mimowolnie.
– Oddałam pacjentów, póki co.

– Ale kasa płynie? – Oparł się o ścianę i tym jednym krzywym uśmiechem znów mnie zirytował. Był bardzo trudnym kompanem.

– Dlaczego jesteś złośliwy? Czy kiedyś cię obraziłam i nie możesz mi tego zapomnieć? – odpowiedziałam pytaniem.

– Powiedziałem coś nie tak? Martwię się po prostu – kontynuował w tym samym tonie.

– Jasne. – Odwróciłam od niego wzrok.

– Serio, Olka. – Przestał się uśmiechać. – Jak się okaże, że to twój ojciec do spółki z matką, to ci podeschnie źródółko. Przynajmniej na jakiś czas.

– Oduść – warknęłam i odwróciłam się od niego.

Gdy to zrobiłam, odkryłam, że przede mną stoi wąły mężczyzna i bacznie mi się przygląda. Zerknęłam kontrolnie na drzwi archiwum. Konsylium wciąż trwało. Świdrujące spojrzenie mężczyzny było tak wymowne, że mogłabym przysiąc, iż nikt nigdy dotąd nie patrzył mi prosto w oczy.

– Może pani pomożę? – zapytał i uśmiechnął się szeroko, nie otwierając przy tym ust. Wyglądał jak wesoły klaun z przyjęcia urodzinowego.

– Dziękuję, już wszystko wiemy. – Ja także rozciągnęłam usta w uśmiechu.

– Może jednak pani pomożę? Dyżurka jest w remoncie, ale ja wiem, gdzie przebywają lekarze. – Powtórzył mimiczny schemat, a ja zwątpiłam. Mógł być pielęgniarzem, ale ten dziwny błysk w oku sugerował coś zupełnie innego. Właśnie to na podobnych oddziałach psychiatrycznych niepokoiło mnie najbardziej.

– Ja też już wiem, gdzie są – odparłam powoli, starając się wy badać sytuację. – Mają konsylium tutaj, w archiwum. – Wyciągnęłam palec w kierunku drzwi i klamki.

– Może jednak pomożę? – zapytał po raz kolejny.

Jego oczy pociemniały, a uśmiech zniknął. Głos złapał niższy rejestr, jakby był nagrany na taśmie, którą ktoś odtwarzał w zwolnionym tempie. Twarz wesołego klauna w jednej chwili przeobraziła się w nieruchomą maskę.

Odruchowo cofnęłam się o krok i wpadłam na Adama, do którego chyba dotarło, że to nie serdeczne pogaduchy z personelem. Złapał mnie za ramiona i chciał odsunąć, ale nie pozwoliłam na to.

– Dobrze, czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest archiwum?

W normalnych okolicznościach wiedziałabym, że przy pacjencie z manią, w której występują epizody agresji, należy zachować spokój i czujność, aby nie urazić ani nie sprowokować. Ale to nie były normalne okoliczności. Od dnia porwania matki aż do teraz. Mój głos zadrżał.

Mężczyzna postąpił w naszą stronę. Adam drgnął, jak kot gotowy do skoku, gdy nagle usłyszałam szcęk klamki i głosy lekarzy.

– Archiwum jest za panią. – Mężczyzna wyciągnął rękę i wskazał na pomieszczenie, z którego wysypał się cały skład lekarskiego konsylium. Wesoły klaun wrócił w ułamku sekundy. – Jak coś by było trzeba, to proszę pytać. Śmiało! – W ułamku sekundy odwrócił się na sztywnych nogach i odszedł za lekarzami.

– Co to było? – zapytał Adam, wciąż trzymając mnie za ramiona.

– Nie co, tylko kto. To był właśnie typowy tutejszy pacjent. Rozumiesz już, dlaczego musiałam porzucić moich? – odgryzłam mu się i zadowolona stwierdziłam, że tym razem nie ma żadnej ciętej riposty.

Weszliśmy do pomieszczenia, w którym jeszcze przed chwilą przebywał zespół lekarzy. W powietrzu unosił się zapach spirytusu, antyperspirantu i lekkiej stęchlizny. Ta ostatnia woń wypełniała archiwum cały czas. Pochodziła z teczek pełnych starych dokumentów, którym zapewne remont dyżurki nie do końca służył.

– Halo? – zagaił Adam, jak zwykle czarujący i kulturalny.

– Halo, halo – odpowiedział ktoś z głębi pokoju.

Usłyszeliśmy szuranie i zgodnie z tym, co przewidywałam, sądząc po głosie, naszym oczom ukazał się starszy mężczyzna. Jego łysina połyskiwała w świetle jarzeniówek. Jedna z nich, znajdująca się nad stołem, przy którym zapewne przed chwilą obradowali lekarze, powoli się przepalała, bucząc agonalnie i strzelając od czasu do czasu.

– Pan Zamojski? – zapytał, zwracając się do Adama.

– Tak, to ja – odparł nieco zdziwiony Adam.

– Już mi tu dzwoniли, że pan przyjdzie. Da mi pan ten kwit, co to go dostał tam na górze. – Wyciągnął dłoń z pogiętymi starością palcami.

Adam przekazał mu świstek. Mężczyzna wyciągnął jednorazowy długopis z nazwą leku na depresję, napisał coś na karteczce i wsadził ją do bliźniaczego koszyczka, jak ten na górze, w recepcji.

– To kogo my szukamy? – Archiwista poprawił okulary, by chwilę później spojrzeć na nas spode łba.

Adam kiwnął głową w moją stronę. Domyśliłam się, że od tej pory wolno mi mówić.

– Teresy Sawickiej, rok osiemdziesiąty szósty, między innymi – odparłam.

– A pani jest?

– Córką.

Mężczyzna skinął głową i odszedł w stronę przesuwanych archiwalnych szafek. W ciszy słuchaliśmy przez chwilę, jak kręci wielkimi zaworami i odsuwa kolejne regały. Poczulałam ciepłą dłoń Adama na własnej dłoni.

– Nie spinaj się, mała. – Lekko mnie ścisnął. Dopiero teraz poczułam, że drzę.

– Nie jestem mała. – Spojrzałam na niego w górę, uświadamiając sobie, jaki jest wysoki. Mimowolnie zachichotałam, trochę z nerwów, trochę z sytuacji. On też się zaśmiał.

– Będzie dobrze – zapewnił.

Bardzo chciałam mu wierzyć.

Po kilku minutach pracownik archiwum wyłonił się z półmroku oddzielającego regały od miejsca, w którym na niego czekaliśmy. Niósł pokaźną kartotekę, a to już mnie zdenerwowało.

– Trochę tego jest. – Adam również to zauważył. Zapewne myślał, że będzie musiał spędzić tu nieco więcej czasu, niż planował. Ja zaś byłam przerażona tym, co mogłam znaleźć w teczkach. Kiedy starszy pan położył przede mną historię choroby mojej matki, żalowałam, że zgodziłam się tu przyjechać.

– Nie wiem, czy dam radę. – Kręciłam głową i starałam się uspokoić oddech.

– Spokojnie. Jakoś to przerobimy. Dawaj – zachęcał mnie Adam.

– Wiesz, co to oznacza? – Zmierzyłam palcami jedną z teczek i pokazałam mu w powietrzu grubość stosu.

– Że często tu bywała? – zgadywał.

– Że terapia była długa i mało skuteczna – wyjaśniłam. – Tu jest zapisany każdy jej epizod, każda forma leczenia i każda porażka.

Archiwista przyglądał się, potwierdzając moje słowa skinieniami głowy. Rozłożył przed sobą teczkę z numerem siedem. Chyba ostatnią. Powoli ją przeglądał, jakby usiłował sobie przypomnieć moją matkę z czasów, gdy była tu pacjentką.

– Dobrze, w takim razie pójdziemy na skróty. Bo musimy się czegoś dowiedzieć, tak?

– Adaś... – Zatkąło go, że go tak nazwałam. – Zapomniałeś chyba, że tu chodzi o moją matkę. To nie jest takie łatwe i na skróty. Rozumiesz?

Adam milczał. Znów spojrzał na archiwistę. Ten z kolei wyglądał jakoś inaczej. Jakby dla podkreślenia moich obaw, przeczytał wyrwane z kontekstu zdanie, które miało pogрузić mnie w strachu. Czujnie spoglądał znad okularów, zerkając to na mnie, to na Adama. Na mnie z troską. Na niego porozumiewawczo.

– A pan jest z policji, tak? – zapytał, choć wcześniej było mu to obojętne.

– Owszem – odrzekł pewnie Adam. Nawet się nie skrzywił.

– Pytam tylko, wie pan. Ja byłem tu pielęgniarzem. Teraz dorabiam na emeryturze, bo mnie ci pacjenci nerwowo wykańczali. – Zaśmiał się sztucznie. – Ale swoje wiem, rozumie pan. Tyle się z tymi lekarzami naoglądałem. Panią akurat dobrze rozumiem. Wytłumaczę panu, jak po wodę pójdziemy. I może jakaś tabletką tonująca dla pani się znajdzie?

– Nie, dziękuję. Już coś rano wzięłam. – Na samo wspomnienie poranka robiło mi się niedobrze.

– A co pani brała? – zainteresował się.

– Coś... na uspokojenie – zbyłam go. Nie chciałam wdawać się w szczegóły.

– To pewnie panią suszy... – Zamknął teczkę, którą dotąd studiował, odłożył ją na bok i spojrzał na mnie.

Poczułam, jakie mam zaschnięte gardło. I to do tego stopnia, że kiedy chciałam przełknąć ślinę, miałam wrażenie, że prędzej połknę własny język, niż wydobędę coś ze ślinianek.

– Może trochę – odparłam, czując potężne pragnienie.

– To może ja tu zaczekam, a pan przyniesie tę wodę? – Adam próbował się wykręcić od wędrowki po szpitalu. Zapewne nie chciał tracić kontroli nad sytuacją.

– A jednak. Musi mi pan pomóc. Ręce nie te. Teczkę doniosłem, ale wodę powylewam. – Ton pielęgniarza stał się dobitny.

Od razu wiedziałam, że coś nie gra. Ta śmieszna półotwarta konspiracja była albo bardzo nieudolna, albo celowa. Spojrzałam na odłożone na bok dokumenty. Nawet nie chciałam otwierać teczek. Nie wiedziałam tylko, czy właśnie nie o to chodzi emerytowanemu pielęgniarzowi. Przeszło mi przez myśl, że panowie umówili się co do wspólnego wyjścia, ale Adam zbyt szczerze się bronił, by to mogło być prawdą. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, uległ pielęgniarzowi.

– Dobrze, pójdę z panem – powiedział to tak, jakby rozumiał ukrytą w jego słowach intencję. Znów poczułam ukłucie w brzuchu, mimo zażytej wcześniej substancji. – Olka, może sama tego nie otwieraj – zarządził.

Nie miałam zamiaru. Kiedy wyszli, z początku odwróciłam się od papierów rozłożonych na blacie obszernego stołu. Po kilku minutach odkryłam, że siła sugestii jest niczym przy tym, co sami sobie potrafimy wmówić.

Autosugestia atakuje znienacka. Ma tę niesamowitą siłę oddziaływania, jaką nie może się pochwalić nawet najsprawniejszy hipnotyzer. A to dlatego, że choć po dłuższym czasie niemal każdego można

rozpracować, ofiara fałszywej sugestii zazwyczaj bywa czujna. Na początku nie wierzy, neguje, potem powoli przystaje na to, co się jej wmawia, by ostatecznie uwierzyć. Ale ten proces trwa. Natomiast z autosugestią jest inaczej. My, dla siebie samych, jesteśmy nieomylni. Dlatego jeśli wpadnie nam do głowy jakaś uporczywa myśl, nawet nie próbujemy się jej opierać. Poddajemy się bez walki. I to spotkało mnie w szpitalnym archiwum.

Najpierw pojawił się szelest. Budynek miał już swoje lata, ale w moim odczuciu nie posiadał duszy. Za to przedwojenna willa, w której mieszkałam, owszem. Tam każdy odgłos: stęknęcie, łomot, bulgot, szuranie dało się wyjaśnić starością. Ponad stuletnie podłogi, część ciągu kanalizacyjnego, wypaczone okienko na strychu, a nade wszystko meble miały dusze i czasem potrzebowały wyrazić swoje zdanie jakimś dźwiękiem. Mniej lub bardziej niepokojącym. Ale w tym budynku... W budynku szpitalnym jedynym wyjaśnieniem szelestu mógł być maniackalny pacjent, który widział, jak archiwista i Adam wychodzą z pomieszczenia, zostawiając mnie tu samą. Więc gdy coś usłyszałam, po prostu zdrętwiałam.

Archiwum było dobrze wytłumionym pomieszczeniem. Obrośnięte kurzem teczki, wykładzina i drewno sprawiały, że każdy odgłos stawał się bardziej intensywny. Szelest zamienił się w szuranie. Ktoś przesuwiał się pod drzwiami w tę i z powrotem, jakby nie był pewien, czy chce wejść, czy nie. Wstałam i cicho przemknęłam pod ścianę. Obleciał mnie strach. Byłam pewna, że pacjent wrócił i tym razem pokaże, na co go stać. Że jego ciemniejące oczy i matowy głos to tylko preludium do prawdziwego ataku maniackalnej agresji, którą postanowił obdarować akurat mnie.

Przylgnęłam do ściany i nasłuchiwałam.

Klamka poruszyła się i zatrzymała w połowie drogi do otwarcia. Jęknęłam i natychmiast zasłoniłam usta dłonią. Wpatrywałam się w drzwi. Godziny myślenia o porwaniu, rozpamiętywanie tego, co się zdarzyło, właśnie wydały plon. Zamiast, jako całkiem niezłą terapeutka, powtarzać

sobie, że jestem silna, sama ciągnęłam się na dno, użalając się nad sobą. Obiecałam w myślach, że od tej pory każdą wolną chwilę spędzę na wmawianiu sobie, że jestem niezniszczalna. Na razie sprawdziłam, czy nie znajdę czegoś, co w najgorszym wypadku, gdy zawiedzie siła perswazji, pomoże mi obezwładnić napastnika. Staralam się też nie poddawać kolejnej niezwykle trafnej autosugestii, która szła mniej więcej tak: „Jeśli on tu wejdzie, nie żyjesz”.

Klamka poszła w dół. Napad paniki był nieunikniony. Przerazenie odebrało mi pięćdziesiąt procent wzroku, zalewając wizję białymi plamami. Zorientowałam się, że zamiast rozsierzonego pacjenta do pokoju wszedł Adam, a za nim archiwista. Gdy zobaczył, że nie ma mnie przy stole, tylko kulę się pod ścianą, mięśnie twarzy skamieniały mu w ułamku sekundy.

– Olka? Coś ci jest?

Podszedł szybko, znów po swojemu chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. Nie całkiem oprzytomniałam, ale dzięki temu szarpnięciu przynajmniej zaczęłam równiej oddychać.

– Może pójde po lekarza? – zapytał zaniepokojony pielęgniarz.

– Nie – zaprotestowałam. – Ja wiem... co mi jest... Panika...

Adam spojrzał porozumiewawczo na pielęgniarza.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie, tylko... ten... pacjent... – Przerzywałam co chwilę, mówienie mnie męczyło.

– Jaki znów pacjent? – zdziwił się archiwista.

– Już wyjaśniam. – Adam przewrócił oczami, jakby moje zachowanie było tylko fanaberią. – Kiedy czekaliśmy pod archiwum, pojawił się...

– Pacjent – przerwałam mu, nie chcąc, by coś przeinaczył. – Z manią. Pytał, czy może pomóc.

– Niegroźny raczej, ale wie pan... Pani po przejściach i...

– Zaraz, zaraz. – Pielęgniarz uniósł ręce, wchodząc Adamowi w zdanie.

– Taki czarny, niewysoki? Ze znamieniem pod okiem?

– Tak. – Oboje kiwnęliśmy głowami.

– Aha. – Archiwista zamyślił się na chwilę. – To nie pacjent. To salowy
– powiedział, wyraźnie rozbawiony.

Zaszokowało to nas oboje.

– Nastraszył panią? – zapytał po chwili.

– Mało powiedziane – odpowiedział Adam, wskazując na mnie palcem.
Znów tylko skwapliwie pokiwałam głową.

– On tak już ma... Wicie państwo – mężczyzna ściszył głos do konspiracyjnego szeptu – my tutaj wszyscy po jakimś czasie jesteśmy stuknięci. – Spojrzał na Adama i zacisnął powieki w kolejnym porozumiewawczym mrugnięciu.

Adam zrozumiał sygnał.

– Olka... – zaczął. Jakoś tak zbyt łagodnie, jak na niego. Coś mi tu śmierdziało.

– Nie przeglądałam teczek. – Od razu przystąpiłam do obrony.

– Wiem... Już wiem – Objął mnie ramieniem. – Może masz na dziś za dużo wrażeń?

– Nie na tyle, żeby już wracać. Chyba nie po tu przyjechaliśmy? – zaprzeczyłam własnym myślom, które jeszcze przed momentem krzyczały: „Chodu!”.

– Wypożyczymy te dokumenty i przejrzymy, pomału, spokojnie... – mówił dalej, a ja wcale się nie uspokajałam. Wręcz przeciwnie, mój oddech znów przyśpieszył.

– O co tu chodzi? – Zaczął mnie wkurzać tą swoją nienaturalną łagodnością.

– Nie denerwuj się. Pan po prostu też nie ma czasu, żebyśmy siedzieli mu na głowie...

Pielęgniarka jak na zawołanie przytaknęła, choć co niby miał tu do roboty?

Mógłby w końcu odkurzyć. Ale poza tym to chyba niewiele działało się w archiwum.

– Mów – rzuciłam ostro.

– Dobra, ale nie tu. – Zmienił się nagle. Wrócił normalny Adam. I o dziwo, wolałam go teraz właśnie takim.

– Jeśli zgodzę się wyjść, powiesz mi w samochodzie? – upewniłam się.

Westchnął. Przecież wiedział, że nie jestem taka głupia, jak mu się wydawało, kiedy chodziliśmy razem do szkoły.

– Pokażę ci coś w aucie, tak – powiedział. Wyglądało na to, że nie jest mu łatwo.

Wyszliśmy ze szpitala z naręczem dokumentów, które kazano nam odesłać w ciągu dwóch tygodni.

– Wydawało mi się, że będziemy studiować historię jej choroby w asyście jakiegoś specjalisty – zauważyłam.

Poprzedniej nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądać nasza wizyta w szpitalu. Ale w żadnej z moich wizji ten dzień nie przebiegał tak, jak do tej pory.

– Przecież ty się na tym trochę znasz... – powiedział Adam.

Był zamyślony. Ta ucieczka ze szpitala, sugestia, że powinniśmy być sami... Coś go trapiło. Powoli zaczynałam rozumieć, że spoczywa na nim brzemień powiedzenia mi czegoś paskudnego.

– Znam, ale lekarzem nie jestem – odparłam mniej pewnie. – Adam? – Pociągnęłam go za ramię, odczuwając na własnej skórze, jak podobne sytuacje zbliżają do siebie ludzi.

– Co jest? – opuścił wzrok. To mu się dotąd nie zdarzało.

– Błagam cię, powiedz mi, co jest w tych papierach. – Chciałam to wyczytać w jego oczach. Kiedy na mnie spojrzał, były smutne, zmęczone i mówiły więcej niż jakiegokolwiek słowa. Wyglądał tak, jakby wiedział, co się stanie, gdy powie mi „to coś”. Bo coś do powiedzenia było i to on

musiał mi to przekazać.

– Chodź – rzucił przez ramię i skierował się w stronę parkingu.

Weszliśmy do auta i Adam zaczął odwiązywać teczki.

– Przeczytaj – nakazał, otwierając pierwszą z nich.

W dokumentach matki, zgodnie z moimi oczekiwaniami, znalazły się opisy jej zachowania, przebiegu choroby i leczenia. Ta dokumentacja przypadała na środkowy okres choroby.

– „Nasilające się ataki agresji” – czytałam. – „Niebezpieczna dla otoczenia”. Wnioskuje, że jej choroba się pogłębiała. Pogryzła kogoś? Pogryzła pielęgniarza. Straszne. Ja mam łagodnych pacjentów. Tylko nieszczęśliwych. I to mnie przygnębia...

– Nie widzisz... – wtrącił nagle.

– Czego?

– Czytaj dalej. – Oparł rękę na kierownicy i zakrył nią twarz.

Przerzucałam kolejne kartki.

– Wprowadzone leczenie... no dobrze. Zaburzenia paranoidalne... – mamrotałam pod nosem. – Wygląda na to, że jej przeszło. Dziś poza przesadną egzaltacją nie ma po tym śladu. Wiesz, ona zawsze była nieco agresywna, ale nigdy aż tak. Tłumaczyłam jej zachowanie paskudnym usposobieniem, ale dziś widzę, co wynika z tych dokumentów...

– Cofnij się do początku – zarządził, znów mi przerywając.

Zatrzymałam się na chwilę. Zawiesiłam rękę w powietrzu, głos w pół zdania i wstrzymałam oddech. Gdy nadal tak siedział z twarzą skrytą w dłoni, robiłam to, co zasugerował. Przewertowałam kartki i cofnęłam się na początek dokumentacji, do pierwszego wywiadu, który wzięto od Teresy na izbie przyjęć. Wpatrywałam się w teczkę tak długo, aż przestałam w ogóle cokolwiek widzieć i rozumieć. Nawet mój ojczysty język, czytany w myślach, brzmiał jakoś obco.

– Chcesz drugą? – zapytał Adam.

– Jeśli to ma mi pomóc zgadnąć – odparłam. Jakby nie mógł mi po prostu powiedzieć.

Podał mi dokumentację z późniejszego pobytu matki w szpitalu.

– Otwórz sama – nakazał.

Tak zrobiłam. Odchyliłam okładkę i zobaczyłam to samo. Linijka po linijce smutny opis choroby, która z jakiegoś powodu nadeszła i nie chciała ustąpić. Aż nagle, po latach, nie było po niej śladu.

– Proszę, nie maltretuj mnie – powiedziałam, bliska płaczu. – Nawet nie wiem, na co mam patrzeć!

– Otwórz na początku. Na pierwszej stronie. Proszę.

Znów trafiłam na kartę przyjęcia do szpitala oraz kartę pacjentki. Taką, którą przywieszają się na łóżko chorego.

– Adam, co ja mam tam zobaczyć? – Byłam coraz bardziej zdesperowana.

– Datę przyjęcia – odrzekł.

– Dwunasty sierpnia, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty siódmy – przeczytałam posłusznie.

– Byłaś już wtedy na świecie? – zapytał.

– Byłam, owszem, ale wciąż małą dziewczynką. Nikt nie informował mnie, że mama wylądowała w szpitalu dla psychicznie chorych – poirytowałam się.

– Czytaj dalej.

– Adam...

– Całość, czytaj – warknął.

Ucichłam na chwilę. Zrobiło się nieprzyjemnie.

– Pacjentka z objawami paranoi...

– Dalej. Wywiad.

– Niepijąca. Niepaląca. Dobre sobie – skomentowałam, nosem wyobraźni czując dym, który codziennie produkowała w domu. – Miejsce

urodzenia... Tutaj? – zdumiałam się. – Nigdy o tym nie wspominała. – Nie wiedziałam, że matka pochodziła stąd. Zawsze grała rodowitego mieszczaucha. – Leki przyjmowane na stałe...

Nabrałam powietrza, żeby jednym tchem wymienić je wszystkie. I tak już zostało. Tym razem to nie była panika, tylko szok. A o oddechu po prostu zapomniałam. Miałam przed oczami to, o czym mówił Adam. Znalazłam. Ale w życiu nie przeszłoby mi przez myśl, że szukam czegoś takiego!

– Bezdzienna... – przeczytałam bezgłośnie.

Adam odetchnął głęboko, jakby chciał powiedzieć: „To teraz się zacznie”. Ja natomiast poczułam potrzebę wyjścia z samochodu. Otworzyłam drzwi. Nie wiedziałam, czy będę wymiotować, czy biec na oślep. Z drugiej strony auta Adam zrobił to samo. Spokojnie, w pełni opanowany. Jakby robił to nie raz. A ja po prostu upadłam. Przewróciłam się. Nogi wyjechały spode mnie. Chodnik zrobił się miękki jak wata. Skuliłam się na nim jak kot i nie mogłam się ruszyć.

– Chodź, chodź – powiedział i podniósł mnie z ziemi.

Spojrzałam na niego, kompletnie oszołomiona.

– Przepraszam. Stchórzyłem – tłumaczył.

– Ona...

Próbowałam to jakoś pozbierać. Ale takiego szoku nie da się zwyczajnie ogarnąć. Wielokrotnie przyjmowałam osoby, które dowiedziały się, że ich rodzice w rzeczywistości nimi nie byli. Pytali mnie, czy powinni szukać biologicznych? Czy wybaczyć tym, którzy ich wychowali? Zagubieni i bezbronni, stali na krawędzi załamania, a ja miałam ich wyleczyć. I często mi się udawało. Ale za nic w świecie nie umiałam wyleczyć siebie.

– Pomogę ci. Musisz wsiąść do samochodu.

Adam wciągnął mnie do auta i zamknął drzwi. Wsiadł, odpalił silnik i włączył klimatyzację. Mimo że dmuchnęło na mnie zimnym powietrzem, nadal czułam podskórny żar.

– Oliwia? – zagaił.

Milczałam. Nie wiem, jak długo. Kalkulowałam, rachowałam, przestawiałam daty, chcąc oszukać czas. Ale jak bym nie liczyła, nie sprawdzała, nie zaczarowywała, Teresa Sawicka-Pol nie była moją matką. A że nigdy również nie starała się nią być, nagle popadłam w stan, w jakim są żalobnicy. W jednej minucie miałam matkę, którą straciłam i pochowałam. W drugiej była już tylko pustka, którą w niedalekiej przyszłości miały wypełnić setki pytań.

– Chcę wracać do... – Zastanowiłam się nad znaczeniem słowa „dom”. Wciąż brzmiało tak samo, a jednak znaczyło już co innego.

– Przykro mi – powiedział. Tym razem bardzo szczerze.

Na rogu ulicy wysiadłam, zegnając go krótkim „cześć”. Długo nie ruszał z miejsca. Nie próbował iść za mną ani ze mną gadać. Albo znów stchórzył, albo odpuścił dla naszego wspólnego dobra. Gdy dotarłam do bramy przed domem, chęć na wejście do niego całkowicie minęła. Stałam tam przez chwilę i patrzyłam na spowitą bluszczem fasadę, aż powiodłam wzrokiem do kuchennego okna. Teresa paliła papierosa. Zawsze o tej samej porze, w tym samym miejscu. Mój wzrok spotkał się z jej wzrokiem. Wydmuchiwała dym przez nos. Zmrużyła oczy. Tak jakby wiedziała, gdzie byłam i co robiłam. Moje myśli pędziły na oślep i rozбивały się jedna o drugą. Znów powróciły te, że to ona zaaranżowała moje uprowadzenie. Przecież nie byłyśmy związane, ani emocjonalnie, ani więzami krwi. Nadal jednak nie znałam motywu. Jeśli to ona chciała mnie poniżyć, wynajmując zbirów, to dlaczego to zrobiła? Czy to choroba, która nagle wróciła ze zdwojoną siłą? A może jeszcze coś...

Patrzyłyśmy na siebie oddzielone szybą i zasłoną z dymu. Ona w swoim królestwie. Ja na banicji. Zamiast normalnych szumów miasta, słyszałam jedynie własny oddech. I te uporczywe myśli. Wszyscy wiecznie powtarzali, że jestem do niej podobna. Tak bardzo, że któryś z policjantów wysnuł tezę, iż za jej porwaniem stoją ludzie, którzy chcieli uprowadzić

mnie. Być może nadal mieli taką teorię. Pierwsze porwanie było przypadkowe, drugie już właściwe. W każdym razie podobieństwo widziałam nawet ja sama. Nienawidziłam go. Im bardziej nie lubiłam Teresy, tym bardziej widziałam u siebie te same kręcone włosy, usta układające się w serce czy „rodzinne” sińce pod oczami. Gdzie jednak to wszystko teraz było? Czy wmawiałam sobie przez lata, że jestem jej lustrzanym odbiciem, by to zmaterializować? Kolejna autosugestia? A może mylili się w szpitalu? Chcieli to widzieć, tak jak wszyscy. Matka z córką. Wiedziałam, że nie znajdę odpowiedzi na te pytania. Nie teraz. I nie u niej.

Zdecydowałam. Odepchnęłam się od płotu i odeszłam. Po drodze wyciągnęłam telefon.

– Halo? – usłyszałam.

– Tomek! – ucieszyłam się na dźwięk jego głosu.

– Oliwia? Wszystko dobrze?

– Nie.

– Słyszę właśnie.

– Mam pytanie. – Otarłam łzę. Pierwszą tego dnia. Ale nie ostatnią.

– Słucham?

– Mogę u ciebie spać? – zapytałam prosto z mostu.

– Jasne – odparł bez namysłu. – Gdzie jesteś? Przyjadę.

X

Szum wody w czajniku elektrycznym w moim śnie przerodził się w szum wodospadu. Moc dźwięku przybierała na sile. Był piękny. Wznosił się wysoko. Stałam po pas w wodzie, nie zimnej, tylko przyjemnie orzeźwiającej i przejrzystej. Gdy woda w czajniku zabulgotała, otworzyłam oczy. Sufit nad wielkim łóżkiem był z surowych, betonowych bloków, z których na białych kablach zwisały wielkie żarówki Edisona. Ściany pomalowano na biało, a z każdej z licznych ram, antyram i passe-partout spoglądała na mnie sztuka, której nie rozumiałam. Ale to nie miało znaczenia. Do pokoju zajrzało słońce i otuliło mnie ciepłym blaskiem. Po raz pierwszy od dawna poczułam się wypoczęta.

Poprzedniego wieczoru Tomek o nic nie pytał. Niczego nie chciał, nie oczekiwał wdzięczności. Usiedliśmy, pomilczeliśmy, potem gadaliśmy o niczym. Nie zwierzałam się, ale nie przeszkadzało mu to. Szanował moją prywatność. Wcześniej położyłam się do łóżka, kompletnie wykończona. Zasypiałam załamana. Teraz czułam się dobrze.

Weszłam do sporego salonu, który za dnia prezentował się jeszcze lepiej niż wczoraj wieczorem. Od razu przywitał mnie pies, zaaferowany faktem, że jego pan zbiera się do wyjścia.

Na pierwszy rzut oka było widać, że Tomek jest prężnie działającym prawnikiem. Mieszkanie przypominało wystawę najnowszych osiągnięć techniki, od klimatyzacji i sprzętów kuchennych, po detale wykończenia. Apartament położony był w porcie, w nowoczesnej rezydencji, z widokiem na zabytkową część miasta. Był cichy i spokojny. Słońce wkładało się do przestronnych pomieszczeń przez szpary w okiennicach, które pięknie zdobiły cały budynek od zewnątrz. I pomyśleć, że taki spokój i cisza panowały tu w wieczór, gdy nieopodal, w pobliskich hangarach, dwóch

zbozczeńców znęcało się nade mną.

– Siad, Wika, siad – uspokajał sukę Tomek.

Pakował się przed wyjściem do pracy.

– Zostaw ją, nie przeszkadza mi. – Uśmiechnęłam się do niego.

– Jak się spało? – zapytał, ale tak, jakby go to nie interesowało.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

– Nie musisz. Zawsze chętnie ci pomogę.

– Wiesz... – zaczęłam. Chciałam mu się zwierzyć. Dziś już tak.

– Słucham? – Znów to samo. Nie patrzył na mnie. Mogłam tu być, ale równie dobrze zamiast mnie mógł grać telewizor. Nie zwracał na mnie uwagi, a bardzo tego potrzebowałam.

– Dowiedziałam się wczoraj czegoś nowego i po prostu... Moje życie zmieniło się diametralnie – wyznałam.

Tomek na chwilę zwolnił. Podszedł do mnie i przygarnął do siebie.

– Osiągnęłaś dół sinusoidy – powiedział.

– Co takiego? – Nie zrozumiałam go.

– Jesteś na dnie. Teraz się od niego odbijesz i wszystko wróci do normy.

Wiesz, jak wygląda...

– Sinusoida, tak. Wiem. – Dziwnie się poczułam z tą protekcyjną śpiewką. Doskonale wiedział, przez co przechodzę. Nie przeszkadzało mu to wystrzelić z sinusoidą, o której zapewne rozmawiał z kolegami w pracy, gdy przegrał jakąś sprawę i nie mógł sobie pozwolić na wakacje na Malediwach.

– Zawsze tak jest, że balansujemy w życiu wokół osi.

– Balansujemy – powtórzyłam po nim, przypominając sobie, że wczoraj dowiedziałam się, że nie znam swojej prawdziwej matki. Balansujemy...
Dobre sobie.

– Wszystko w końcu się ułoży i wróci do normy, prawda? – Pocałował mnie w policzek. Tak, jak mężczyzna całuje kobietę. Potem odgarnął moje

włosy za ucho i jak nakręcony robocik wrócił do pakowania rzeczy.

Nie słuchał mnie. Teraz zobaczyłam w nim nie anioła, który przyniósł mi kwiaty do szpitala, ale superbohatera, który wczoraj pomógł dziewczynie w potrzebie, a teraz leciał ratować inną część Gotham czy jakiegoś innego Metropolis.

– Dzięki – powiedziałam, wbijając paznokcie w dłonie. Strasznie chciałam się mu wygadać.

– Kiedy będziesz wychodzić, wystarczy, że zatrząsniesz drzwi. – Poderwał z krzesła wiśniową teczkę Wittchena za trzy tysiące.

– Gdybym chciała jeszcze raz pójść do tego magazynu...

– Jestem do dyspozycji. Tylko daj znać ze dwa dni wcześniej.

Miał już wyjść, gdy przystanął przy drzwiach.

– Wiesz... – zawahał się. – Wróciłem tam tego samego dnia, wieczorem...

– Po co? – zdumiałam się.

– Założyłem starą kłódkę, którą znalazłem w domu. Klucz wrzuciłem do rzeki. Jeśli policja zechce tam wejść z nakazem rewizji, sami będą musieli się włamać. Chciałem mieć czyste sumienie – wyjaśnił.

– Rozumiem. – A więc o to mu chodziło. Poczuł, że narażam go na niebezpieczeństwo. Całą misternie zaplanowaną i troskliwie pielęgnowaną karierę. Byłam groźnym ciężarem, przez który mógł stracić prawo wykonywania zawodu. Może nawet się obraził, ale wychowanie nie pozwalało mu na okazanie niechęci. – Dobrze zrobiłeś. Dziękuję.

– Pa – powiedział i dał mi buziaka na do widzenia, po czym wyszedł, zostawiając mnie w pustym, obcym domu. Już nie azyłu, oazie, a krótkoterminowej przechowalni dla złamanych dusz.

Z okna zobaczyłam samochód opuszczający garaż. Krople deszczu, który powoli wyparowywał, zwiastując lepki, ciężki dzień, rozproszyły światła auta na kilkadziesiąt małych światełek. Chciało mi się wyć.

Najgorsze było chyba to, że miał rację. Tak łatwo mi przyszło zażądać, by tłuł się swoim pięknym samochodem po śródleśnej drodze do małej miejsciny, gdzie miał obiecać wszelką pomoc. I zabrać go do hangaru i kazać patrzeć, z jaką gracją zdejmuję kłódkę z drzwi. Na koniec poprosić o schronienie. A przecież wiedziałam, że nie mógł się wczuć w moje położenie. Odjechał. Poczułam się rozbita i zła na siebie. Za egocentryzm.

Zazwyczaj mi się to nie zdarzało... Tego dnia, na wspomnienie ostatnich trzech tygodni, poczułam nieodpartą potrzebę wyprania problemów w alkoholu. Nigdy nie nazywałam tego topieniem smutków. Raz a dobrze zatopiony statek już nie wypływa. Z doświadczenia zaś, także zawodowego, wiedziałam, że smutki nie toną w procentach. Alkohol daje efekt zapomnienia, nie eliminuje problemu. Pranie wydawało się lepszym słowem. Wyprana plama blednie.

Wróciłam do domu. Wśliznęłam się do wewnątrz i przemknęłam do pokoju. Ostatnią osobą, na którą chciałam trafić, była matka. Choć może nie powinnam jej tak nazywać? Może gdyby jeszcze dobrze ją udawała, zganiłabym się za podobny tok myślenia. Matka to nie tylko dawczyni komórek, to także ktoś, kto kocha, troszczy się i bezgranicznie poświęca. Ale Teresa taka nie była. Tolerowałam ją jako moją matkę, dawczynię genów. Była nią do wczoraj.

Nie wiedziałam, jak powinnam określić samą siebie. Sierota? Jestem już za stara, by móc tak o sobie powiedzieć. Niczyja. To bardziej trafne. Bo może nawet mój ojciec nie był nim tak naprawdę? Nie wiedziałam, ale nie miałam zamiaru pytać. Gdybym odważyła się to zrobić, z pewnością zapytałabym go o to, gdzie jest teraz moja matka. I kim była? Dlaczego jej nie poznałam?

Wzięłam kilka sztuk ubrań. Nie planowałam zostawać w domu. I tak, jak widać, nikt się o mnie nie martwił. Może Witek... Może. Bo też nie zadzwonił. Złapałam się na kolejnym egoistycznym wymaganiu. Oliwii nie ma w domu, sprawdźmy, gdzie jest. Ale Oliwia ma już swoje lata. Nie

mogłam oczekiwać, by martwiono się o mnie jak o nastolatkę. W duchu jednak liczyłam, że Witek zadzwoni wieczorem, zaniepokojony moją nieobecnością.

Otworzyłam przeglądarkę tanich noclegów. Musiały być tanie, bo nie pracując, tylko z mojego procentu właściciela zarabiałam mniej, właściwie tyle co nic, biorąc pod uwagę problemy finansowe kliniki. To wizyty pacjentów przynosiły jakieś konkretne zyski. Trzeba zaciskać pasa. Nie chciałam wracać do Tomka. Nawet jeśli znów udzieliliby mi schronienia, zgodził się ze mną napić i był tak bardzo, bardzo blisko, to następnego dnia ta bańka mydlana, którą nadmuchalibyśmy razem, pękłaby, rozbryzgując kolorowe mydliny... A takiej pustki o poranku, w obcym mieszkaniu i na kacu, nie chciałam przeżywać.

Plan upicia się ujawnił, jak mało mam przyjaciół. Szczególny deficyt dotyczył przyjaciółek. Takich, z którymi mogłabym się spotkać i poplotkować, którym miałabym szansę się wygadać czy też przez parę godzin pozatruwać im życie. Ale one nie istniały, a przynajmniej nie były ze mną tak blisko. Każda, o której pomyślałam, ciężko zdziwiłaby się moim telefonem. Najlepszym przyjacielem, jakiego miałam, przynajmniej tak mi się wydawało, był mój brat. Ale z nim nie miałam ochoty rozmawiać.

Gdy tak rozważałam, do kogo jeszcze zadzwonić, telefon sam odezwał się zniecka, dając odrobinę nadziei. Ktoś sobie o mnie przypomniał. Spojrzałam na wyświetlacz, okazało się, że tego numeru nie znam. Niepewnie odebrałam, licząc na to, że usłyszę znajomy głos. I nie będzie to obrzydliwe, drżące „halooo”.

– Oliwia Pol? – w telefonie zabrzmiał kobiecy głos.

– To ja – odparłam.

– Dzwonię ze Stratosfery – wyjaśniła rozmówczyni. Nawiedzona fotografka. No trudno. Z nią się nie napiję.

– Czy jest jakiś problem? – zapytałam, choć szczerze mówiąc, wcale mi już na tych fotkach nie zależało. No bo co miały teraz zmienić?

– Ależ skąd. Mam już twoje zdjęcia. Trochę się pośpieszyłam, wiem. Ale te stare fotografie są takie fascynujące.

– Fajnie. Odbiorę jutro – oznajmiłam.

– O nie, nie, nie! – zaprotestowała artystka. Zdumiałam się. – Według mnie powinnaś przyjechać już. Jeśli masz czas, rzecz jasna – dodała, pewnie uznając, że może jednak pracuję, jak inni ludzie.

– Już? – Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co właściwie czuję. Złość, rozbawienie? O co jej chodziło? O kasę?

– Odkryłam na tym filmie coś ekstra. Ach, te średnioformatówki. No po prostu klasa aparaty. Dziś takich już nie ma. – Dziewczyna ekscytowała się coraz bardziej. Tym razem mnie zainteresowała.

– Co to takiego? – zapytałam.

Wolałam najpierw usłyszeć niż zobaczyć, tak jak to miało miejsce z dokumentacją medyczną mojej... „matki”. Odsunęłam telefon od ucha. Pozwoliłam, żeby głos dochodził z daleka. Liczyłam, że łagodniej przyswoję informacje.

– Proszę, przyjeźdź do nas w wolnej chwili. Nie chcę psuć niespodzianki.

– No dobrze – zgodziłam się niepewnie, znów przykładając telefon do ucha. Skoro to było coś ekstra, to może mnie nie zabije. – Niedługo będę.

Dotarłam do Stratosfery po godzinie. Gdy wjechałam w ulicę, zerwał się gwałtowny deszcz, zalewając mi wnętrze auta. Widziałam, że się chmurzy. Było parno i nieznośnie. Mimo to zaryzykowałam, a teraz dach bardzo powoli zasuwiał się nad mokrymi siedzeniami. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę kopnąć w zderzak... Tylko po co?

Weszłam do laboratorium. Oczywiście, tak jak przedwczoraj, panował tłok. Ale „moja” ekspedientka, gdy tylko wypatrzyła mnie w tłumie, od razu zawołała:

– Wejdz, wejdz!

Wskazała mi przejście na zaplecze. Kolejny raz mnie zaskoczyła. Miałam nadzieję, że nie będę musiała za chwilę patrzeć na zdjęcia z miejsca zbrodni lub, co gorsza, akty miłosne rodziców.

Przeszłam przez wskazane drzwi i usiadłam.

– Może uznasz to za dziwactwo – zaczęła, a ja pomyślałam, że dziwniej chyba i tak już nie będzie.

– Nie, spokojnie – powiedziałam dyplomatycznie i odruchowo przyjąłam pozycję, w jakiej zazwyczaj siedziałam w pracy. Noga na nogę i dłonie na kolanach.

– Czy ty wiesz, co jest na kliszy? – zapytała zadowolona.

– Nie, ale zaraz mi powiesz...

– To zdjęcia rodzinne – wyjaśniła, a ja pomyślałam: „Skąd może wiedzieć?”. Przecież nie znała mojej rodziny ani nie wiedziała, jak wyglądałam jako dziecko.

Kobieta wcisnęła klawisz myszy i z komputerowego monitora spojrzała na mnie matka. Na tym zdjęciu nie wyglądała jak chora psychicznie, agresywna osoba. A także jak pasywna, nieczuła macocha, którą okazała się być. Miała łagodne rysy, ciepły uśmiech i takie intrygujące spojrzenie.

– To moja matka – przyznałam, patrząc na zdjęcie.

– I ciotka też się załapała! – wystrzeliła fotografka.

Tym razem nie starałam się jej zrozumieć. Zaczynała bredzić. Czułam, że jest z nią coś nie tak.

– Chyba nie pojmuję – zacisnęłam szczęki, przez co na pewno zdradziłam zdenerwowanie.

– W sensie: ciotka robiła fotkę – mówiła drażniącym, dziwnym tonem.

– Nie mam pojęcia, kto zrobił to zdjęcie.

– Ale ja wiem! – Była tak zadowolona z siebie, że aż przyklasnęła. – Skoro to jest twoja mama, to zdjęcie zrobiła ciotka.

– Rozumiem – powiedziałam wolno i rozejrzałam się, czy w razie czego

uda mi się szybko uciec z zaplecza.

– To zdjęcie jest wyjątkowe. – Artystka zdawała się nie widzieć mojej reakcji. Jakby to był występ, w którym grała główną rolę. Zaraz miało się wszystko wyjaśnić, ale póki co budowała napięcie. – Takie stare klisze, średnio- i wielkoformatowe matryce, naturalne światło, ostrość obrazu... to wszystko zdradza czasem ukrytą w zdjęciu magię.

– I tu jest ta magia? – zapytałam z nadzieją, że nie każe mi się przyglądać. Wczorajsze przyglądanie się papierom nie przyniosło niczego dobrego.

– Tak. A ja ją dla ciebie odkryłam. Spójrz.

Pracowniczka Stratosfery wspaniałomyślnie wybawiła mnie od odkrywania magii na własną rękę. Powoli zaczęła powiększać zdjęcie. Nadal budując napięcie, jakbym go już nie odczuwała...

Podczas powiększania skupiła się na oku matki. W niedługim czasie zobaczyłam, że widnieje w niej postać fotografa, który uwiecznił samego siebie, w odbiciu, w tęczęwce. Postać ta, trzymała aparat na wysokości brody, nawet nieco poniżej. Jakby z pełną świadomością fotografowała siebie w oku modelki.

– Ostatni szlif dał obraz autorki – powiedziała niezwykle zadowolona z siebie artystka. – Jeśli to jest twoja mama – wskazała na zdjęcie – to fotografowała ciotka. A propos, która jest która? – zapytała przekornie.

Ale odpowiedź nie padła.

Patrzyłam na postać uwiecznioną w oku modelki. Matka... to znaczy, chyba zgodnie z tym, co mówiła nawiedzona artystka, ciotka, robiła bardzo dobre zdjęcia. Tą fotografią jednak poruszyła mnie dogłębnie. Podpis bez liter, w postaci autoportretu, jaki złożyła w oku identycznej jak ona modelki, wiele wyjaśniał. Udowadniał rodzinne podobieństwo. Pozwalał domyślić się, dlaczego na niektórych fotografiach Teresa miała łagodne, spokojne rysy, podczas gdy w rzeczywistości jej twarz jawiła się ostra i zgorzkniała. Teresa najwyraźniej miała siostrę. A ta prawdopodobnie była

moją prawdziwą matką.

– A więc to nie jest odbicie w lustrze, tylko dwie osoby... – zaczęłam, powoli składając słowa. Nie chciałam zemdleć w Stratosferze, choć nazwa zakładu idealnie pasowałaby do utraty przytomności.

– Autoportret? No przecież widzisz, że nie. Znasz to zdjęcie? Wiedziałaś, że uwieczniła się w oku siostry? – zagadywała dziewczyna.

– Bliźniaczki...

Czułam, że drętwieją mi usta. Objaw nerwicy. I to znów w Stratosferze. Stratosfera... W tym odrętwieniu nie byłabym w stanie wypowiedzieć nazwy laboratorium, wzywając taksówkę, na przykład.

– No tak, słyszałam, że bliźniaczki lubią to podkreślać – poprawiła się sprzedawczyni.

Nadal nie rozumiała, że widzę moją matkę po raz... no, drugi w życiu. Byłam pewna, że zdjęcie na monitorze laptopa ojca także przedstawiało ją. Niesamowite.

– Zależy od bliźniaczek... – Patrzyłam zafascynowana na oko ze zdjęcia. Patrzyłam w oczy matce, której znalezienie jeszcze przed godziną graniczyło z cudem. Nie mogłam mieć pewności, rzecz jasna. Ale tak właśnie czułam. To była ona.

– Jest tego więcej? – zapytałam, z trudem wypowiadając słowa.

– Odbiłam wszystko i zrobiłam skany – odpowiedziała artystka, wręczając mi rachunek za „dobrą robotę”. Nawet nie wiedziała, jak dobrą. Od razu chętnie zapłaciłam.

– Adam! – huknęłam przejęta, usłyszawszy jego głos w słuchawce.

– Co tam, mała? – zapytał ostrożnie.

Jak musiałam wyglądać poprzedniego dnia, gdy opuściłam jego samochód? Pewnie jego palec wisiał teraz w pogotowiu nad klawiszem „rozłącz”.

– Znalazłam część odpowiedzi na moje pytania!

– I dzielisz się tym ze mną po wczorajszym armagedonie? – W tle grał telewizor. Usłyszałam, że go wyłączył. – Szacun. Ja bym już do siebie nie zadzwonił...

– Moja matka... – zaczęłam.

– Jak tam twoje plany na wieczór? – zapytał znienacka, wytrącając mnie z równowagi.

– Yyy... – Spojrzałam na samochód. Zostawiłam w nim spakowaną torbę z ubraniami i flaszkę, którą planowałam opróżnić w jakimś hotelu. – Nie mam planów – skłamałam.

– To ja ci je ułożę. Zapraszam do siebie na siódmą. Gra?

– Gra.

Adam rozłączył się.

– Tylko podaj... adres – powiedziałam do głuchego telefonu.

Mokłam przed samochodem, oszołomiona, starając się zrozumieć, dlaczego ostatnimi czasy stałam się dla ludzi ciężarem i w tym nieszczęściu trafiłam na największego dziwoląga, na jakiego się dało. Chwilę później telefon zawibrował. Spojrzałam na ekran, na którym wyświetliła się wiadomość od Adama.

*O pewnych rzeczach przez telefon się nie mówi. Kwiatowa 17/3.
O siódmej.*

Ciemne chmury nie odpuściły do samego wieczora.

Na tle deszczowego nieba blok na Kwiatowej, jeden z szeregu stosunkowo nowych budynków, wyglądał jak statek na wzburzonym morzu. Ktoś pomyślał, że okrągłe okna dadzą tej dość przeciętnej bryle polotu albo lekkości. Stworzył w ten sposób imitację promu. Gdy chmury szybko się przesuwaly, złudzenie optyczne sprawiało, że budynek płynął w swoją niekończącą się podróż.

Zadzwoniłam pod trójkę. Adam musiał chyba czekać przy domofonie, bo niemal od razu usłyszałam brzęczenie zamka elektrycznego.

Na pierwszym piętrze czekał na mnie w drzwiach.

– A gdybym była kimś innym? – zapytałam przekornie, odnosząc się do tego, że od razu nacisnął przycisk z kluczykiem, nie upewniwszy się, kto idzie.

– Widziałem cię przez okno – odparł z rozbijającą szczerością.

Nie skomentowałam. A jemu co się stało? Skąd ta odmiana, brak sarkazmu i chamstwa? A może to tylko chwilowe?

Weszliśmy do przedpokoju. Staliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. Zrobiło się niezręcznie, ale przypomniałam sobie, że w podróźnej torbie mam flaszkę wina.

– Czekaj. – Podniosłam w górę palec, a potem zanurzyłam tę samą rękę po łokieć w bagażu. Wyciągnęłam butelkę i mu ją wręczyłam. – Gościńiec.

– Też o tym pomyślałem – skomentował mój prezent z uśmiechem, typowym dla Polaka przed imprezą. – Bo wczoraj wyglądałaś, jakbyś potrzebowała resetu.

– Tak, chyba tak.

Poczułam się niezręcznie. Wpuściłam go do domu, kompletnie nie znając – tak. Wsiadłam z nim do samochodu i dałam się wywieźć za miasto – tak. Ale wspólnego resetu już nie byłam taka pewna. Postanowiłam wypić lampkę i pojechać do hotelu, tak jak zaplanowałam. I po drodze kupić kolejne wino. A co mi tam.

– Chodź, opowiesz mi. – Zaprosił mnie gestem do pokoju.

To było ładne, choć nieco zagracone mieszkanie. Stół w jadalni, mieszczącej się tuż obok otwartej kuchni, pełnił także rolę biurka, przez co walały się na nim papiery i jakieś zdjęcia. Sama nie należałam do szczególnie porządnickich. Dlatego od czasów naszego dzieciństwa była z nami pani Czesia (choć teraz wiedziałam, że także przez „egzotyczne podróże” matki). Adam szybko zgarnął dokumenty ze swojego biurko-stołu i odłożył w podobnym nieładzie na jedną z półek w meblościance.

– Rozgość się – zachęcił i poszedł do kuchni na poszukiwanie

kieliszków.

Usiadłam przy stole i rozejrzałam się. Lokum Adama było wielkości łazienki w mieszkaniu Tomka. Jednak po jego chłodnym, racjonalnym wykładzie na pożegnanie, to właśnie tu, wśród solidnego bałaganu, czułam się dziwnie bezpiecznie. Tomkowi ufałam, bo to on mnie znalazł na brzegu rzeki. Tego zaś, co łączyło mnie z Adamem, nie umiałam wyjaśnić w logiczny sposób. Zakładam, że zmieniony po traumie umysł wypierał, iż było to pożądanie. Pociąg, zwierzęcy instynkt. Poza uczuciem przyjemnego niepokoju, dawał też rezultat w postaci zaufania. Jakim, racjonalnie rozumując, nie powinnam obdarzyć nieznanego.

– Co tam się wydarzyło? – Postawił przede mną kieliszek, do połowy wypełniony winem. – Sorry, nie mam do czerwonego. Taki ze mnie koneser.

– Do białego też się nada – odparłam.

– No, mów. – Usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

Zastanowiłam się przez chwilę. Od czego by tu zacząć...?

– Tak w ogóle to chciałam podziękować za wczoraj. I za ten sejf, wtedy.

– Drobiazg – mruknął. Wyraźnie mile go zaskoczyłam.

– Nie, nie drobiazg. – Podniosłam kieliszek wina do ust i wypięłam połowę na raz. – Przepraszam – powiedziałam, odstawiając go na stół. Przetarłam usta. Ten pierwszy łyk uświadomił mi, przez co ostatnio przeszłam. – Sama nie mogę się nadziwić, jak dobrze to znoszę. Nie zrozum mnie źle, ale to nie są drobiazgi... – Zaśmiałam się nerwowo. Nawet na niego nie patrzyłam. Nie chciałam, by poznał, że znów zaczyna mną trząść.

– Pij, na zdrowie – zachęcił mnie Adam.

Jak zasugerował, tak zrobiłam. Dopięłam wino do końca. Adam natychmiast nalał mi kolejną porcję.

– Nie powinnam chyba – próbowałam się bronić.

– Powinnaś – powiedział stanowczo. – Chyba się nie widzisz...

– W sumie masz rację. – Kiwnęłam głową i osuszyłam kolejny kieliszek.

Gorąco rozlało się po brzuchu. To było przyjemne uczucie, szczególnie w deszczowy wieczór. On też wypił kilka łyków. Jeszcze mi się nie zdarzyło tak pić. Nawet tanie wino ze szklanki w domku nad jeziorem kosztowałam tak, jak to się powinno robić ze szlachetnymi trunkami. Tutaj nic nie miało znaczenia. Wartością dodaną była obecność Adama.

– Krępuję cię, tak? Wybacz. Taki już jestem. – Próbował odgadnąć moje myśli.

– Odebrałam dziś zdjęcia ze Stratosfery – oznajmiłam. Nie chciałam mówić o naszych relacjach, bo po czwartym kieliszku przesłabym do czynów.

– Tak czułem... Mówisz, że masz tam odpowiedzi? – zainteresował się.

– Moja matka... – znów zawiesiłam głos. Czy nadal powinnam ją tak nazywać?

– Zastępcza? – upewnił się.

– Tak, Teresa. Miała siostrę bliźniaczkę.

– No nie gadaj! – Adam aż zasłonił usta z wrażenia. – A ta kobieta z pulpitu w komputerze twojego staruszka to...?

– To właśnie ta siostra. Jestem tego pewna. Od początku coś mi w tym zdjęciu nie grało.

– Jak w filmie. – Wyszczrzył zęby. – Nie gniewaj się. Ja wiem, że tu chodzi o twoją matkę, ale to takie story...

– Dlatego mówię, że to, przez co przechodzę, mogłoby być dobrym konspektem do książki.

– A ta bliźniaczka... – Wyciągnął do mnie rękę i pokiwał, jakby mówił: „Chodź, chodź”. Gdy w zniecierpliwieniu uniósł brwi, zrozumiałam, że chce zobaczyć zdjęcia. Sięgnęłam do torby i wydobyłam z niej tekturowe

pudełko. – Ta bliźniaczka – kontynuował, otworzywszy pakunek – to ma jakieś imię?

– A skąd mam wiedzieć?

– Nie no, tak pytam. Bo wiesz... Może się przewijało podczas rodzinnych sztormów, takich przy lunchu, czy co wy tam jecie i kiedy.

– Niestety, nie przypominam sobie. Sądzę, że skoro to tajemnica, którą ojciec postanowił zamknąć w sejfie, to oboje się pilnowali. – Poprawiłam się na krześle i pociągnęłam nosem. – Przy obiadokolacji, jeśli w ogóle jedliśmy ją razem – dodałam.

Zmieszał się. Niczego przed nim nie udawałam. Chyba to zrozumiał, a może nawet docenił.

– Myślisz, że ta druga bliźniaczka to twoja matka?

– Jestem pewna – potwierdziłam bez wahania. – No, zawsze jest ryzyko, że nie, ale tutaj...

– A ta pewność wynika z... – Uniósł wysoko brwi.

– Jeszcze wczoraj myślałam o tym, jak bardzo jestem podobna do Teresy. Jak podobieństwo podkreślał każdy, kto zobaczył nas razem. I doszłam do wniosku, że chyba je sobie wmówiłam. Że się do niej upodobniłam. Ale gdy dziś zobaczyłam to zdjęcie – postukałam palcem w czoło kobiety, która patrzyła z fotografii – zrozumiałam, że to wszystko jest prawdziwe.

– A ojciec z jakiegoś powodu poślubił siostrę bliźniaczkę matki swoich dzieci? O ile jesteście jego dziećmi... – Adam znów się uśmiechnął. Wpadał w ten swój arogancki ton. Obawiałam się tego. Byłam gotowa na sprzeczkę.

– To akurat wydaje mi się logiczne – powiedziałam spokojnie.

– Ach tak? – Pokiwał głową z politowaniem.

– Adam, gdzie jest teraz ta kobieta? Dlaczego o niej nie wiedziałam? – Znów wskazałam na zdjęcie.

– Nie do mnie to pytanie. Powinnaś pogadać z wiesz kim – spoważniał.

– No właśnie. Wygląda na to, że tę tajemnicę znają tylko dwie osoby na świecie.

– A ty, co sądzisz?

– Odeszła? Umarła? Zaginęła? Cokolwiek się stało, ojciec uznał, że już nie wróci. – Zastanowiłam się przez chwilę nad własnymi słowami. – Jak dla mnie, to ta kobieta mogła zostawić Juliana. Ojciec nie lubi takich sytuacji. To łagodny i spokojny człowiek. Ale jeśli ktoś go zdradzi, staje się wrogiem. Może ożenił się na złość? Oryginał odszedł, zastąpię ją kopią?

– Nie brzmisz jak psycholog – zauważył Adam. Z pewnością nie byłam obiektywna. – A może twoja macocha przyszła go pocieszyć po śmierci żony?

– Być może. Ale ona i pocieszanie brzmi jak oksymoron... Poza tym, nie pamiętałabym rozwodu? To musiałyby być unieważnienie małżeństwa.

– Może on i ta pani nigdy nie byli małżeństwem?

– Nie wiem. To chyba nie było specjalnie modne. Dwoje dzieci z „nieprawego łoża”? Raczej w to nie wierzę – zastanawiałam się głośno.

– Powinniśmy to sprawdzić – zdecydował. – Musimy się dowiedzieć, czy to twoja matka, czy nie.

– Wiem. Tylko jak? – Spojrzałam na niego zrezygowana.

– Słuchaj... – Wyciągnął rękę się przez stół i położył dłoń na mojej. – Mamy jakiś punkt zaczepienia.

– Nazwisko panięskie? – Znów pociągnęłam nosem.

– To też – przytaknął i otworzył leżącą obok teczkę z dokumentami. Poznałam je. To były te same papiery, które poprzedniego dnia zepchnęły mnie w sinusoidalną przepaść.

– Możesz mi wyjaśnić, czego szukamy w papierach Teresy? – zapytałam, mając nadzieję, że to nie kolejna próba mojej spostrzegawczości.

– Adresu zamieszkania. – Spojrzał na mnie pobłaźliwie. – Najlepiej zacząć od miejsca zamieszkania – dodał i znów dolał mi wina.

XI

Drzewa za oknami przesuwały się w zwolnionym tempie. Jedno, dwa, trzy... Oczywiście nie pojechałam w nocy do hotelu. Upiłam się i zasnęłam na kanapie w salonie Adama, z głową na jego ramieniu.

Na niebie nie było ani jednej chmury, a panująca wewnątrz samochodu temperatura wyraźnie kontrastowała z letnią aurą wokół. Skupiłam się na drzewach. Wydawało mi się, że gdybym skoncentrowała się jeszcze bardziej, mogłabym je wszystkie policzyć. Oddalałam od siebie rosnące napięcie. Bałam się wizyty w tym domu. Jeśli otworzyłaby mi moja matka, umarłabym na zawał.

– O czym myślisz? – Adam wyrwał mnie z zatrutych strachem rozważań.

Jego telefon zawibrował. Wyłączył go, jakby nie chciał, żebym zobaczyła choćby fragment wiadomości, którą odebrał.

Zaśmiałam się głucho.

– Łatwiej będzie mi odpowiedzieć na pytanie, o czym nie myślę – odparłam.

– W takim razie, o czym nie myślisz?

– O jedzeniu. – Na samą myśl o winie wszystko przewracało mi się w żołądku. Ale i bez wczorajszego picia niczego bym nie przełknęła. Przez stres.

Jechaliśmy drogą, którą dobrze znałam. Nie mogłam się nadziwić, że szukając informacji o mojej matce, nie przyszło mi do głowy, by przeczytać adres zamieszkania. A najciekawsze informacje kryją się w oczywistych i prostych szczegółach.

Po godzinie wjechaliśmy do urokliwego miasteczka. Przywitały nas kościelne dzwony, których dźwięk niósł się w czystym, gorącym powietrzu.

Ciepły, dyskretny, odczuwalnie przyjemny. Minęliśmy sklep wielobranżowy, przywodzący na myśl minioną epokę. Po chwili jednak po prawej stronie powoli przesunął się gmach nowoczesnego marketu. Oznaka nowych czasów. Obecni tu turyści dzielili się zarówno na zwolenników dużych sklepów, jak i podróży w czasie. Ci sunący z torbami plażowymi w stronę sąsiedniej wsi, nad jezioro z komercyjnym, głośnym kąpieliskiem, na które nigdy nie dotarłam, bo w takich nie gustuję, wybierała zapewne market, tanie piwo i kiełbasę na grilla. Pozostali szukali mało uczęszczanych, dzikich plaż nad jeziorami lub korzystali z tych, które oferowały niewielkie ośrodki agroturystyczne. Gdy potrzebowali kupić zapałki lub wiejski chleb, kierowali kroki do małego sklepiku. My natomiast zmierzaliśmy jeszcze gdzie indziej. Obejrzałam się na niewielką cukierenkę, w której ostatnim razem towarzyszył mi Tomek.

– Pamiętasz miasteczko z czasów dzieciństwa? – Adam znów przerwał ciszę. Lubił mówić. Milczenie go męczyło.

– Prawie w ogóle. Tylko dom nad jeziorem – odpowiedziałam. – Ojciec nie lubił nas tu zabierać. Teraz rozumiem, czemu trzymał mnie i Witka na siłę w domu nad jeziorem.

– Trzymał? – zdziwił się.

– Mówił, że miasto mamy na co dzień. A tutaj powinniśmy wypoczywać. I że kiedyś to docenimy – poprawiłam się.

– I co? Miał rację? – zapytał z przekąsem.

– Jak cholera! – Wypuściłam głośno powietrze i roześmiałam się. Nerwy robiły swoje.

Wyjechaliśmy z maleńkiej starówki, przejechawszy przez niewielki rynek, a potem osiedle starych domków. Minęliśmy przyjemny, dziki park. Zaczęliśmy się oddalać od większego skupiska ludzkiego, a nawigacja samochodowa wyprowadziła nas w zupełnie inną część miasta, o której niewiele wiedziałam.

Wjechaliśmy na smutne osiedle, położone przy samej granicy tego

miasteczka, które Teresa nazywała wsią. Składało się z trzech niskich bloków z wielkiej płyty i wyglądało, jakby ktoś wyrwał kawałek blokowiska z miasta i rzucił byle gdzie, wśród pustych pól. Kiedyś musiał tutaj mieścić się PGR, a w budynkach mieszkali jego pracownicy. Różowo-beżowe kolory były efektem remontu z lat osiemdziesiątych. Same domy zbudowano jeszcze ze dwadzieścia lat wcześniej.

– Pomyłka chyba... czy nie? – Adam spojrzął z obrzydzeniem na bloki.

– Niestety, chyba nie – wyciągnęłam rękę i wskazałam na starą wiatę autobusową. Taką samą, którą widać było na zdjęciu z pulpitu komputera ojca.

Zapatrzeni na wiatę wysiedliśmy z auta.

– No tak. Linia numer dwanaście, zupełnie jak na zdjęciu – potwierdził.

– Autobus chyba już tu nie jeździ – stwierdziłam.

Przy wiacie nie było żadnej informacji o kursach. Zauważyłam, że na wiacie, powyżej głowy kobiety na zdjęciu, widniała nazwa przystanku, teraz jednak nie dało się jej już odczytać. A więc autobus tu nie kursował. Po upadku PGR-u z pewnością nie opłacało się utrzymywać podmiejskiej linii autobusowej, obsługującej głównie pracowników.

– Idziemy – zarządził Adam. – Jako urodzony szczęściarz czuję, że odnajdę tu coś ciekawego.

– Ciekawiej chyba nie będzie? – Pokręciłam głową z rezygnacją.

– Dzień bez sensacji dniem straconym – zażartował.

– Nie bawi mnie to.

– Może napiszesz tę książkę?

– Może... – Zadrżałam na myśl o przechodzeniu przez to po raz kolejny. Choć właśnie taką formę autoterapii doradzałam większości pacjentów.

Przeszliśmy przez ulicę i podążyliśmy do bramy, której numer zamieszczono w żółtych papierach Teresy. Bramę także można było

zobaczyć na zdjęciu. Dodatkowy dowód na to, że podążamy właściwym tropem.

Karta pacjentki informowała, że mieszkała pod numerem jedenaście. Ostatnie piętro. Niewysoka poręcz, wyslizgana przez lata, dzwoniła cicho metalowymi prętami za każdym razem, gdy się jej dotknęło. Wchodząc, staraliśmy się nie zwracać na siebie uwagi. Niskie półpiętra obstawione bujnymi paprotkami i firanki w oknach klatki schodowej sugerowały, że mieszkańcami budynku są głównie starsi ludzie.

Na każdym piętrze znajdowały się trzy mieszkania, a prowadzące do nich drzwi były równie nijakie jak same fasady. Numer jedenaście nie różnił się od pozostałych. Taki komunistyczny realizm... Gdyby to wszystko było chociaż brzydkie, można by to jakoś określić. Tymczasem budynki i najbliższa okolica kojarzyły się jedynie z nudą i bylejakością.

– Co robimy? – zapytałam. Ręce trzęsły mi się, jakbym wypila za dużo kawy.

– Pukamy – zarządził Adam.

– Tak po prostu?

– Tak – potwierdził. – A co? Przyjechaliśmy się czegoś dowiedzieć.

– Tobie to tak łatwo przychodzi – skomentowałam.

– Racja. – Skinął głową i po prostu zapukał.

Przez chwilę nasłuchiwałam, w mieszkaniu panowała martwa cisza. Adam ponownie zapukał, głośniejsze.

– Nie wal tak – upomniałam go.

– Nie pouczaj mnie. – Ponownie zapukał.

W tym momencie usłyszeliśmy szuranie w mieszkaniu po prawej. Ktoś zmierzał w stronę drzwi. Prawdopodobnie starsza osoba, poruszająca się bardzo powoli. Ale w wejściu mógł równie dobrze stanąć niezadowolony dryblas po nocnej zmianie.

A jednak... Drzwi otworzyła starsza kobieta.

– Co tu się wyprawia? – zapytała z groźnym wyrazem twarzy.

– Policja – rzucił Adam i znów wyciągnął kradzioną legitymację policyjną.

– Tam nikogo nie ma przecież – wyjaśniła kobieta, łagodniejąc nieco.

Adam wiedział, co robi. Na świecie są tylko dwa słowa wywołujące tak diametralną zmianę nastawienia. Policja i telewizja.

– I nikt tu nie mieszka? – Adam mówił donośnym, pewnym głosem. Budził zarówno zaufanie, jak i szacunek. Starsza pani wyraźnie się temu poddała.

– Nie, od dawna...

– Do kogo należy mieszkanie? – Adam wyjął notes w skórzanej oprawie i długopis. Tak zręcznie, jakby robił to nie raz.

– Do córek Sawickiego.

Spojrzeliśmy z Adamem na siebie.

– Do Teresy i... – zaczęłam zdanie.

– Agatki, tak – dokończyła starsza pani.

– Agatki... – wypowiedziałam imię z namaszczeniem.

– Tereska tu nie przyjeżdża, no a Agatka... – zawiesiła głos.

– Co Agatka? – dopytywał Adam.

– A, szkoda gadać. Mam klucz do mieszkania. Bo Teresa prosiła, żeby je czasem ogarnąć.

– Nie wiem, czy powinniśmy... – wyszeptałam.

Starsza pani wyraźnie mnie nie usłyszała. Odwróciła się i weszła do mieszkania, aby przynieść klucz.

– Jesteś z rodziny czy nie? – zapytał Adam i natychmiast uciekł wzrokiem. W końcu nie mogłam mieć stuprocentowej pewności. – W każdym razie: tak, powinniśmy – odpowiedział sam sobie. – Nie psuj mi reputacji.

– A to „szkoda gadać”? – dopytywałam półgłosem. – Może ja nie chcę

wiedzieć tego, o czym „szkoda gadać”. Za dużo jak na jeden tydzień...

– Przestań. To tak, jakby... Małysz skoczył, a potem stwierdził, że zawraca! Teraz już się nie da! – napierał Adam.

– Wiesz, do czego się zmuszam? – Poczułam rosnącą w gardle gulę.

– Powiedzmy, że wiem, dobra? I na tym skończymy tę kretyńską pogadankę. – Potarł nerwowo twarz i znów przybrał minę łagodnego twardziela z policji.

Starsza pani wróciła do nas po chwili, trzymając w ręce złoty klucz z kwadratową główką.

– Powinniśmy na coś uważać? – Adam odebrał od niej klucz i lekko się uśmiechnął. – Szczury, dzikie koty, pluskwy?

– Nie, nie, proszę pana... – odparła staruszka i znów machnęła ręką. – Tutaj nawet karaluchy nie chcą mieszkać. Ten Sawicki to wiedział, kiedy się na tamten świat wynieść. Teresa pracowała za niego w tym PGR-ze, co tu kiedyś był, a potem zachorowała. Do mieszkania czasem zajrzę. Kiedyś to nawet sprzątałam. Pieniądze wysyłała. Bogato za mąż wyszła. Ale jak zapomniała, to przestałam. A poza tym, wiecie państwo... – Poklepała się po biodrze. – Reumatyzm.

– Czyli pan Sawicki zmarł, pani Teresa zachorowała, a pani Agatka...? – Chciałam pociągnąć ją za język.

Staruszka po raz kolejny machnęła ręką.

– A kto to wie? – Westchnęła na do widzenia. Pomachała nam, jakbyśmy odpływali w rejs, i zamknęła drzwi.

Adam włożył klucz do zamka i zatrzymał dłoń w powietrzu.

– Chcesz przeciąć wstęgę? – Wskazał na drzwi.

– Po prostu otwórz, dobrze? – ponagliłam go zirytowana.

Wiedziałam, że w ogóle nie powinno nas tu być. Bawiliśmy się w prywatnych detektywów bez licencji, z kradzioną odznaką i moją niepewną sytuacją rodzinną. Równie dobrze mogło się okazać, że moi

prawdziwi rodzice to kompletnie inni ludzie niż ci, którzy mnie wychowali.

Adam posłusznie przekręcił klucz.

Weszliśmy do mieszkanca. A właściwie do nory, która służyła za mieszkanie co najmniej trzem osobom, z tego, co zobaczyłam. Ciasny przedpokój wiódł tu prosto do ślepej łazienki, a z prawej do całkiem przestronnej kuchni. Po obu stronach znajdowały się sypialnie wielkości komórek, w których po rozłożeniu łóżka nie było już widać podłogi. Naprzeciwko kuchni zaś projektant wygospodarował miejsce na salonik dla Bilba Bagginsa, choć on sam zapewne czułby się urażony taką sugestią. Obejście tego architektonicznego tworu zajęło nam trzy minuty, wliczając w to uważne rozejrzenie się oraz małą, telefoniczną sesję zdjęciową.

– Nic, pusto – skomentował Adam.

– Wszystko zabrała – potwierdziłam, zdając sobie sprawę z tego, że Teresa nigdy się nie zmieniła. Teraz zrobiłaby dokładnie to samo.

– Może będzie coś na tych zdjęciach... – Zamachał telefonem i schował go do kieszeni.

– Dziwne wrażenie, prawda? – Rozłożyłam się na starej, zakurzonej wersalce. Znów uszło ze mnie napięcie. Nie przeszkadzał mi nawet zapach zużytego mebla. Cieszyłam się, że przestało mnie mdlić z nerwów. Musiałam chwilkę odpocząć. – Mieszkanie, które mogłoby grać w filmie.

– Jakim? Chyba wojennym? – Uśmiechnął się tylko jedną stroną ust. Podobał mi się ten uśmiech. Widziałam go już wcześniej, teraz zwróciłam większą uwagę.

– Nie tylko. W horrorze z cyklu: byli sobie ludzie, ale zniknęli. Jak w Nawiedzonym Jamesa Herberta.

– To zdaje się książka o trochę bardziej niezwykłej posiadłości – poprawił mnie, dodając gest pogardy dla „posiadłości”, w której się znaleźliśmy.

– Chodzi mi o klimat... – wyjaśniłam.

– To teraz poszukajmy tego „czegoś”, dobra? Naprawdę poszukajmy –

zarządził Adam.

– Ale czego? Ja chciałabym znaleźć spokój.

– No to dawaj. Szukamy.

Podszedł do mnie i wyciągnął rękę. Pomógł mi wstać i ruszył na poszukiwania.

Zajrzeliśmy do kuchni, gdzie otworzył każdą szafkę. Wygarnął z półek kurz, upewniając się, że nic w nich nie zostało. Tym razem zajęło mu to więcej czasu. W jednej z szuflad na dnie leżał pęknięty talerz. Adam wyciągnął go i przetarł ręką. Obejrzał z każdej strony, licząc pewnie na cud.

– Nie zabrała go, bo pęknięty. Dzisiaj na pewno by się jej na coś przydał – skwitowałam to znalezisko.

– Nudzi ci się? – zapytał ostro.

– Owszem – odparłam, niewiele myśląc.

– To znajdź sobie zajęcie.

Nie rezygnował. Zajrzał we wszystkie zakamarki, a potem przeniósł poszukiwania do najbliższego pomieszczenia, czyli łazienki. Okazało się, że na tak małej powierzchni można strwonić mnóstwo czasu na szukanie tego „czegoś”, na czym mi osobiście przestało zależeć. Czułam, że mogę równie dobrze porozmawiać z rodzicami, zapytać ich o Agatę i wszystko sobie z nimi wyjaśnić. Stałam i przyglądałam się Adamowi, szczerze zainteresowana jedynie jego osobą i faktem, że zagląda w miejsca, które mi osobiście nie przyszyłyby do głowy.

Zdjął pokrywę ze zbiornika spłuczki, zanurzył rękę w klozecie, a potem palce w odpływie wanny, zajmującej notabene pół łazienki. Zlew także był pusty, jak i łazienkowa szafka z lustrem. Odkręcił wodę w kranie i umył ręce.

– Odpuśćmy sobie... – nalegałam.

– Nie po to tu tyle jechałem.

– A jeśli nic nie znajdziesz?

– Będę przynajmniej mógł powiedzieć, że szukałem – odburknął, nawiązując do mojej bezczynności.

Uwziął się. Czy zawsze taki był? A może tu chodziło o mnie? Chciał mi zaimponować lub utrzyć nosa. Pokazać, że ludzie tacy jak ja w ogóle nie znają życia. Czy to jego ambicja? Po prostu taki miał charakter. Aby zmniejszyć napięcie między nami i zabić czas, postanowiłam pomóc.

Adam zaglądał wszędzie, nie brzydząc się i nie zastanawiając. Pewnie dlatego zapytał o szczury. Wkładał ręce w każdą dziurę, jaką znalazł. Postanowiłam wziąć z niego przykład. Ponownie obeszałam kuchnię. Powierzchnia blatu pokryta warstwą lepkiego kurzu nie zachęcała do otwierania szuflad. Ale zrobiłam to, by móc powiedzieć: odhaczone.

– Tam już byłem – usłyszałam jego głos, zaraz po tym, jak zawias szafki wydał charakterystyczny pisk.

– Wiem – odpowiedziałam zrezygnowana.

Poszłam do salonu z planem odsunięcia wersalki od ściany i przeszukania jej w środku. Adam, o dziwo, już tam był. Świecił telefoniczną latarką pod mebel, o którym myślałam. Akurat szukania pod wersalką nie przewidziałam...

Odchylił się w moją stronę. Nawet nie zauważył, że kurzowy kotek przyłgął mu do brody. Kiedy spojrzał na mnie, nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Co cię bawi? – zapytał poirytowany. Nic dziwnego. Poszukiwania niczego nie wносиły, on zmarnował czas i paliwo, a teraz jeszcze śmiałam z niego drwić.

– Nic takiego – odparłam.

Podeszłam do niego i odczepiłam kotka. Spojrzał na mnie, z początku groźnie, potem sam się zaśmiał, bezgłośnie. I znów poczułam to miłe łaskotanie w brzuchu. Chyba spędziliśmy zbyt dużo czasu razem...

– Masz coś? Przeoczyłem coś w kuchni? – zapytał.

– Powiedziałyby ci, bo bardzo chcę stąd wyjść. – Znów usiadłam

na tej paskudnej wersalce, wzbijając w powietrze tumany kurzu.

– No to się nie obijaj, tylko szukaj dalej. – Uniósł jedną brew.

– Dobrze... – powiedziałam po chwili wahania, ostentacyjnie przewracając oczami. Chciałam, żeby to widział, ale wcale się nie przejął.

Podniosłam się, tym razem bez pomocy, i ruszyłam do jednej z sypialni. Od razu gdy weszłam do pokoiku, naszła mnie myśl, że w tym pokoju spały dwie osoby. Bo tak to rozumiałam. Po dwie na pokój. W jednym rodzice, w drugim siostry. Chyba że któraś z dziewcząt zajmowała tę paskudną wersalkę w salonie.

Na umeblowanie pokoju składały się regał z szafkami i szufladami, skrzynia stojąca pod oknem i łóżko. Ten ostatni mebel okazał się dość specyficzny. Miał metalową ramę składaną na pół. Po rozłożeniu mogły na nim spać dwie osoby. Tak też zrobiłam i okazało się, że przemieniło się w wielkie łóże, które zajęło cały pokój.

– No tak – wyszeptałam i uśmiechnęłam się do wspomnień. Sama nie raz spałam w swojej sypialni z dwiema, czasem trzema koleżankami, gdy byłyśmy w liceum. Balowałyśmy tak cichutko, jakby ktoś za sprawą magicznego pilota wybrał przycisk „mute” i na dobre nas wyciszył. A potem dziewczyny uciekały nad ranem, żeby nie natknąć się na moją matkę. Czy może powinnam nazywać ją macochą? Ile razy usłyszałam od niej, że spraszam do domu hołotę? Raz zrobiła mi awanturę, zanim przyjaciółki zdążyły wyjść, i już nigdy więcej nie imprezowałyśmy. Zepsuła mi szkolne przyjaźnie i pozbawiła powierniczek. Zazdrościłam moim psycholożkom, kiedy żywo dyskutowały o dzieciach, mężach i przyjaciółkach właśnie. Sama czułam się tak bardzo samotna. Przestałam się uśmiechać. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Wszystko to musiałam przepracować, zanim zaczęłam leczyć ludzi z podobnych problemów. A teraz, z powodu traumatycznego wydarzenia, przez które wyłądownałam tutaj, wszystko do mnie powróciło.

Tego mi było trzeba. Poczułam nieodpartą potrzebę znalezienia

czegokolwiek w tym domu. Potrzebowałam powrócić do wspomnień, by dały mi siłę do dalszych poszukiwań. Chciałam znaleźć dowód na to, że kobieta ze zdjęcia jest moją matką, a potem wyszczebrać to Teresie w twarz. Mogłabym „to” pokazać Adamowi i utrzyć mu nosa. Miałabym argument w ręce – i to dosłownie.

W gniewie padłam na kolana. Zajrzałam pod łóżko. Nic... Obok łóżka pierwszą składową meblościanki było wbudowane w nią biurko. Przetrzepałam każdy jego zakamarek, wywaliłam puste szuflady, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Opukałam szafy i ściany, zupełnie jak Adam. Starłam kurze, idąc za jego przykładem, wyjrzałam też za okno, na blaszany parapet, zupełnie nie wiem po co... Wreszcie po kilku długich minutach usiadłam na rozłożonej ramie łóżka, z której materac zniknął już bardzo dawno. Metal wpił się w moje uda. Ogarnęła mnie wściekłość połączona z bezsilnością. Trop się urwał. Nie miałam nic. Aktu zgonu, listu, notatki, rachunku, najmniejszego śmiecia, który wspominałby imię mojej prawdziwej matki. Mieszkanie było puste. Obrzydliwie puste. Wyczyszczone do cna.

– Jak tam? – usłyszałam Adama.

Widać było, że się zaangażował. Z każdym nowym pomysłem pokrywał się nową warstwą kurzu. Jego ciemne włosy i brwi poszarzały. Ale mnie już to nie bawiło. Chciałam tylko stąd wyjść.

– Nic.

– Zajrzałaś wszędzie? – dopytywał, czym mnie rozdrażnił.

– Tak – odpowiedziałam, podnosząc głos.

– Kuchnia? – ironizował.

– Przestań, Adam. – Gniewnie wbiłam w niego wzrok. – Zajęłam się tym pokojem.

– Wszystko przeszukałaś?

Po tym pytaniu wstałam. Po prostu mnie poniosło.

– Za kogo mnie masz? – podniosłam głos.

– Spokojnie, tylko się upewniam. – Teraz i on podniósł głos.

– Myślisz, że nie chcę wiedzieć? To moja matka, moja rodzina i nasza wspólna sprawa. Co ci do tego? Czemu tak się tym przejąłeś, co?

– Może to także część mojego życia? Zagadka, w którą się zaangażowałem i teraz chciałbym rozwiązać. Za mało ci pomagam czy co?

– Nie o to chodzi! – Potrząsnęłam głową tak mocno, że musiałam wesprzeć się o filar ramy łóżka. – Narzucasz straszliwe tempo, obarczasz naraz informacjami, których nie zdążyłam przetrawić, i próbujesz nakarmić nowymi.

– I to jest takie straszne? Uraziłem panienkę, która dotąd miała poukładane życie, bo zepsułem jej domek dla lalek? – drwił. Był okrutny.

– Więc to właśnie o mnie myślisz, tak? Dla ciebie ciągle jestem lalą z liceum, która ukończyła je z pieprzonym wyróżnieniem.

– Gratuluję!

– Lalką, może trochę nieszczęśliwą, bo co najmniej półsierotą, którą parę tygodni temu ktoś porwał, zgwałcił i zostawił nagą nad rzeką, żeby zdechła z wyziębienia! Ale co tam... Pieniądze taty na pewno mnie wyleczą! – wykrzyczałam.

Zrobiło mi się słabo. Moje palce zbieleły na złotej gałce, która wykańczała filar ramy łóżka. Czułam, że zaraz upadnę.

– Nie to miałem...

– Jasne. Skończ – przerwałam mu.

Cały czas to robił. W jednej chwili z interesującego, pomocnego i sympatycznego faceta stawał się dupkiem, którego pamiętałam z liceum. Jak przez mgłę, co prawda, ale takiego chamstwa nie da się zapomnieć.

Chciałam przejść obok niego, zastąpił mi drogę.

– Przepraszam – wykrztusiłam i próbowałam go wyminąć, ale położył dłoń na mojej. Na moment zrobiło mi się niedobrze. Nie wiedziałam, czy będzie mnie przeproszał, czy może obudzi się w nim agresja. Może Adam,

którego sama zaprosiłam do swojego życia, jest w rzeczywistości szaleńcem, który wywiózł mnie tu, gdzie nikt nie zagląda, i teraz zrobi mi coś okropnego.

Ale nie... Zdjął moją dłoń z ozdobnej gałki od łóżka, w ogóle się mną nie przejmując. Znów uniósł kąciki ust w lekkim uśmiechu i z dziwną satysfakcją poruszył gałką. Drgnęła z cichym piskiem.

Odsunęłam się. On natomiast z namaszczaniem odkręcał ozdobę. Zdjął ją i ponownie włączywszy latarkę w telefonie, zajrzał do pustej, metalowej nogi łóżka.

– Niemożliwe... – Pokręciłam głową.

– A jednak – odparł poważnie.

Aż mnie zmroziło. W ogóle nie sądziłam, że coś tam znajdzie. On jednak wyjął z metalowej rurki zwitek papieru. Najpierw jeden, potem kolejny i kolejny.

– Co to jest? – zapytałam. Poczułam uderzenie gorąca.

– Odejdź. Albo wyjdź z pokoju. – Wskazał na drzwi za sobą.

– No daj spokój... – Pomyślałam, że nie może mnie wyrzucić właśnie teraz.

– Olka, muszę to wyciągnąć. Wyłaź! – warknął.

Zrobiłam, jak kazał. Z ciasnego przedpokoju patrzyłam, jak podnosi łóżko do góry. Pomacał tę metalową rurę od spodu i odwrócił się do mnie.

– Przynieś nóż – zażądał.

– Nie ma. Wszystko zabrane – odpowiedziałam spanikowana, jakby to łóżko chciało uciec i trzeba było je czym prędzej powstrzymać.

– No to poszukaj czegośkolwiek.

Rozejrzałam się gorączkowo. Na szafce obok leżały klucze do mieszkania. Uznałam, że nawet jeśli się połamią, i tak nie będzie czego kraść.

– Proszę, cokolwiek. – Podałam mu klucze, a on natychmiast zabrał się

do obdzierania mebla z filcowej podklejki, umieszczonej na plastikowej podkładce.

– Ruska robota – mówił przez zęby.

– No, nie puści... – Potwierdziłam, żeby go jakoś zagadać. Był wkurzony, a ja nie wiedziałam, czy w ogóle powinnam się odzywać, czy nie. Zaryzykowałam. – Mój ojciec ma taki stary, radziecki stoper w... różowym... nie, łososiowym, plastikowym pudełku. Dotąd działa bez zarzutu.

Adam nie odpowiadał. Ale tak bardzo się denerwowałam, że nie mogłam przestać.

– Ma też starego kieva z obiektywem Carl Zeiss. Ciekawe, czy właśnie nim zrobił to... – Usłyszałam ciche mlaśnięcie. – ...to zdjęcie – dokończyłam, ale już o tym nie myślałam. Plastik oderwał się od metalu, a z nogi łóżka natychmiast wysypały się wycinki z gazet. Wpadły prosto w kurz i rozsypały się po podłodze. Adam potrząsnął meblem, z którego wypadło jeszcze niewielkie zawiniątko. Od razu po nie sięgnął. Ja natomiast, niczym w transie, ruszyłam ku wyciętej notatce prasowej, na której widniało zdjęcie. To, które od jakiegoś czasu było nieodłącznym elementem całej układanki. Fotografia, którą Teresa zrobiła tutaj, pod domem. Nad wizerunkiem Agaty nagłówek krzychał: „Zaginiona. Rodzina prosi o pomoc”.

– „Słowo Powszechne”. Zaczyna prasa pisała o Agatce – skomentował Adam.

– Czyli co? Wyjechała...? Ktoś ją porwał? – zapytałam na głos.

– Czytaj... Kto czyta, nie pyta – pouczył mnie, jak na zimnego sukinsyna przystało.

Agata Sawicka, lat dwadzieścia sześć, wyszła z domu rodzinnego w poniedziałek dziewiętnastego marca, w godzinach wieczornych. Miała na sobie sukienkę w błękitnym kolorze i beżowy prochowiec. Siostrze Teresie wspomniała, że udaje się do domu położonego nad pobliskim

jeziorem, odziedziczonego po zmarłej matce, Kazimierze Sawickiej. Nigdy tam jednak nie dotarła. Zostawiwszy klucz w pustym mieszkaniu przy ulicy Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej, opuściła je i zaginęła. Milicja stara się ustalić, czy kobieta wyszła z domu z własnej woli, czy została napadnięta i siłą uprowadzona. Okoliczności zdają się być tym bardziej dramatyczne, że Sawicka nie mieszka już przy ww. ulicy po tym, jak założyła rodzinę. Zrozpaczony mąż błaga o pomoc każdego, kto mógł być świadkiem jej zaginięcia, gdyż w domu na powrót mamy czeka dwójka małych dzieci.

Zasłoniłam usta ręką. Wydałam z siebie tylko skowyt.

Adam przyklęknął koło mnie. Nie musiał o nic pytać.

– Spokojnie. – Objął mnie mocno.

– Czemu mi nie powiedzieli? – zapytałam, zanosząc się cichym płaczem.

– Może ojciec nie chciał cię ranić?

– No to mu nie wyszło... – wykrztusiłam. – Kłamał nawet w sprawie domu nad jeziorem. Mówił, że to dom dziadka.

– Wtopa po całości. – Wolną ręką pozbierał pozostałe wycinki. – Martwi mnie coś innego. I wolę powiedzieć to teraz.

Z wysiłkiem wstrzymałam płacz.

– Dobij mnie – jęknęłam.

– Te wycinki – zaczął. – To nie jest normalne. Chyba miałaś rację.

– Nie rozumiem... – Nic do mnie nie docierało.

– Mówisz, że twoja matka wszystko stąd zabrała. Skoro zostały wycinki i to w tak wymyślnej skrytce, to albo o nich nie wiedziała, albo nie chciała ich zabrać.

– Nadal nie rozumiem – westchnęłam zrezygnowana.

– Mieszkanie stoi puste, tak?

– Tak. Puste.

– Tajemnica pogrzebana.

– Kilka dni temu ją ekshumowaliśmy.

– Może zbierała wycinki, ponieważ chciała odnaleźć siostrę. Była na nią zła, bo sobie poszła. A przynajmniej ona to tak widziała. Zostawiła ją samą, całkiem samiuską, może z umierającym ojcem? No i jeszcze wy. Porzuciła was, bezczelna...

– Nie mów tak! – Łzy znów napłynęły mi do oczu.

– Nie mówię, że tak było, jasne? – Adam złapał mnie za ramiona. – Znasz ją bardzo dobrze. Mogła tak sobie tłumaczyć? – naciskał.

– Nie wiem... – Moje chwilowe opanowanie się kończyło.

– Mogła czy nie?

Nadal nie odpowiadałam, więc Adam snuł dalsze domysły.

– Pewnie tak, prawda? Zbierała te wycinki, bo myślała, że dowie się czegoś, co pomoże sprowadzić Agatę do domu.

– Być może... Nie męcz mnie – poprosiłam.

– Chciała się upewnić, że niczego nie przegapi. Dać jej szansę, żeby marnotrawna siostra przetrawiła sprzeczkę małżeńską i przywróciła ład w jej małym światku, wracając do domu. Ujdzie ten mój scenariusz? Daje radę?

– Tak, bo jest egoistką, jak zawsze. Dlatego nam nie powiedziała.

– Bo was nie chciała ranić? Skrzywdzić biednych dzieci, które siostra zostawiła jak zbędny bagaż...

– Nie... nie wiem.

Czułam coraz większą presję tej rozmowy, czułam, jak rośnie mi ciśnienie. Wydawało mi się, że słyszę szum własnej krwi, jak strumień płynący gdzieś w oddali.

– Nie? Niepodobne do niej?

– Nie, ani trochę. Nie znasz jej.

– Więc może opcja B?

Nagle zamilkł. W mieszanii zrobiło się nienaturalnie cicho.

– Czym jest opcja B? – szepnęłam.

– Sama ją stworzyłaś – Wział głęboki oddech. – Opcja B zakłada, że Teresa, zbierając te wycinki, upewniała się, że Agatka na pewno nie wróci do domu.

I znów przestał mówić.

– O co ci, kurwa, chodzi? – Rzuciłam w niego gazetą i wstałam, żeby nie być blisko.

– O to, co sama powiedziałaś wczoraj. Zastanawiałaś się, czy to nie ona stoi za twoim porwaniem – powiedział powoli. Zakląłam. Zrozumiał, że nie za bardzo odpowiada mi opcja B. – Już nie podoba ci się ten scenariusz?

– Nie – zaprzeczyłam natychmiast.

– Olka, zastanów się. Dlaczego nie zabrała tych wycinków, skoro je tak skrupulatnie wycinała z różnych gazet? – upierał się.

– Daj mi spokój! – Uniosłam ręce w obronnym geście.

– To nie ja chcę cię skrzywdzić...

– Ale tak brzmisz. Cały czas gardzisz mną, okazujesz niechęć, a teraz próbujesz mi wcisnąć, że Teresa zabiła siostrę, żeby odebrać jej męża i dzieci, z których jedno potem kazała zgwałcić.

Poderwał się z podłogi i postąpił krok w moją stronę. Odsunęłam się odruchowo.

– Sama to powiedziałaś!

– Nie sugerowałam, że kazała zabić siostrę!

– Tylko porwać córkę... Ale mi różnica. – Znów się uniósł. – Tak robią winowajcy. – Pokazał na wycinki prasowe. – Zbierają informacje, żeby śledzić przebieg pracy organów ścigania. Boją się. Chcą mieć kontrolę.

Na słowo „kontrola” otworzyłam szerzej oczy. To jedno słowo mogłoby opisać cały charakter Teresy. Adam od razu to zauważył.

– Widzisz? To ma sens.

– Nie, nie ma. Ona ma paskudne usposobienie i kompletnie brak jej

empatii, ale nie jest... morderczynią! – Złapałam się za głowę.

Adam to wykorzystał. Znów chwycił mnie za ramiona. Zesztywniałam.

– Chciała się upewnić, że Agata nie wróci. Nikt jej nie odkopie, nie wyłowi, nie wyciągnie z zamrażarki. Nie znajdzie czaszki ani niebieskiej sukienki, nie przywróci do istnienia, nawet na chwilę, nawet w mediach i wspomnieniach, i nie wywróci jej nowego, poukładanego, lepszego życia.

– Nie! – protestowałam.

– Dlatego trafiła do psychiatryka – kontynuował niezrażony. – Nie dała rady. Tylko twardziele, najtwardsi z psychopatów, jako tako sobie z tym radzą. A i tak pękają na przesłuchaniach. Bo się muszą wygadać. Bo im to leży na wątrobie. Potem to wszystko odwołują. Mówią: „Ja? Nigdy! Zmusili mnie!”. Ale już im lepiej. Bo to wyrzygali.

– Proszę, przestań... – Teraz to ja złapałam go za kołnierz, w błagalnym geście.

– Przyznaj, że mój... przepraszam, twój scenariusz, jak w mordę strzelił, ma sens.

Poczułam, że skończyły mi się zarówno łzy, jak i argumenty. Mogłam jedynie zaprzeczać sama sobie, więc przestałam bronić swoich racji na głos. Adam i tak by mnie zagadał. Nie chciałam wierzyć w jego scenariusz, ale był on równie prawdopodobny jak ten pierwszy. Nie wierzyłam, że Teresa mogłaby skrzywdzić moją mamę, ale czy nie właśnie tak działają mordercy? Skoro Ridgewayowi czy Happy Face’owi udało się zataić przed rodziną całe serie zabójstw, to czy jej nie uszłoby na sucho jedno? Tylko jak to się miało do jej porwania?

– I upozorowała własne porwanie, żeby odwrócić uwagę od siebie? – powtórzyłam na głos własne myśli.

Gdy zobaczyłam zakłopotanie na jego twarzy, ponownie zwątpiłam w ten koszmarny scenariusz.

– Do tego jeszcze dojdę.

– Nawet jeśli, to nie ty dojdiesz, tylko policja.

Opuścił ręce i zacisnął pięści. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę drzwi. Nie chciałam już być w tym mieszkaniu.

– Mogę do tego dotrzeć wcześniej – usłyszałam.

Na chwilę przystanąłam.

– Ale ja cię o to nie proszę – odparłam, nie odwracając się.

– W takim razie sama sobie z nimi gadaj. Z nimi wszystkimi. Z mamusią, tatusiem i policją. Mam to gdzieś.

Podszedł do mnie i wcisnął mi w rękę małe zawiniątko, które wypadło z nogi od łóżka. Wyminął mnie i wyszedł z mieszkania.

– Będę w samochodzie – rzucił przez ramię.

Odwinęłam szmatkę. Bałam się, że znajdę w niej jakieś drobne kości, jak zęby czy paliczki. Mogła to być także biżuteria, włosy lub najcenniejszy z wycinków: gałka oczna... Nie wiedziałam. O Adamie myślałam teraz jak o sadyście, więc uznałam, że mogę spodziewać się wszystkiego. Ku mojemu zdziwieniu na dłoń wypadł mi klucz.

„Kolejna tajemnica” – pomyślałam.

Wróciłam do sypialni i trochę posprzątałam. Przykręciłam ozdobną gałkę do ramy łóżka i podłożyłam pod spód nogi oderwaną podkładkę. Rozejrzałam się, upewniając, że niczego nie zostawiliśmy, poza oczywistymi śladami wydeptanymi w kurzu. Wyszłam z mieszkania i zamknęłam za sobą drzwi.

Zanim poszłam w stronę samochodu, coś mnie tknęło. Zapukałam do sąsiadki, dzięki której dostaliśmy się do środka. Starsza pani otworzyła po chwili i od razu wyciągnęła rękę po klucz.

– Proszę pani... – zaczęłam nieśmiało.

– Tak? – zapytała równie niepewnie.

– Muszę pani coś powiedzieć. – Naprawdę nie wiedziałam jak, ale może to była moja jedyna szansa. – Nazywam się Oliwia Pol.

Szeroko otworzyła oczy.

– Jesteś wnuczką Stasia Sawickiego? – zapytała zaskoczona. Przestała mówić mi per pani.

– Nie wiem... Na to wygląda – przyznałam, choć nadal nie miałam stuprocentowej pewności.

– Mieszkacie gdzieś w pobliżu? – zainteresowała się sąsiadka.

Nie byłam w nastroju na pogaduchy. Chciałam tylko jednej informacji.

– To nieco... bardziej skomplikowane. Nie, nie w pobliżu.

– Po tym, jak Agata zniknęła, wszyscy się stąd wynieśli. Stasiu umarł, Teresa zachorowała, a wasz ojciec zabrał was i zniknął. Pamiętasz, jak przychodziłaś do mnie na naleśniki?

Zatkało mnie.

– Nie... przepraszam – wykrztusiłam.

– Malutka byłaś. Nie dziwota.

– Zna pani mojego ojca?

– Tak. No przecież to sąsiad był! Razem kradliśmy kukurydzę z pól! – Uśmiechnęła się do wspomnień beztroskiej młodości. – Był ode mnie sporo młodszy, ale dzięki temu nauczył się szabru od najlepszych. Jego ojciec to prywaciarz. Hodował kwiaty i sprzedawał w mieście.

– Dziadek Franek – kiwnęłam głową. Jego akurat pamiętałam całkiem nieźle. – Mieszkali w domu nad jeziorem?

– To powinnaś pamiętać. – Uniosła brwi, a skóra na jej czole natychmiast się pofałdowała.

– Tak, pamiętam bardzo dobrze – potwierdziłam. Czyli ojciec nie okłamał mnie w kwestii domu. Naprawdę należał do Franka.

– Powiedziała pani, że Teresa wyszła bogato za męża?

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że tak niedaleko domu, w którym spędzałam sporo czasu, był ktoś, kto znał prawdę. Pewnie dlatego ojciec niechętnie zabierał nas do miasta. Bał się, że przypomnę sobie te naleśniki... I to, że Teresa miała siostrę bliźniaczkę.

– Tak, wyjechała. Mówią, że do Ameryki albo do Australii. Nie wiem, kochanieńka, nie wiem. Była chora jakiś czas, aż nagle jednego dnia zabrała wszystko i tyle. Przysyłała pieniądze, potem chyba przestało jej zależeć.

Słuchałam tej kobiety kompletnie oniemiała. Wszędzie półprawdy i niedopowiedzenia. Ona nie miała pojęcia, że Teresa wyszła za mojego ojca! Jak to możliwe, że przez tyle lat państwo Pol nie pogubili się we własnych intrygach?

– Pomoże mi pani w jednej sprawie? – zapytałam, tym razem już nie tak nieśmiało. Musiałam się dowiedzieć.

– Jeśli będę umiała.

– Co może otwierać ten klucz? – Pokazałam znalezisko. Kobieta oddaliła przedmiot od twarzy i zmrużyła oczy.

– Muszę po okulary. Zaczekaj albo wejdź. Jak chcesz! – Znikała w głębi mieszkania z moim kluczem, a głos stawał się coraz cichszy.

Przestąpiłam próg mieszkania pełnego dywanów, firan, zazdrostek, gobelinów, obrazów i innych tłumiących dźwięk przedmiotów. Choć metraż na oko był identyczny, co w mieszkaniu obok, kobieta i jej głos zagubiły się w ciemnej norze, do której o tej porze nie wpadało zbyt dużo światła. Nagle usłyszałam, że wraca. Jej głos znów stawał się bardziej rzeczywisty, mimo że cała sytuacja była ekstremalnie surrealistyczna.

– Jestem, idę. – Chociaż szła powoli, wyraźnie się zasapała. – To mi wygląda na robotę naszego pana Janka, świętej pamięci.

– Nie kojarzę. – Uśmiechnęłam się bezradnie.

– On tu klucze dorabiał, grawerował, no... Różnie. Ale takie klucze to mieliśmy wszyscy. Więc to może być klucz do domu twojej matki. Nad jeziorem.

– Do domu mojej matki – całkiem zgłupiałam. Wydawało mi się, że kobieta wcześniej powiedziała, iż dom należał do dziadka. – To w końcu czyj to był dom?

– Ale który dom? – Spojrzała na mnie podejrzliwie. Być może w jej

mniemaniu to ze mną było coś nie tak.

– No, ten nad jeziorem – wyjaśniłam.

– Tak, tylko który nad jeziorem?

Teraz rzeczywiście poczułam się jak niespełna rozumu.

– Mam rozumieć, że są dwa domy nad jeziorem? – załapałam.

Starsza pani zaśmiała się dobrotliwie.

– Nad jeziorem jest kilka domów. To spore jezioro. A dom Agaty to ten z numerem cztery, trochę bardziej w lesie. Za torfowiskiem. Tak się przecież poznali twoi rodzice. Julek za dzieciaka zbierał torf do kwiatów. Najczęściej spod domu Agaty... – Mrugnęła porozumiewawczo.

Na chwilę odjęło mi mowę. Gdy czasem pytałam rodziców, jak się poznali, zawsze dochodziło do spięć. Jak choćby ostatnio, na pamiętnym grillu u nas w ogrodzie. Ojciec mawiał, że to opowieść jak każda inna, a Teresa twierdziła w porywach złości, że zupełnie niewarta przytaczania. Oboje wiedzieli, że to nie ich wspólna opowieść, ale ojca i Agaty. Sięgająca czasów, kiedy byli jeszcze dziećmi. Dlatego tak ją ukrywali. Oni nie mieli własnej historii. Ojciec zastąpił moją prawdziwą matkę kopia, udając normalność, tworząc świat mrzonek i obłudy. Może myślał, że Teresa zastąpi mu Agatę i będzie jak dawniej? Zapewne cierpiał... Albo miał pretensje do mojej mamy, która zniknęła i nie wiadomo było, czy przypadkiem od niego nie uciekła? Szukał jej, to pewne. Gdy nie znalazł, pomocną dłoń wyciągnęła do niego Teresa. Zastąpiła mu żonę i matkę dzieciom. Ją też zapewne trzeba było wspierać. Przecież straciła siostrę. Rodzina Juliana znów była idealna. Gazety przestały pisać o zaginięciu Agaty. Moja mama przeszła do historii.

Ale to jej zdjęcie miał na ekranie laptopa. Papiery, których nigdy nie powinniśmy znaleźć, ja czy Witek, ukrył w sejfie, o którego istnieniu mieliśmy się nie dowiedzieć. Może nie przestał jej kochać? Czy to dlatego Teresa stała się odrażoną, nienawistną istotą, która trwała w zgorzknieniu i smutku? Chyba że wersja Adama, a wcześniej rzekomo także moja, była

prawdziwa...

– Jak trafię do tego domu?

– Normalnie. Ma pani GPS? – Starsza pani znów zmierzyła mnie wzrokiem.

– No tak. Dziękuję... – odparłam zmieszana.

Wyszłam na dwór. Lekki powiew wiatru zmiótł ze mnie resztki kurzu, który wyniosłam z mieszkania Sawickich. Rozejrzałam się. Adam siedział w samochodzie i gapił się w telefon. Miał zaciętą minę i nie wyglądał zbyt przyjaźnie. Musiałam przyznać, co nie było łatwe, że czasem zachowywałam się irracjonalnie. Rozchwiana psychika ułatwiała mi przechodzenie ze skrajności w skrajność. Z paskudnym usposobieniem Adama, bezczelnością i ograniczoną empatią, która dochodziła do głosu niezwykle rzadko (na przykład kiedy mnie objął), stanowiliśmy mieszankę podobną do jabłka popitego wodą. Niby nic takiego, a jednak... bum. Tyle że przecież bardzo mi pomagał. Był tu, choć nie musiał. Oswajał mnie z rzeczywistością na swój dość brutalny sposób, ale przynajmniej mi towarzyszył, nie wspominając o tym, że nie serwował mi korporacyjnych wykładów o sinusoidach. A teraz ja mam do niego pretensje, że zmusił mnie do odkrycia prawdy, którą przecież chciałam poznać. Zupełnie jak księżniczka z cukru, do której wciąż mnie porównywał.

Postanowiłam się z nim pogodzić. Przyglądałam bluzkę, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam do auta.

Kiedy otwierałam drzwi, odpalił silnik, a gdy tylko je zamknęłam, ruszył.

– Wiesz, gdzie masz jechać? – zapytałam.

– Ty mi powiedz – burknął.

– Na skrzyżowaniu skręć w lewo – poprosiłam.

– Ale to nie jest droga do miasta.

Wyczułam w jego głosie nutę niepewności.

– I nie ma nią być. Jedziemy gdzie indziej. – Miałam nadzieję, że przystanie na mój plan.

– Jak sobie życzysz – powiedział, a następnie, o czym jeszcze nie wiedział, ruszył wskazaną przeze mnie drogą, wiodącą przez las do domu nad jeziorem.

XII

Oto przybudówka „domku dla lalek” – zacytowałam go z przekąsem.

– To mógłby być mój dom. Calusieńki, pełnoprawny, nie tylko przybudówka. – Zapatrzył się w górne okno chaty. – Mógłbym porzucić klockowaty blok i żyć zgodnie z naturą.

– Czytaj: „odciąć się od ludzi”?

– Proszę, nie analizuj mnie. Nie jestem i nie będę twoim pacjentem. – Przeniósł wzrok na mnie i kwaśno się uśmiechnął.

Zaprosiłam go do środka. Zauważyłam, że zrobił to, co zawsze robiłam sama, za każdym razem, gdy tu wchodziłam. Wciągnął powietrze przez nos, by rozkoszować się chłodnym, pachnącym drewnem powietrzem.

– Często tu przyjeżdżasz? – zapytał. Chwycił się pod boki jak klient, mający kilka pytań do pośrednika w sprzedaży nieruchomości.

– Nie tak często, jak bym chciała. To bardziej mój dom niż ten w mieście. Przynajmniej duchowo.

Podeszłam do kominka i podniosłam rodzinną fotografię. Miałam na niej trzynaście lat i takie smutne oczy. Pewnie Teresa furczała na mnie jak zawsze, choć nie do końca pamiętałam, w jakich okolicznościach ją zrobiono. Dawno.

– Rodzice od wielu lat tu nie zaglądają.

– A my po co tu przyszliśmy, tak naprawdę?

– Odpocząć. Odciąć się od ludzi.

Pomyślałam, że rzeczywiście niczego bardziej nie pragnę. Usiadłam na kanapie i od razu przypomniała mi się tamta zakurzona wersalka. Tłumiłam powracające falami emocje, które chciały znów doprowadzić mnie do łez. Wszystko, co w tym domu się stało lub co zostało

powiedziane, było tylko ułudą. Moja prawdziwa mama zaginęła, idąc w tę stronę wiele lat temu, a jej siostra nigdy nie próbowała odgrywać roli dobrej, współczującej matki. Nawet tu, w chwilach, które miała poświęcić nam, rozkładała ręcznik nad jeziorem, kładła się z papierosem w dłoni i całymi dniami opalała, czytając romanse Danielle Steel.

– A potem? – Adam nie był na to przygotowany, a z tego, co zdążyłam zauważyć, wolał mieć wszystko zaplanowane.

– A potem sprawdzimy, czy klucz znaleziony w mieszkaniu Teresy otwiera drzwi, o których myślę.

– Dlaczego nie możemy tego sprawdzić teraz? – niecierpliwił się.

– Bo chcę ochłonać. Mogę?

Podkuliłam nogi i usiadłam w ulubionej pozycji. Zamknęłam na chwilę oczy. Nie mogłam przestać myśleć o tym wszystkim. Chciałam, korzystając z magii jednego z moich ulubionych miejsc na ziemi, spróbować choć na chwilę odciąć się od zgiełku przekrzykujących się w mojej głowie myśli. To, czy otworzę te drzwi teraz, czy za dwie godziny, nie miało już znaczenia, biorąc pod uwagę całe moje życie. Tym bardziej, że klucz mógł w ogóle nie pasować.

– Dobrze. Ty ochłoń, ja się rozejrzę – rzucił i bez ostrzeżenia wyszedł, zostawiając mnie w lekkim osłupieniu. Niby za czym chciał się tu rozglądać? I po co? Czy tak bardzo uraziła go uwaga o tym, że pewne sprawy należy zostawić policji?

Wyszedł, nie zamknąwszy dokładnie drzwi. Uniosłam się nieco na kolanach. Przez okno zobaczyłam, że stanął obok samochodu i wyjął z kurtki paczkę papierosów. Nie wiedziałam, że pali. Zaciągnął się dwa razy i spojrzał na papierosa. Dmuchnął na żar. Chwilę później zdeptał papierosa na trawie (mojej trawie, przed moim domem) i wrócił do środka.

Stanął w drzwiach i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu.

– Masz tu coś do żarcia? – zapytał.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Mam – odparłam. – Dobry pomysł. Zjedzmy coś.

Siedzieliśmy przy stole nakrytym ceratą, pochłaniając jedzenie z puszek, które dziś smakowało wyjątkowo dobrze. To stres sprawił, że nie czułam się głodna, dopóki nie skosztowałam nieco rozgotowanego spaghetti w sosie pomidorowym. Aby zapomnieć o napisie „Tesco Everyday Value” na etykietach, wyłożyłam jedzenie na talerze.

– Niezłe. Nigdy tego nie jadłem.

Adam najwyraźniej stawał się drażliwy, kiedy dokuczał mu głód. Uspokoił się natychmiast po tym, jak poczuł zapach jedzenia. Znów zaczął się uśmiechać, tak... jak lubiłam...

– I zapewne więcej nie zjesz – skwitowałam. – W normalnych warunkach nie da się tego nazwać posiłkiem. Co najwyżej karmą.

– Bywało gorzej. – Znów zrobił minę, którą miewał, gdy nazywał mnie księżniczką, lalczką, dupą...

Zamilkliśmy. Ponieważ było tu o tej porze dnia wręcz nieznośnie cicho, stukanie sztućców o talerze wydawało się potwornie hałaśliwe. Do tego fakt, że Adam cały czas zderzał ze sobą nasze dwa światy, rzekomo strasznie się od siebie różniące, nie pomagał w rozmowie. Dokończyliśmy jedzenie. Nawet nie zauważyłam, kiedy na dworze poszarzało. Oczywiście ciągle było jasno, ale o tej godzinie słońce już nie zaglądało do jadalni. Zazwyczaj w takich sytuacjach wynosiłam się z jedzeniem, pracą papierkową czy intrygującą lekturą na zewnątrz. Pomyślałam, że to niezły pomysł.

– Słuchaj... Śpieszy ci się? – Wydawało mi się, że wymawiam to pytanie w zwolnionym tempie. Miałam nawet ochotę ugryźć się w język. Stało się! Poszło.

– W czym rzecz? – I to był zupełnie nowy Adam. Adam, który nie wie, o co chodzi. Wszystkowiedzący znawca ludzkich intencji nagle zniknął.

– Pomyślałam, że może lepiej będzie, jak do tego drugiego domu pójdziemy pod wieczór. – Brnęłam dalej, zupełnie nie wiedząc,

po co to robię.

– Dlaczego? – Wpatrzył się we mnie z tą nową, zdeorientowaną miną.

Podaliśmy mu chusteczkę z podajnika i pokazałam własny kącik ust. Zrozumiał i otarł resztkę sosu z twarzy.

– Bo może nie powinniśmy się z tym tak obnosić?

– Mam odznakę i mogę się obnosić z każdym zamiarem, o ile dom należy do twojej matki, a ty dysponujesz kluczem. – Wstał od stołu.

– Dobrze, jak chcesz.

Zrozumiałam, że ze wspólnego popołudnia nic nie wyjdzie. A już myślałam, że może porozmawiamy i rozluźnimy atmosferę. Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty na wycieczkę do tego domu. Adam chłonał informacje i wciąż chciał więcej. Jego również zaintrygowała moja historia. Widziałam to już wtedy, gdy przyszedłam do jego mieszkania. Miałam dość wszystkiego. A on bezlitośnie uznał, że przesadzam.

Podszedł do kuchennego zlewu i nalał szklanek wody. Podniósł ją do ust i zerknął na mnie.

– Nie pogoni mnie? – zapytał całkiem serio.

– Mamy tu dobrą wodę – odpowiedziałam.

Również podeszłam do zlewu. Wyciągnęłam szklankę z jego dłoni i upiłam łyk wody. Na jego twarzy mieszały się niezrozumienie i irytacja. Sama nie wiedziałam, dlaczego to robię. To miejsce i nagromadzony stres dziwnie działały. A on mnie pociągał. Bardzo. Szczególnie gdy był taki... ostry. Chciałam go za wszelką cenę przekonać, żeby choć na chwilę odpuścił ten spacer na torfowisko.

Zrobiło się intymnie. Wokół nie było nikogo, czekałam na ten jego „jednostronny” półuśmiech. Ale tylko patrzył na mnie, zdeorientowany. W końcu uznałam, że nie ma innego sposobu na pogodzenie się z nim. Odstawiłam szklankę i pocałowałam go. Nawet nie drgnął. Po chwili uśmiechnął się tak, jak lubiłam.

– Popierdoliło cię, Olka – powiedział z tym słodkim uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy. – Gdzie ten dom? – rzucił przez ramię i wyszedł na zewnątrz.

Poczułam się jak idiotka. Nigdy czegoś takiego nie zrobiłam, przenigdy. Ale ostatnio nie byłam sobą. Najpierw działałam, potem myślałam, choć zazwyczaj każde swoje zachowanie wołałam najpierw przemyśleć. Odruchowo, jakby na potwierdzenie wszystkich męczących mój umysł sprzeczności, dotknęłam głowy w miejscu, gdzie w czaszce pozostało wgłębienie po uderzeniu cegłą. Poczułam się nieatrakcyjna, zdekompletowana... Przypomniałam sobie, że czekają mnie powtórne badania, wykluczające HIV i kiłę. Od razu przeszła mi chęć na flirtowanie. Gdybym najpierw uświadomiła sobie te wszystkie okropności, pewnie nie odważyłabym się go całować. Ale czy od teraz tak miało wyglądać całe moje życie? Najpierw gwałt, potem normalność?

Zmierzając w stronę drzwi, poczułam zapach dymu papierosowego. Wyjrzałam przez okno. Adam stał tam, gdzie poprzednio, mając zamiar znów zaśmiecić mój trawnik. Musiał czuć się tym wszystkim równie zdenerwowany co ja. Tylko że ja byłam miłsza. Oczywiście psychicznie rozchwiana i nieprzewidywalna, ale wciąż miłsza. Zapach papierosów przypomniał mi Teresę. Wołałam poczekać, aż Adam skończy palić.

Po jakimś czasie (tym razem się nie śpieszył) zgasił papierosa. Chwyciłam z blatu butelkę płynu na komary. Ruszyłam w stronę drzwi. Okazało się, że on miał podobny pomysł. Niemal zderzyliśmy się ze sobą na progu.

– Przepraszam – bąknął i przeszedł koło mnie. W dłoni trzymał niedopałki, które postanowił wrzucić do kubła na śmieci.

– To ja przepraszam – powiedziałam i wyszłam na zewnątrz.

Adam przyszedł po chwili i skierował swoje kroki do samochodu.

– Musimy iść piechotą – stwierdziłam i wyciągnęłam ku niemu płyn na komary, na zgodę. Poza tym wiedziałam, co czeka nas w lesie.

– Dlaczego? – Był zły. Zignorował mój pojednawczy gest.

– Bo to jest za torfowiskiem – wyjaśniłam. – Nie prowadzi tam żadna nadająca się do jazdy droga – wyjaśniłam. – A przecież nie chcesz tu utknąć, prawda?

Adam spojrzał na mnie nieprzyjaźnie.

– Dobra, prowadź.

Wpisałam lokalizację w telefon. Nie lubiłam tych elektronicznych map. Nigdy nie wiedziałam, jak iść. Ale zawzięłam się i stwierdziłam, że nawet jeśli będziemy kluczyć, nie poproszę go o pomoc. Wyłączyłam dźwięk, żeby moja nieporadność w terenie nie rzucała się zanadto w oczy, i ruszyłam w stronę torfowiska.

Dróżka na skraju lasu, która wiodła w stronę domu sióstr Sawickich, była grząska i ciasna. Mogliśmy iść wyłącznie jedno za drugim, co uniemożliwiało rozmowę. Dawno nie zapuszczałam się w tę stronę. Spacer w okolicy miał sens, jeśli obierało się drogę wokół jeziora. Krajobraz zmieniał się co krok, miła bryza owiewała spacerowiczów w letnie dni. Jeśli przyjeżdżałam tu zimą, co zdarzało mi się rzadziej, lubiłam patrzeć na wschód słońca, które wznosiło się znad tafli cienkiego lodu. Ten widok przypominał mi skandynawskie krajobrazy, nad którymi tak rozpływali się moi znajomi, podróżujący zimą do naprawdę zimnych krajów. Ja miałam taką małą Skandynawię tutaj. Ta droga natomiast była wyjęta z innego zakątka świata. Ciemna, grząska, do tego cicha. Nad jeziorem pod wieczór przyroda zaczynała wielki koncert. Cicho było tylko podczas zachodu, kiedy zwierzęta nie do końca orientowały się, jaka jest właściwie pora dnia. Tutaj, bez względu na godzinę, panowała głucha cisza. Do tego im dalej szliśmy, tym robiło się chłodniej.

Po prawej stronie ścieżki rozpościerało się torfowisko. Pojedyncze rozlewiska zdradzały, że teren jest bagnisty i niebezpieczny. Dlatego rodzice nie pozwalali nam tu się bawić. Ich słowa, które pamiętałam z dzieciństwa, pobrzękiwały mi w głowie. „To nie jest miejsce na zabawę.

Utoniesz i ślad po tobie zaginie” – mówili. Po dziesiątkach podobnych kazań nikt nie zagnałby mnie tu kijem. Dzięki temu nie musieli się martwić tym, że odkryję kiedyś położony na granicy polany z torfowiskiem dom.

Ukazał się nam po dziesięciu minutach marszu. Najpierw jako mała, niewyraźna bryłka. Potem zaczął rosnąć. Sama już nie wiedziałam, czy droga była naprawdę długa, czy może dłużyła się tylko ze względu na naszą skomplikowaną relację.

– Chyba mnie szlag trafi, jeśli ten klucz nie będzie pasował – odezwałam się w końcu. Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Nie znałam Adama, tak na dobrą sprawę.

– Spoko – odparł. „Spoko”, czyli co? „Jest mi to obojętne”? Czy „Nie martw się, będzie pasował”?

Szliśmy więc dalej, a sylwetka domu powiększała się stopniowo. Dało się zauważyć, że podobnie jak dom ojca, budynek jest drewniany z podmurowaną piwnicą. Dach pokryty omszałym eternitem wymagał natychmiastowego remontu, ale stwierdziliśmy, że jesteśmy pierwszymi ludźmi od wielu lat, którzy zajrzą do wewnątrz – o ile uda się nam wejść. Cała konstrukcja chyliła się ze starości. Nikt o nią nie dbał. Przynajmniej od śmierci mojego dziadka od strony Sawickich, o którym słyszałam tylko tyle, że nie żyje. W odrapanych oknach zobaczyliśmy poszarzałe firany kontrastujące z ciemnym kolorem bali. Na tle lasu dom sprawiał wrażenie nawiedzonego. Ja w każdym razie omijałabym go szerokim łukiem. Nikt tu nie chodził, nie niszczył posiadłości, nie próbował się włamywać. Wskazywała na to wielka kłódka zamykająca drzwi.

Stanęliśmy przed tym imponującym domem i przez chwilę w milczeniu kontemplowaliśmy widok.

– Im bliżej, tym mniej go widać, co? – zagaiał Adam, mając najwyraźniej na myśli wysokie trawy zarastające okolicę.

– Z daleka wydawał się mniejszy, powiedziałałabym...

Patrzyliśmy na niepokojącą konstrukcję w akompaniamencie bzyczenia

owadów i nielicznych odgłosów leśnych ptaków.

– Dlaczego, mogąc mieszkać tutaj, dziadek przeprowadził się do tamtego ciasnego mieszkanca w bloku? – zastanowiłam się głośno.

Podniósł dłoń i zaczął wyliczać zalety nory w miasteczku.

– Bliżej do pracy, raz. Dwa, wyższy standard, przynajmniej dla ludzi starej daty. Tu pewnie nie ma nawet łazienki. Trzy, może to stosunek osobisty? Umarła mu żona. Nie chciał tu dłużej mieszkać.

– Pewnie masz rację... – Zdziwiło mnie to przemyślenie. Było takie dojrzałe. Choć nie myślałam o Adamie, że jest niedojrzały, absolutnie. Kiedy nie był chamski, brzmiał o wiele poważniej.

– To co? Damy mu szansę? – Uniosłam klucz na wysokość oczu.

– Myślałem, że już nie zapytasz – odparł, wskazując na kłódkę.

Jak podczas tajemnego rytuału, podeszliśmy zgodnym krokiem wprost pod drzwi. Z namaszczeniem podniosłam klucz do góry. Wsunęłam go do dziurki w kłóдке i przekręciłam. Z początku zamek się zaciął, choć klucz wszedł do środka. Popróbowalam i wreszcie zatrząsk kliknął i otworzył się.

– Nie wierzę – mruknęłam pod nosem, strasznie zadowolona. Nie chciałam tu przychodzić, ale gdyby okazało się, że cała wyprawa była na darmo, naprawdę trafiłby mnie szlag...

– Nie ciesz się tak – ostudził mnie Adam. Nacisnął na klamkę, drzwi ani drgnęły. – To tylko połowa sukcesu.

Przejął ode mnie klucz, ale tym razem nam się nie poszczęściło.

Znów złapał się pod boki. Spojrzał w górę, szukając alternatywnego wejścia. Myślał chwilę, po czym złapał mnie za ramię.

– Odsuń się – zarządził.

– Co masz zamiar zrobić? – wykrzyknęłam zdumiona.

Niestety, dobrze wiedziałam, co miał zamiar zrobić.

– Po prostu się odsuń.... – Machnął na mnie ręką.

Odszedł kilka kroków i jak rasowy policjant z filmów kryminalnych

uderzył z rozpędu w drzwi. Drewno stęknęło, dom pozostał zamknięty.

– Jeśli ktoś nas zobaczy, mamy przerąbane! – Zasłoniłam ręką twarz. – Ja może się jeszcze wytłumaczę, ale ty możesz mieć prawdziwe problemy.

– Mam odznakę, nie pękaj – powiedział i znów z całych sił naparł na drzwi.

– Kradzioną odznakę – poprawiłam go. – Czy ty się za bardzo nie wczuwasz w rolę? – Rozejrzałam się. Byłam tak zdenerwowana, że pulsowały mi skronie.

– A czy ty... – Znów uderzenie w drzwi. Tym razem odeszły dość mocno i wydawało się, że się poddadzą. Niestety. Podszedł do mnie, oddychając szybciej. – Czy ty przypadkiem nie zapomniałaś, po co tu jesteśmy?

Ciemne, zaczesane zwykle na bok włosy opadły mu na spocone czoło. Długi marsz i rola ludzkiego tarana trochę go zmęczyły.

– Nie zapomniałam. Ale nawet nie zajrzeliśmy pod przysłowiową wycieraczkę – upomniałam go.

– Twoja matka...

– Która? – złapałam go za słowo.

Przymknął oczy. Miał mnie chyba dość. Ja jego trochę też, choć w domu nad jeziorem wcale tak nie myślałam. Wiedziałam, że czeka mnie po tym wszystkim długa terapia.

– Czy twoja macocha zostawiała ci klucz pod wycieraczką?

– Może ona nie, ale...

– To nie jest amerykański film – przerwał mi. – To jest rzeczywistość. Twoja rzeczywistość. – Przyłożył palec do mojej klatki piersiowej i lekko popchnął. I wcale nie brzmiało to tak, jakby chciał się na mnie odegrać. – To ciebie ktoś porwał i zgwałcił, a potem porzucił nad rzeką. Stało się coś strasznego, niewybaczalnego. Możesz mieć wahania nastrojów, bo po gwałcie nikt się tobą nie zajął. Nie dostałaś opieki psychologa. Olali

cię tym chętniej, że sama nim jesteś i być może w ich mniemaniu powinnaś się z tym sama uporać. Powiedziałem ci, że ślad prowadzi do kogoś z twojej szanowanej rodziny. I widzisz, że nie jest tak kryształowa, jakby się mogło wydawać. Możesz sobie myśleć, że napieram, do czegoś cię zmuszam. Może nawet, że jesteś tu przeze mnie, nie wiem... Nie wiem, co myślisz, bo co pięć minut zmieniasz zdanie. – Odwrócił na chwilę głowę. – Więc teraz dam ci wybór. Jedno pchnięcie i będziemy w środku. – Wskazał na drzwi. – Ja je wyważę i ja wezmę, jeśli zechcesz, całą odpowiedzialność na siebie. Ale powiedz słowo, a odejdziemy i nie sprawdzimy tego tropu. Zastanów się, Olka. Bo więcej tu nie przyjadę, a jak widziałas, oko mam bardziej wprawne. Rozważ tylko przy wszystkich pretensjach, jakie do mnie masz, że jesteśmy tu dlatego, że to ty tak naprawdę tego chciałaś. Możesz sobie tłumaczyć, że złapałem cię w tym sklepie i zmałem twój spokój. Trzeba było powiedzieć o tym policji i czekać, aż zrobią swoje. To ty zdecydowałaś się w to brnąć, bo bałaś się i nadal się boisz o własne życie.

Odebrało mi mowę. Faktycznie się wahałam. Bałam się, że pozałuję swojej decyzji bez względu na to, jaką podejmę. Cała sytuacja przypominała układanie puzzli. Najpierw ktoś przyszedł i zniszczył idealnie złożony obraz. Potem, gdy zaczęłam go składać na nowo, okazało się, że kompletnie się zmienił, poszczególne elementy przybrały potworne kształty, a samo składanie stało się trudne. Im więcej układałam, tym bardziej bałam się, co wyjdzie w ostatecznym kształcie.

A jednak Adam miał rację. Chodziło przecież o moje życie. Oskarżyłam policję o zaniedbanie, kiedy nie dano mi ochrony, a potem o opieszałość, gdy śledztwo nie posuwało się do przodu. Chciałam na własną rękę odkryć, kto nastawał na moje życie i z jakiego powodu. I bałam się tego, co odkryję. On mi to uświadomił.

– Ale potem pójdę na policję. Zgoda? – rzuciłam pod nosem.

– To znaczy, że co...? – Adam chciał się upewnić.

– Wal.

Odszedł kilka kroków i porządnie się rozpędził. Kiedy drzwi ustąpiły, prawie wpadł z nimi do środka.

Weszliśmy, powoli stawiając kroki. W domu panował półmrok. Słońce chowało się za lasem, przez co na dworze było szarawo. Od razu podeszłam do okien i rozsunęłam niegdyś białe firanki. Do izby wpadło więcej mglistego światła.

– Pusto, jak tam, w bloku – ocenił wewnątrz Adam.

– W bloku nie było tak do końca пусто – zaprzeczyłam. To dzięki znalezionemu tam kluczowi trafiliśmy tutaj.

– Zasada taka sama. Sprawdzamy dokładnie każde pomieszczenie – zarządził.

– Oczywiście. – Tym razem nie protestowałam.

Najpierw chciałam odkryć, gdzie jest jakieś dodatkowe źródło światła. W małym mieszkanku przy pełnym słońcu łatwiej było znaleźć nawet tak dobrze ukryty sekret. Tu sytuacja stawała się o tyle trudniejsza, że mogliśmy polegać jedynie na świetle telefonicznych latarek.

Z czegoś, co kiedyś mogło być ogrodem, do domu wchodziło się wprost do izby, służącej jednocześnie za salon, kuchnię, a czasem i sypialnię. Budynek był zatem, przynajmniej na dole, bardzo podobny do tego nad jeziorem. Dlatego moje poszukiwania zaczęłam od kuchennych szafek i szuflad, które tutaj pamiętały chyba pierwszych właścicieli i już się sypały... Nad jeziorem świece trzymaliśmy w pierwszej od góry szufladzie. I to od kiedy pamiętam. Ale tutaj, tak jak w poprzednim miejscu należącym do Teresy, nie znalazłam nic poza kurzem. Cały dom wydawał się porządnie uprzątnięty ze wszystkich przydatnych lub mniej przydatnych rzeczy. Teresa wywodziła się z rodziny kultywującej wielokrotny recykling rzeczy. A przynajmniej ja to tak nazywałam. W psychologii takie zachowanie graniczyło z chorobą, jaką jest kompulsywne zbieractwo. Teresa nigdy nie chodziła po ulicach i nie wyszukiwała rzeczy, ale

zachowywała pudełka, reklamówki, zużyte długopisy, stare sprzęty domowe, przeterminowane czasopisma i inne przedmioty, których nigdy miała już nie użyć. „Może się kiedyś przyda” – mawiała. Nie dziwiło mnie więc, że każde z mieszkań zostało wyczyszczone z przedmiotów, zalegających dziś zapewne na strychu lub w piwnicy naszej willi w mieście. Być może część z tych świec trafiła kiedyś właśnie do domu dziadka Franka? W każdym razie tu ich nie było, a Adam w swojej naiwności nacisnął nawet kilka razy włącznik światła.

– Błagam – mruknęłam. – Nikt tu od dawna nie płaci za prąd.

– Warto próbować – stwierdził. – Idę na górę. Rozejrzysz się na dole? – zapytał.

– Jasne – przytaknęłam, rezygnując z pomysłu szukania świec. Postanowiłam szybko wykorzystać wszystko to, co miały do zaoferowania słońce i mój telefon.

Po wypłoszeniu mieszkańców – pajaków, żuków i innych małych stworzeń – ze wszystkich kuchennych szafek, zorientowałam się, że nie mam zbyt wielu miejsc do sprawdzania. Adam znów mocno się zaangażował. Słyszałam, jak szura czymś na górze. Pewnie ma do przeszukania dwa lub trzy nieduże pokoje. Najpewniej dwa. Chata robiła wrażenie większej od mojej. Bardziej przestronnej. Ale to pewnie dlatego, że nie było mebli ani wyposażenia kuchni.

Przeszłam kilka razy w tę i z powrotem, uważnie słuchając odgłosów wydawanych przez deski na podłodze. Starłam się dotknąć stopą każdej z nich. Wyobrażałam sobie, że jeśli któraś kryje pod sobą schowek, wyda charakterystyczny dźwięk i ugnie się pode mną. Sprawdziłam tak salon i kuchnię. Na dworze zrobiło się zupełnie szaro. Deski twardo leżały na swoich miejscach i żadna z nich nie zachowała się podejrzenie.

Także w tym domu, podobnie jak w należącym do dziadka Franka, nad drzwiami ktoś umieścił tablicę z datą budowy.

– Tysiąc dziewięćset dwadzieścia jeden – przeczytałam na głos.

Prosta chata dla człowieka o prostych potrzebach. Takiego, który żyje zgodnie z naturą. Leśnika albo drwała. Może kogoś, kto już wtedy czuł, co się święci, i uciekł z miasta pod las, dalej od rosnącej liczby mieszkańców, hałasu, brudu i smrodu, przestępczości, a dziś także i smogu. Któż to wiedział? Nawet jeśli od zawsze należała do rodziny Sawickich, dziadka nie znałam. Tym bardziej jego rodziców, którzy mogli tu zamieszkać jeszcze przed wojną.

Odwróciłam się i zobaczyłam niewielkie drzwi. Musiały prowadzić do piwnicy. Otworzyłam je i zobaczyłam niknące w mroku schody. Włączyłam latarkę i zeszłam na dół.

Powoli stawiałam stopy, mając wrażenie, że coś za chwilę na mnie skoczy. Albo że zaraz moim oczom ukaże się przybity do ściany trup. Spociłam się, choć w pomieszczeniu było chłodno. Jeśli teraz siadłby mi na ramieniu jakiś pajak lub po stopie przebiegł szczur, umarłabym. Adrenalina buzowała w żyłach. Powolny ruch nie pomagał w jej usunięciu, więc każdy nieproszony intruz wywołałby od razu zawał serca.

Ku mojemu zaskoczeniu piwnica okazała się zupełnie pusta. Nikt w niej nikogo nie pogrzebał ani tu nie mieszkał. Dotyczyło to także stworzeń większych od pajaka. Pusto i zimno.

Przeciągnęłam ręką po ceglanej ścianie. Była sucha, choć obok znajdowało się torfowisko. Bagnisty teren nie przeszkodził zdolnemu budowniczemu w zaprojektowaniu solidnego domu, który mógł służyć koneserowi win, takiemu jak mój ojciec, za rajski zakątek kiperamatora. Dlaczego więc Julian nigdy nie zdecydował się go zagospodarować? Najwyraźniej wiedział, że Agata zniknęła w drodze tutaj lub bezpośrednio stąd. Miejsce to musiało mu się kojarzyć z tragedią.

Mimo że mnie samej dom nie kojarzył się z niczym, czułam się tu bardzo źle. Ogarnął mnie niewytłumaczalny smutek i prawdziwy strach. Piwnica wydawała się końcem drogi, może przez myśl o ostatniej drodze Agaty. Z końcem ślepego zaułka, skąd nie ma już wyjścia. Przeszły mnie

ciarki i zrobiło się duszno.

Pograżona w wyobrazeniach usłyszałam cichy głos, wołający moje imię. Dochodził z góry. Z początku zabrzmiało to jak majak, ale gdy się powtórzyło, szybko wspięłam się na schody i zamknęłam za sobą drzwi do piwnicy. Cieszyłam się, że mam pretekst, by wyjść, nie musząc jej przeszukiwać. Adam zapewne niczego nie znalazł. Pomyślałam, że może zechce tu sam użyć swoich zdolności.

– Adam? – zawołałam, gdy znalazłam się w salonie.

– Olka, chodź tu szybko – usłyszałam bardzo wyraźnie. – Ile można cię wołać?

– Byłam w piwnicy – powiedziałam, wskakując na schody wiodące na piętro.

Stańłam z nim twarzą w twarz, bo czekał na mnie u ich szczytu.

– Chciałem ci coś pokazać – powiedział podekscytowany.

– Jakim cudem zawsze ty trafiasz na to „coś” jako pierwszy? – zapytałam, żeby polechtać jego ego. Udało się. Wyglądał na mniej obrażonego.

– Nie było szczególnie trudno. Zresztą to może nic nie znaczyć – powiedział i podszedł do drzwi po lewej stronie od schodów. Nacisnął na klamkę, ale nie drgnęły.

– Aha... – Kompletnie nie zrozumiałam. Miało być znalezisko, podobne do poprzedniego. A on pokazuje mi, że drzwi się zacięły.

– Wyważać? – zapytał i cofnął się parę kroków, by wziąć rozbieg.

– Zaraz, moment! – Uniosłam ręce w górę. – A znalezisko?

– Patrzysz na nie – odrzekł poirytowany.

– Zatrzaśnięte drzwi?

– Zamknięte, Olka. Zamknięte na klucz.

Spojrzałam na te drzwi i od razu wszystko stało się jasne. To musiał być pokój Teresy. Tu także stworzyła swoje sanktuarium, do którego miała

wstęp tylko ona. Jeśli to była prawda, w którą najwyraźniej wierzył również Adam, za drzwiami mogło się kryć wiele znalezisk.

– Dobra, dawaj! – Odsunęłam się, by zrobić mu miejsce.

Nawet się nie skrzywił. Odsunął się i z impetem ruszył na drzwi. Już za drugim razem poddały się silnemu uderzeniu. Weszliśmy do środka. Wewnątrz było kompletnie ciemno. Po włączeniu latarek odkryliśmy, że okna zasłonięte są grubymi kotarami. Szarpnęłam za jedną z nich, a tuman kurzu powędrował w powietrze. W świetle latarek wyglądał jak śnieżna zawieja. Odsunęłam się, ale gdy zauważyłam, że do pokoju wpadło trochę światła, zrobiłam to samo z każdą z czterech zasłon.

Okna tego niewielkiego pomieszczenia wychodziły na zachód. Na dole wydawało się, że jest już ciemno, tutaj ostatnie promienie zachodzącego za lasem słońca wpadały przez brudne szyby, oświetlając unoszącą się w powietrzu chmurę drobinek, które przez lata gromadziły się na ciężkich kurtynach.

– Pusto – powiedziałam machinalnie, skupiona na mieniących się refleksach świetlnych.

– To samo mówiłaś w mieszkaniu – powiedział.

Spojrzałam na niego. Wpatrywał się w kąt pokoju, najciemniejsze miejsce w pomieszczeniu. Coś tam leżało. Powierzchnia niewielkiego prostokąta połyskiwała w zachodniej poświacie.

– Zdjęcie? – zapytałam, nie ruszając się. Każde takie znalezisko paraliżowało mnie. Wolałam, by to on je sprawdzał.

– Kolejne? – odpowiedział pytaniem, podchodząc tam.

Nie śpieszył się. Z namaszczaniem, tak samo jak w mieszkaniu Sawickich, przedłużał moment odkrycia czegoś nowego. Podniósł wreszcie to zdjęcie. Nawet w półmroku, poprzedzielanym gdzieniegdzie pasmami mdłego, rudego światła, zobaczyłam wyraz jego twarzy. Adam był w szoku. Ruszyłam ku niemu zdecydowanym krokiem.

– Zaczekaj – powstrzymał mnie, wystawiając dłoń.

Zawahałam się. Przystanęłam na chwilę, lecz potem znów ruszyłam.

– Pokaż.

– Muszę ci coś powiedzieć. Proszę...

Wyrwałam mu zdjęcie i podeszłam z nim do okna. Fotografia przedstawiała kobietę, a właściwie bardzo młodą dziewczynę. Widać było, że to jedna z sióstr. Teresa lub Agata. Nie potrafiłam ich rozróżnić, choć z całą pewnością mogłam stwierdzić, że to jedna z nich. Obok siedział mały chłopiec, może dwuletni. W tle widać było duży dom – żaden z tych nad jeziorem – i całą gromadę innych dzieci. Dziewczyna tuliła chłopca. Wydawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. Zdjęcie zrobiono w kolorze, choć dostępne wówczas klisze nie odwzorowywały autentycznych barw. Wszystko pokrywał różowawy filtr, przez który świat wydawał się zawsze ciepły i bajkowy. Ale to było lato, zdecydowanie. I chociaż liście miały niebieskawy kolor, to jednego szczegółu na zdjęciu nie przekłamałaby żadna, nawet czarno-biała klisza. Krótko ostrzyżony, smutny chłopiec, którego tuliła jedna z sióstr Sawickich, miał dwukolorowe oczy.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – zapytałam go, nie poznając własnego głosu.

– No, właśnie... to... – bąknął.

– Skąd wiesz, że mój oprawca ma dwie różne tęczęwki?

– Mówiłem ci. Słyszysz się to i owo – odrzekł z głupim uśmiechem.

Zamilkłam na kilka chwil.

– Jesteś z policji, tak? – Wbiłam w niego wzrok.

Nie odpowiedział. Podeszłam powoli.

– Pokażesz mi tę odznakę, którą tak ochoczo machasz wszystkim przed oczami?

Posłusznie wyjął dokument z kurtki. Otworzyłam służbowe etui i spojrzałam na dokument.

– Aspirant Adam Zamojski – przeczytałam na głos. Pokręciłam głową.

Nie wiedziałam, co myśleć.

– Nie mogłem ci powiedzieć. Ze względu na własne dobro i na dobro operacji...

– W którą mnie wciągnąłeś – wtrąciłam.

– W którą sama siebie wciągnęłaś, Olka.

– Ja samej siebie nie wciągnęłam do pakamery w markecie i nie poinformowałam, że to ktoś z mojej rodziny!

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, bo...

– Jestem fajną dupą?

– Bo groziło ci niebezpieczeństwo – odparł, niezrażony. – Chciałem, żebyś była czujna. Bo cię zawsze lubiłem... – dodał. – A że nie umiem tej sympatii wyrazić, to inna sprawa.

– Zauważyłam, kiedy nazwałeś mnie „popierdoloną”.

– Nie nazwałem cię tak. Zasugerowałem tylko, że... ci odbiło – bronił się, choć wiedziałam, że jest zbity z tropu.

– Dla jasności. Czyli nie jesteś informatorem i nigdy nie byłeś?

Ucichł, chyba żeby jeszcze bardziej podnieść mi ciśnienie.

– Nie – zaprzeczył po chwili.

Znow pokręciłam głową. Za dużo się ostatnio działo. Zbyt wiele niespodzianek odbijało się na moim zdrowiu.

– A to hasło w komputerze mojego ojca...

– Trzy lata w cyberprzestępczości – wyjaśnił. – Zaraz po ukończeniu studiów informatycznych, już w trakcie służby. Ale mi się znudziło. Wolę jeździć w teren niż serfować w sieci i przybierać na wadze.

Westchnęłam. Nie wiedziałam, czy jestem wściekła na niego, czy może na siebie, za to, że się nie domyśliłam. Ulżyło mi natomiast w kwestii legalności naszych działań. Odznaka nie była kradziona, a ja teoretycznie miałam prawo wyważyć drzwi.

– Czyli mam rozumieć, że ci cali Mróz i Sikora...

– Oni zajmują się sprawą porwania Teresy. Nasi przełożeni uznali, że powinniśmy te wątki rozdzielić i do twojego przydzielono mnie – wyjaśnił.

– A ja? Jestem tu z tobą tylko dlatego, że dzięki mnie masz łatwiejszy dostęp do nieruchomości należących do mojej rodziny?

– Jesteś tu, bo do mnie napisałaś. Tyle – skwitował. – Gdyby nie ty, nie wysyłałbym partnera do przekopywania stosów papierów. Żeby nie zorientował się, że z tobą jeżdżę. Tak naprawdę przysporzyłaś mi kłopotów. Z drugiej strony... dzięki tobie dowiedziałem się o sejfie, przez co wszystko ruszyło do przodu.

– A mój brat? – Nagle mnie olśniło. Przypomniałam sobie jego głupią minę po tym, jak zobaczył Adama w moim pokoju.

Tym razem to Adam westchnął.

– Twój brat... znamy się, tak. Powiedziałbym, że... całkiem dobrze – zmieszał się.

– Wiedziałam. – Czułam, że Witek darzy Zamojskiego sympatią. Teraz znałam powód. – Nigdy mi o tobie nie mówił.

– Pewne przyjaźnie trzyma się w kufrze, na dystans od życia prywatnego.

– Wszystko dla dobra śledztwa?

– Tak – potwierdził. – Nie zrozum mnie źle. On nie wie, że ze mną jeździsz. Zabiłby mnie za to... – dodał pośpiesznie. – Nikt nie wie. Moi przełożeni, mój partner, mój przyjaciel.

– Przynajmniej nie musisz czekać na nakazy sądowe – podsumowałam.

– Wiem, co próbujesz na mnie wymusić, Ola. – Uśmiechnął się tak, jak w tym momencie nie powinien. To był ten super uśmiech, tylko że ja wcale teraz nie lubiłam jego właściciela. – Nie, nie do tego się to sprowadza. Na pewno jest mi łatwiej, kiedy to ty jesteś kluczem do tych wszystkich drzwi, które wspólnie otwieramy, ale wierz mi, że po tym sejfie za Chiny bym nie odpuścił. Przyjechałbym tu sam i próbował dopasować te puzzle.

Z tobą jest... jakoś lepiej – powiedział niby od niechcenia. – Poza tym sama tego chciałaś. Byłaś uparta. Uważałaś, że policja nic nie robi w twojej sprawie, choć bardzo się mylisz, czego jestem świetlistym przykładem. Więc nie wyprowadzałem cię z błędu, bo mi zaufałaś. Zaimponowałaś mi. Ten twój ośli upór... Jest, przyznaję, wkurzający, ale bardzo skuteczny.

Adam przestał mówić. Staliśmy przez chwilę, patrząc na siebie w milczeniu. Mogłam iść o zakład, że w jego głowie panował podobny chaos, jak w mojej. Czekał na to, co zrobię. Myślał pewnie, że dam mu w twarz. Przez moment miałam na to ochotę. Przeanalizowałam jednak to, co powiedział, i w duchu przyznałam mu rację. Zaufałam mu tylko dlatego, że choć traktowałam go z góry, jako były przestępca stał mi się bliższy od pol i gant ów. A e teraz nie miał o to zmczeri a. Zozun ałam czego dokonaliśmy, i to, że zataił przede mną swój zawód, niczego nie zmieniało. Moim celem stało się rozwiązanie zagadki.

– Kto jest na tym zdjęciu, Adam? – zapytałam. – To mój porywacz. Wiesz, kim jest?

– Poza tym, że przestępcą, nie mam pojęcia. – Rozłożył ręce. – Szczerze mówiąc, jestem w totalnym szoku. – Zmrużył oczy i przyjrzał się fotografii. – Wiem za to, co to za miejsce.

– Tak?

– To sierociniec, jakieś czterdzieści kilometrów stąd.

– Sierociniec? – zdumiałam się.

– Gdy zaczynałem pracę w policji, prowadziłem tam sprawę. Paskudną, dlatego dobrze ją pamiętam. Jeden z opiekunów molestował dzieci.

– Czyli ten chłopiec może być...

– Twoim kuzynem. Wujkiem albo bratem. Tak – dokończył za mnie.

Usiadłam tam, gdzie stałam. Miałam ochotę zrobić to wcześniej, ale musiałam rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– Jeśli jest synem Agaty, czyli moim bratem, może wiedzieć, co się z nią stało – wywnioskowałam.

– Nawet więcej niż wiedzieć – zasugerował Adam.

– A jeśli jest synem Teresy... – rozważałam dalej.

– Nie sądzisz, że to mało prawdopodobne? – wtrącił. – W żółtych papierach, które zabraliśmy ze szpitala, ma wpisane: „bezdzienna”.

– Ale jeśli oddała go do domu dziecka, na co wskazywałoby to zdjęcie – uniosłam fotografię, wciąż jednak patrząc w podłogę – miałyby powód, by podawać się za bezdzienną.

– A on, żeby ją porwać i torturować...

– I podrzucić koledze zbrojeńcowi... – Wzdrygnęłam się. Wydało mi się to bardziej obrzydliwe od tego, że bandzior w masce wilka mógł być moim rodzonym bratem.

– Dlaczego wylądował w sierocińcu? – Adam zastanowił się głośno.

– Jeżeli ona ma na tym zdjęciu tyle lat, ile myślę, i jest jego matką, to stawiałabym na decyzję odgórną.

– Rodzice? – W jego tonie pobrzmiwała pogarda. – Wstydzili się nieletniej panienki z bękartem...

– Tak bym typowała – potwierdziłam. Wszystko wydało mi się jeszcze bardziej okrutne i przygnębiające.

– Może powinnaś ją o to zapytać? – rzucił cicho, a ja poczułam, jak po skórze płynie mi zimny pot. Na samą myśl ścisnęło mnie w żołądku.

– Taki miałam zamiar – wymamrotałam.

– Powinnaś to sobie z nią wyjaśnić. Dlaczego ktoś, kto może być jej bliski, nagle porywa ją i krzywdzi? A potem robi to tobie... Zaoszczędzilibyśmy wycieczek do archiwów sierocińca, których po sprawie z molestowaniem na pewno tak łatwo nie zdobędziemy.

– Witek... Czy on też może być w niebezpieczeństwie?

– Dokładnie, Ola – naciskał. – Może warto pomyśleć o reszcie rodziny? Bo co, jeżeli przyszła pora na kogoś następnego? Ona też powinna to wyrzygać. Być może dławione dotąd wyrzuty sumienia zabrały jej

tą możliwość. Rozpieściła synalka, pozwoliła mu czerpać garściami z tego, co jej skapnęło od losu, ale nie wzięła pod uwagę, że będzie chciał coraz więcej... A gdy wyciągnął po to rękę, a ona odmówiła, pokazał jej, kto tu rządzi.

– Dlatego nie chciała gadać z policją? – Jego wywód brzmiał sensownie.

– Ale jest jeszcze ten ktoś, kto stał w magazynie.

– Kto? – zapytał zdezorientowany.

– Mówiłam Mrozowi, kiedy ostatnio u mnie był, że w tej hali, w której to się stało, był ktoś jeszcze. Przypomniałam sobie, gdy... – Umilkłam. Nie powiedziałam mu wcześniej o Tomku i naszym wspólnym włamaniu do hangaru na łodzie.

– No właśnie. W tej sprawie... – urwał i zastygł.

– Co w tej sprawie? – spytałam zniecierpliwiona. Pomyślałam, że jeśli mamy sobie wszystko wyjaśnić, powinniśmy to zrobić raz a dobrze.

– To były ślady twoich butów.

Teraz ja patrzyłam na niego wilkiem i znów nie mogłam się ruszyć.

– Jak to: moich butów? – wycedziłam. – Porwali mnie bosą.

– To były twoje buty, które znaleźliśmy potem w domu. Pod wpływem środków odurzających fakty lubią się mieszać. – Westchnął. – Wszyscy uznaliśmy, że to ci się zdawało, Olka.

– Ty też? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak, ale... Teraz to ma swoją logikę. Te niezamknięte drzwi, ślady... Pytanie, czy Teresa sprezentowała synusiowi klucze, by czasem...

– Mógł wejść? – dopowiedziałam.

Przeszły mnie ciarki. Na samą myśl, że ten człowiek chodził po domu, może zajrzał do sypialni, korzystał z lodówki. Zabrał moje buty, a potem je podrzucił, żeby na wypadek aresztowania wmówić śledczym, że sama na to przystałam? Chciałam, by ktoś mnie porwał i zgwałcił, bo puściły mi wodze fantazji? Wolne żarty! Naprawdę, znałam z praktyki przypadki

dewiacji seksualnych i przyzwolenia na katowanie, ale nikogo, kto łączyłby oba. – Obrzydliwe – skwitowałam.

– Hm. – Adam zasepił się na chwilę. To był kwadrans oczyszczenia atmosfery. – Śledczy byli w tym hangarze, zanim trafiliście tam z twoim niewydarzonym kumplem, wiesz? – Uśmiechnął się kwaśno. – Pewnie sami dotarlibyśmy tutaj, na torfowisko, ale uznałem, że pewnie nadal będziesz węszyć na własną rękę. I dlatego między innymi wolałem, żebyś jeździła ze mną niż z kimś, kto zdeptuje ślady. Między innymi te z twoich butów, które dla jakiejś dziwnej pozoracji oprawcy zabrali z domu.

– Przed nami... – zadrwiłam, mając w pamięci kłódkę. Pominęłam fakt, że obraził Tomka.

– Jeśli chodzi o kłódkę, którą zniszczyliście, to my ją założyliśmy – czytał w moich myślach. – Trzeba było zabezpieczyć miejsce zbrodni, nie oblepiając wszystkiego taśmą. Motyw rodzinny, pamiętasz? Nikogo nie płoszymy. Do magazynu weszliśmy dzięki twojemu bratu. Zupełnie jak ty, on też nie miał o nim bladego pojęcia. – Zaśmiał się nerwowo. – Musiałabyś zobaczyć jego minę, gdy wywnioskował, że chwilowo prowadzi śledztwo w sprawie rodzinnych „niedomówień”.

– Ale guzika nie znaleźliście – broniłam swoich dokonań.

– Tego nie. Pięć innych tak. I włącznie z twoim znaleziskiem, wszystkie były czyste. Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

– Same! – Podparłam głowę dłońmi i wlepiłam wzrok w podłogę. – Ale nie takie, które mógłbyś rozwiązać.

– Więc spróbuj to zrobić sama. – Podeszedł do mnie i przykucnął naprzeciwko. – Jesteś psychologiem. Wiesz, jak rozmawiać z ludźmi skopanymi przez los.

– To tak nie działa – oponowałam. – Nie mam do Teresy dystansu, szczególnie po tym, jak się dowiedziałam, że tak naprawdę nie jest moją matką.

– Ale możesz chociaż spróbować jej pomóc. I sobie też. Możesz to z nią

wyjaśnić i wszystko zrozumieć ot, tak! – Pstryknął palcami.

Zastanowiłam się. Adam dał mi czas, bym to przetrawiła. W głębi duszy wiedziałam, że rozmowa z Teresą jest najłatwiejszym sposobem na szybkie ujęcie sprawcy. Może jeśli stanęłabym przed nią z całą zgromadzoną przez nas w ostatnich dniach wiedzą, postawiła pod ścianą i wymusiła na niej wyznanie prawdy, zdradziłaby tożsamość porywacza i uwolniła się od ciężaru. Może w jakiś sposób bym jej pomogła? Zmieniła ją na starość. Ulżyła w cierpieniu?

– Spróbuję.

– Zuch dziewczynka – Adam poklepał mnie po ramieniu i pomógł wstać.

– Ale jutro.

– Jasne. Dzisiaj...

– Zostańmy tutaj – dokończyłam za niego.

– Chcesz zostać w domu nad jeziorem? – upewnił się.

– Tak, nie chcę wracać po nocy. I po tej paskudnej drodze z dziurami...

– Oddałam mu zdjęcie i odwróciłam się do okna, by pożegnać się ze słońcem, ginącym za horyzontem. – Jutro wrócimy do miasta. Ja rozmówię się z matką, a ty pojedziesz do przełożonych, przedstawisz im to, co udało ci się zebrać, i aresztujesz tego gnoja. Zgoda?

– Przekonałaś mnie. Zgoda – odparł zadowolony.

Droga powrotna nie wydawała się tak długa jak wtedy, gdy szliśmy do chaty na torfowisku. Skupiliśmy się na szybkim marszu, każde pogrążone we własnych myślach. Chociaż dalej niepewnie, to jednak czułam się trochę pokrzepiona rozmową z Adamem. Jego wyznanie miało największe znaczenie. Stał się dla mnie ekspertem, autorytetem od wyzwania i trudnych spraw. Wszystko, co zrobił, z perspektywy czasu wydało się logiczne i systematyczne. Co prawda, pewnie nadużył swoich kompetencji i nie powinien angażować mnie w śledztwo, ale sama nalegałam. A przed jego przełożonymi obiecałam sobie milczeć jak grób.

Rada, by porozmawiać z Teresą, także wydawała się sensowna. Nadszedł czas, by wszystko sobie wyjaśnić, a może nawet pomóc nawzajem. Skrywana tajemnica rodzinna przysporzyła nam obu poważnych problemów. Razem powinno być nam łatwiej się z nimi uporać.

Cieszyłam się, że zostanę tutaj z nim bezpieczna, w miejscu, które zawsze kojarzyło mi się ze spokojem. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Z jednej strony nie mogłam przestać myśleć o jutrze, z drugiej zrobiłam się senna. Marzyłam tylko o tym, by rozpaść w kominku i usiąść przed nim ze szklaneczką pełną wina, by się wyciszyć, oddalić od natłoku informacji, które przyniosły ostatnie dni.

Gdy dotarliśmy do domu, od razu zabrałam się za realizację planu. Odkorkowałam butelkę czegoś, co powinno być cabernetem sauvignon, choć wiedziałam po ostatnim pobycie tutaj, że nawet go nie przypomina, i nalałam go do małej szklanki na kompot.

– Chcesz? – zapytałam Adama, wyjmując z szafki drugą.

– Nie, dzięki. – Wydawał się niespokojny, zamyślony.

– Męczy cię to? – zapytałam.

– Już trochę tak. – Zastygł na chwilę w bezruchu. – Niecierpliwi – poprawił się. – Chciałbym móc już im powiedzieć. Muszę cały czas udawać.

– To może jednak ci naleję? – Uśmiechnęłam się do niego.

– Nie, naprawdę, dziękuję. – Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Pooddycham, dobra?

– Dobra. – Wzruszyłam ramionami.

Wyszedł na chwilę. W ciszy, dodatkowo spotęgowanej ciemnością, usłyszałam, że otwiera auto. Przeszła mi przez głowę myśl, że za chwilę usłyszę warkot silnika i zanim zdążę wybiec na dwór, Adam odjedzie i porzuci mnie tu z tego zniecierpliwienia. Ale tak się nie stało. Chwilę później zamknął drzwi i uzbroił alarm.

Gdy ponownie wszedł do pomieszczenia, podskoczyłam na jego widok.

W ręce trzymał pistolet.

– Co to ma być? – podniosłam głos.

– Moja służbowa broń... – Wyglądał na zdziwionego.

– Musisz z tym tak paradować?

– O, przepraszam, księżniczko! Nie chcę trzymać broni w samochodzie, skoro już wiesz, jak zarabiam na chleb. – Rozłożył ręce, wciąż trzymając pistolet w prawej dłoni.

– Dobrze już... tylko uważaj, bo oboje jesteśmy podenerwowani. – Nie mogłam oderwać wzroku od czarnego przedmiotu.

– Ta... – burknął. – To gdzie ja śpię?

– Nie zostaniesz ze mną? – Wiedziałam, że będzie mnie unikał tego wieczoru.

– Jakoś nie mam ochoty. – Spojrzał wymownie na pistolet, jakbym obraziła go stwierdzeniem, że nie lubię broni. – Ty też nie powinnaś długo siedzieć. Chciałbym wyjechać wcześniej rano.

– Nie śpieszy mi się aż tak do tej rozmowy – skłamałam. Bardzo chciałam porozmawiać z Teresą. Tylko że się tym denerwowałam. Nie chciałam siedzieć tu sama, a o spokojnym śnie nie było mowy. Stąd szklanka tego wyśmienitego wina, które przywiozłam ostatnim razem. Zapewne nie ostatnia.

– Pokażesz mi to sławne już łóżko? – niecierpliwił się.

– Tak.

Poprowadziłam go schodami w górę. Weszliśmy do sypialni, którą jako dzieci dzieliliśmy z bratem w każde wakacje. Później Witek wyprowadził się do salonu. Gdy grzecznie spałam, on z zabranymi z miasta kolegami imprezował na całego. Zażywał jeziornych kąpiel w świetle księżyca, wypijał alkohol ojca i podkradał papierosy Teresie. A oni nigdy się nie zorientowali. Lub po prostu milczeli, jak to oni. I kto by pomyślał, że wyrośnie z niego stróż sprawiedliwości.

– Mogę podarować sobie zmianę pościeli? – zapytałam. – Byłam tu niedawno i założyłam świeżą – naciągnęłam fakty.

– Spoko – odpowiedział i usiadł na łóżku wciąż zakrytym kapą. – Kto to? – Wskazał na zdjęcie w ramce, na stoliku nocnym.

Poczułam, że zalewa mnie rumieniec.

– Mój były... narzeczony. Były – powtórzyłam, sama nie wiem po co. To żenujące, że wciąż trzymałam to zdjęcie. Ale ostatnio rzadko tu przyjeżdżałam.

– Tu. – Postukał się w głowę. – Też były?

– O tak, zdecydowanie. – Machnęłam rękami. – Po prostu nie miałam okazji się tego pozbyć – tłumaczyłam się bezsensownie, najwyraźniej zapewniając mu rozrywkę, bo zaczął uśmiechać się półgębkiem. – Dobranoc – dodałam pośpiesznie. W tym momencie zadzwonił telefon w mojej kieszeni.

– Matka zatęskniła? – zapytał rozbawiony i wyciągnął się na łóżku.

Zaśmiałam się cicho.

– Nie, to zadeptywacz śladów – odpowiedziałam, gdy wyświetlił się numer Tomka.

– Nie odbieraj.

– Dlaczego?

– Dla dobra śledztwa.

– Nie chrzań.

– Nie rób tego, proszę – naciskał.

– Dziwnie się zachowujesz – skomentowałam i odebrałam telefon, chociaż nie miałam ochoty z nikim rozmawiać.

Wyszłam z pokoju na korytarz przy schodach.

– Halo? – ściszyłam głos.

– Oła, co u ciebie? – zapytał zaniepokojony Tomek.

– W porządku. O ile można to tak określić – odparłam i zerknęłam

na przymknięte drzwi.

– Pomyślałem, że może chciałabyś pójść ze mną na kolację? Nie odzywasz się...

– Kiedy? – przerwałam mu. Wiedziałam, że wróci do naszego ostatniego, „sinusoidalnego” spotkania.

– Teraz – powiedział uradowany.

– Kochany jesteś. Ale teraz nie mogę.

Naprawdę było mi przykro. Zapomniałam, jak to jest spędzać czas w kulturalnym towarzystwie. Znowu obejrzałam się na drzwi. Adam łąził po pokoju. Pewnie podsłuchiwał.

– Rozumiem.

– W przyszłym tygodniu? – zaproponowałam od razu.

– Jasne. Zadzwonisz? – zapytał. – Obiecuj, że tak.

– Obiecuję.

– Jak tam twoja sprawa? Jakieś postępy?

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi. Od lat niezmiennie takie samo.

– Powoli. Wiesz, jak jest – odrzekłam. – Opowiem ci w przyszłym tygodniu.

– Jeśli będziesz potrzebować pomocy, daj znać.

– Dziękuję.

Adam podszedł do mnie. Złapał za ramiona i pocałował w szyję. Przymknęłam oczy i przylgnęłam do niego pośladkami.

– Jesteś zajęta? – zapytał Tomek.

– Trochę. – Głos mi się załamał, gdy Adam złapał mnie za piersi. Zawirowało mi w głowie. – Wiesz co? Zadzwonię jutro, zgoda?

– Oczywiście, dobrej nocy. – Brzmiał, jakbym go mocno rozczarowała. Ale byłam już gdzie indziej. Duchem i ciałem.

– Pa.

Wrzuciłam telefon do kieszeni, nie zastanawiając się, czy rozłączyłam

rozmowę. Odwróciłam się do Adama i zaczęłam rozpinać mu spodnie. Rozbawiłam go, ale niewiele mnie to obchodziło. Poza tym nie protestował.

Weszliśmy z powrotem do pokoju, wyłączając po drodze światło. Nie przestając na zmianę całować się i zrzucać poszczególne części garderoby, usiedliśmy na łóżku. Adam złożył ramkę z niefortunnym zdjęciem tak, że wylądowała frontem do dołu.

– Po co to tu trzymasz? – zapytał.

– Już ci powiedziałam.

Pchnęłam go delikatnie i zaczęłam pieścić jego szyję. Chciał się na mnie położyć, ale mu nie pozwoliłam.

– Chcę być na górze – powiedziałam poważnie. Musiałam przełamać to, co się stało. Chciałam znów polubić seks i dlatego wolałam, żeby to coś między nami odbyło się na moich zasadach.

– Dobrze. – Zrozumiał moje motywacje.

Wspomnienia z tej nocy będę pielęgnować całe życie. Już nigdy się z nimi nie rozstanę, bo zawsze budzą dreszczyk podniecenia. Na przykład takie jak to, że wcześniej nie kochałam się z facetem z bujnym zarostem. To było szczególnie ciekawe uczucie, gdy robił mi to językiem lub pieścił moje piersi. Kiedy szczytował, złapał mnie za włosy, co mnie jeszcze bardziej podnieciło. Zapamiętam po prostu, że to był wyjątkowy wieczór, pełen napięcia. Mój drugi „pierwszy raz”. Tylko że z dojrzałym mężczyzną, świadomym swoich potrzeb, ale i wyczulonym na moje. Jednym słowem, ze świetnym kochankiem. I z kimś, kto stał mi się bliski przez ostatnie dni. Byłam szczęśliwa. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Chociaż moje wino zostało na dole nietknięte, uspiła mnie cicha, czuła rozmowa. Jego spokojny oddech. Zapach. Leżąc tak koło niego, nie wiedziałam jeszcze, że po tym cudownym wieczorze będę musiała wkrótce zmierzyć się fizycznie z dręczącym mnie koszmarem.

XIII

Otworzyłam oczy. Potwornie bolała mnie głowa. Za oknami było ciemno, a ja pomyślałam, że kac nadszedł za szybko. Chciało mi się siku. Sądząc po ciszy za oknem i głębokim mroku, doszłam do wniosku, że jest środek nocy. Usiłowałam przypomnieć sobie, jak skończyła się impreza (dobrze pamiętałam, co między nami zaszło, nie wiedziałam tylko, co było dalej) i po chwili uprzytomniłam sobie, że przecież poprzedniego wieczoru nie wypiałam kropli alkoholu.

Obraz przed oczami rozmazywał się. Znów poczułam ostry ból w skroniach. Chciałam sięgnąć ręką i rozmasować je, ale nie mogłam. Szarpnęłam kilka razy, zanim doszło do mnie, że mam ręce związane z tyłu. Poczułam nadchodzący atak paniki. Zaczęłam nerwowo mrugać oczami i potrząsać głową, aby wyostrzyć obraz. Odkryłam, że nie leżę w łóżku, a na podłodze w kuchni, na dole. Wstrząsnął mną dreszcz. Miałam na sobie cienką piżamę, a zimna podłoga i chłód nocy zaczynały działać. Spróbowałam rozpaczliwie wyzwolić dłonie z więzów. Po kilku nieudanych, histerycznych próbach, położyłam głowę na podłodze i starałam się uspokoić oddech. Opuszkami palców wymacałam, czym mnie skrępowano, i zrozumiałam, że nie mam szans. To były plastikowe zaciski.

Obraz zaczął się klarować i zobaczyłam sylwetkę kogoś, kto leżał naprzeciwko mnie. Zamarłam. Nie widziałam kto to, ale wydawało mi się, że nie żyje. Wsłuchałam się w ciszę. Oddychał. Powoli, jakby spał. Usiadłam z trudem i ledwo powstrzymałam jęk. Ból głowy był potworny.

Spojrzałam. Obok leżał mężczyzna. Miał na głowie ciemny worek. Zębami, najdelikatniej jak mogłam, zsunęłam go z jego twarzy. W świetle księżyca dostrzegłam twarz Witka. Machinalnie wzięłam nerwowy oddech. Delikatnie kopnęłam brata w nogę.

– Witek? – szepnęłam. – Witek, obudź się.

Nadal spał. Adam gdzieś zniknął. Nie było czasu na rozważanie, czy ma z tą sytuacją coś wspólnego, czy także padł ofiarą napastników. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że nie żyje. Wolałam, żeby okazał się zdrajcą.

– Witek, błagam, ocknij się. – Zbliżyłam twarz do jego głowy i zaczęłam dmuchać. Nic innego nie przyszło mi na myśl. Dmuchałam parę razy w nos, ale nic to nie dało. Potem bardzo mocno wdmuchnęłam mu powietrze do ucha. I nagle się ocknął, głośno wciągając powietrze do płuc.

Nachyliłam się nad nim, sądząc, że także niewiele rozumie.

– Cśś! – syknęłam.

– Ola... Co jest...? – zapytał półgłosem.

– Ciszej, bo nas usłyszą – szepnęłam mu do ucha.

– Kto?

– A jak sądzisz? Adam był ze mną, ale zniknął.

– Adam? – zdumiał się półprzytomny Witek. – Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia.

– Mam nadzieję, że go nie zabili... – Wpadał w panikę.

– Ufasz mu? – Musiałam to od niego usłyszeć.

– Jak nikomu – odparł pewnie.

– Wróci – zapewniłam go, choć byłam ciężko przerażona i nie wiedziałam, czy Adam wciąż żyje.

– Musimy się uwolnić – powiedział mój brat. – Ciebie też skrupowali?

– Plastikowymi zaciskami – potwierdziłam.

– Jeśli policyjnymi, to przesrane – skomentował. – Nawet jeżeli znajdziemy ostry nóż, to potrwa wieki.

– Żyletka? – zasugerowałam.

– A są w tym domu żyletki?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie, ale mam pomysł. Wstań.
- Nie oboje na raz – pokręcił głową.
- Słusznie – potwierdziłam.

Podniosłam się z ziemi i chwiejnym krokiem ruszyłam do kuchenki gazowej, stojącej w rogu kuchni. Wsłuchiłam się w ciszę. Wybrzmiewały zwykle odgłosy nocy. W lesie strzeliła gałąź. Od czasu do czasu odezwał się nocny ptak. Półksiężyc oświetlił podwórze, na którym dostrzegłam otwarte auto Adama. Przeszedł mnie dreszcz.

– Zabrali mi telefon, jeszcze w domu. – Usłyszałam za plecami. Walczył z plastikami na nadgarstkach, ale tak samo, jak ja wcześniej, nieskutecznie.

– Mój powinien być na górze. – Przypomniałam sobie, gdzie odłożyłam telefon po rozmowie z Tomkiem.

– Nie ma, zapewniam. Ale możesz sprawdzić, jeśli chcesz. Ostatni raz wiele ich nauczył i już nie popełniają błędów.

Jeszcze raz rozejrzałam się i upewniłam, że nikogo poza nami nie ma w kuchni.

– Wiesz, kto nas porwał? – Moje pytanie było bardziej stwierdzeniem.

– Ci sami. Policja prawie ich miała. Kurwa, tak niewiele brakowało...

– Czyli nasz przyrodni brat i jego kumpel? – Odpaliłam gaz, średni płomień, dziękując w duchu za wynalazek, jakim była kuchenka z wmontowaną w kurek iskrą.

– Kto? – zdziwił się Witek.

– Nie wiesz. No tak... Ja do wczoraj też nie wiedziałam. To właśnie odkryliśmy z Adamem – powiedziałam.

Przygryzłam dolną wargę, tak by poczuć ból. Uniosłam się na palcach, wysunęłam ręce do tyłu i na wyczucie zaczęłam przesuwać dłonie nad palnikiem. Jęknęłam. Musiałam przerwać, choć ból był nie do wytrzymania.

– Jak to: nasz przyrodni brat?

– Brat lub kuzyn. Nie wiem, której z nich syn. Ale tak. Tak obstawiam –

stękałam. Postanowiłam spróbować jeszcze raz.

– Facet z dwukolorowymi oczami? – dopytywał Witek.

– Mhmm – zajęczałam, a stróżka potu pociekła z mojego czoła.

Plastik powoli rozszerzał się pod wpływem ciepła. Doliczyłam do trzech i zdjęłam ręce znad ognia. Dotarł do mnie zapach spalonych włosów i przypalonej skóry.

– Dlaczego go nie aresztowali, skoro byli tak blisko? – stęknęłam, walcząc z poddającym się powoli plastikiem i piekącym bólem.

– Bo go nie znaleźli.

– Nie rozumiem... – Pomyślałam, że bredzi. Byli blisko, ale nie widzieli go na oczy.

– Namierzyli szpital, w którym w ostatnim czasie nie zgadzał się stan substancji anestetycznych. Nie pracował tam nikt o dwukolorowych oczach. Postanowili przesłuchać cały personel i sprawdzić, kto nosi kontakty.

– I co?

– I ustalili personalia – odparł w momencie, kiedy z triumfem zsunęłam plastikowe kajdanki z dłoni.

– Nie aresztowali go?

– Nie, bo się nie zjawił. – Witek poruszył się, jakby chciał mnie ponaglić.

Otworzyłam szafkę w poszukiwaniu czegoś ostrego. Żaden z noży się nie nadawał, poza elektrycznym, którym pewnie obciąłabym bratu rękę, ściągając uwagę porywaczy. Nożyczki? Obcinaczki do paznokci? Niczego nie mogłam znaleźć.

– Byli u niego w domu?

– Tak. Szukali go, ale wsiąkł.

– No to chyba się znalazł... – szepnęłam i odruchowo spojrzałam w okno. W oddali, na tle lasu, zobaczyłam światła dwóch latarek.

Przerażona, zamknęłam szufladę i podbiegłam do Witka.

– Idą tu.

– Nie zostawiaj mnie – szepnął najciszej, jak umiał.

– Wróć – zapewniłam go. – Musisz się uspokoić i udawać nieprzytomnego, rozumiesz?

Pokiwał głową.

– Jeśli zobaczą, że mnie nie ma, puszczą się za mną w pogon. Zyskamy na czasie.

– Poszukaj Adama – poprosił.

– Tak zrobię. – Pogłaskałam go po włosach i wsunęłam mu na głowę worek, w którym go tu przywieziono. Przełknęłam łzy. – Udawaj, że śpisz – powiedziałam.

Miałam nadzieję, że mój plan się powiedzie.

Stałam na progu ciemnego domu. Czas na podjęcie jakiejś logicznej decyzji był ograniczony, ale tym razem postanowiłam się nie poddawać. Wiedziałam, z kim mam do czynienia, i wiedziałam, że muszę być o krok przed nimi. Niewiele myśląc, pozwoliłam działać instynktowi.

Auto Adama było otwarte. Podbiegłam i schowałam się za nim. Oceniałam, jak daleko są ludzie trzymający latarki. Mogłam uciekać w stronę wody i schować się w niej, pod pomostem.

Zimno. „Długo nie wytrzymam” – myślałam. Pod łódką, leżącą na brzegu do góry dnem? Ale wtedy nie wiedziałabym, czy ci z latarkami to oprawcy, czy wezwane przez Adama wsparcie.

Wybrałam trzecią możliwość. Cicho położyłam się na ziemi i wczołgałam pod samochód. Usłyszałam podniesione głosy dwóch mężczyzn i pożałowałam swojej decyzji. Rozpoznałam oba. Tym razem żaden z nich nie miał na sobie maski.

– Zadzwoń – powiedział zboczeniec, który parę tygodni temu brutalnie mnie zgwałcił. Był łysy. Mogłabym się założyć, że taki też ma pseudonim.

– Kurwa, niedobrze – odparł drugi, mój domniemany kuzyn, brat, wuj...

Mówił dość spokojnym i mimo okoliczności, przyjemnym głosem.

– Długo nie pożyje. Ale zadzwonić musisz.

– Ty mi nie mów, co ja muszę. – Pogroził łyseму palcem. – A jeśli wezwie resztę gadów?

– Przecież zabrałeś mu telefon, stary. Klamkę też. Trzymaj. – Wyciągnął ku niemu dłoń z bronią. – Weź wyluzuj. Aż mu żebra zazgrzytały. Daję mu góra dwadzieścia minut i będzie po kundlu – pokrzykiwał łysy.

Zatkałam sobie usta i nos. Łzy pociekły strumieniem. Ugryzłam się w obolałą od oparzeń rękę i wezbrała we mnie wściekłość. Skoro mówili o Adamie, bo innego „kundla” ze sobą nie przywiozłam, to musiał być w niebezpieczeństwie lub co gorsza, już nie żyć. Miałam dwie osoby do ocalenia. Niewiele wiedziałam o podobnych akcjach. Ale gdy doszło do tego, że mogłam się jakoś odegrać na napastnikach, wiedziałam, że nie wolno mi się poddać.

– Nie odbiera – usłyszałam. – Halo? – powiedział, przedłużając „l”. Zupełnie jak wtedy, gdy dzwonił do mnie do domu.

W telefonie ktoś się odezwał.

– No nie, problem jest... – powiedział dwukolorowy. Łysy odszedł od niego, jakby bał się, że z telefonu wystrzelą macki i chwycą go za gardło. Przetarł nos kciukiem. – Zgubiliśmy... psa zgubiliśmy. – Przesząpił z nogi na nogę. – Nie zwierzę, glinę... A skąd mam wiedzieć? Ja z nim nie spałem. Nie mam pojęcia, skąd go wytrzasnęła... Tak, miał odznakę. Kira dźgnął go pod żebro i ją zabrał. – Obrócił się, kiedy Łysy vel Kira wszedł do domku, rozpinając spodnie. Zemdliło mnie. – Dobra, muszę kończyć, bo mu się na amory zebrało – powiedział dwukolorowy. – Pies zdechnie w lesie, potem go znajdziemy. Albo zostawimy przyrodzie. Kiedy będziesz? Mhm... Niedaleko, czyli za pół godziny? Dobra, dwadzieścia minut.

Pomyślałam, że jeśli zwymiotuję, Kira zorientuje się, że przedmiot jego

pożądania leży pod samochodem. Zamknęłam oczy, nadal czując spływające po uszach i włosach łzy. Wzięłam kilka głębokich oddechów. Świadomość, że był tam ktoś jeszcze, znacznie tłumiała moją wiarę w siebie. Miałam rację. Czy to były odciski moich butów, czy nie, w hali ktoś stał. Taka liczba napastników oznaczała zorganizowaną grupę przestępczą. Policji nie udało się ich namierzyć. A gdyby Teresa zechciała mówić wcześniej? Kto wie? Komu zależało na naszej śmierci? Może to było celowe działanie. Czy teraz, kiedy zaginął mój brat prokurator, ktoś w końcu wystosował żądanie okupu? Na razie nie było jednak czasu na myślenie o tym trzecim. To działo się tu i teraz, a mnie nadal zbierało się na wymioty.

– Nie znajdą mnie, nie znajdą – powtarzałam bezgłośnie.

Wróciły do mnie wszystkie wspomnienia.

– Kurwa, teraz to już w ogóle przejebka, stary! Przejebane, rozumiesz?!
– darł się Kira. Wybiegł przed dom, trzymając się za łysą głacę.

– Przed chwilą kozaczyłeś... – powiedział ten drugi i udając spokój, wyjął paczkę papierosów. Dostrzegłam, że wyciągnął jednego ustami prosto z pudełka i odpalił zapalniczką gazową.

– Krystian, kurwa, jeśli uciekła, to ja nie wiem...

Domniemałam, że skoro padło oficjalne, jak sądziłam, imię, to znaczy, że Kira wpada w panikę.

– Gdzie ci uciekła? – uspokajał Łysego Krystian. – Gdzie uciekaś, co?
– podniósł głos, kierując słowa w powietrze.

Wystraszyłam się, że już wie, gdzie jestem. Chwilę później przekonałam się, że Krystian też popada w popłoch. Zaczął nerwowo bładzić światłem latarki po okolicy, zapewne w poszukiwaniu dobrej kryjówki. Moja rzucała się w oczy od razu. Ale ktoś mi kiedyś powiedział, że w myśl powiedzenia „najciemniej pod latarnią”, najrzadziej wybierana toaleta to ta pierwsza z brzegu. Bo wszyscy sądzą, że każdy z niej korzystał, a więc powinno się wybrać którąś z dalszych. W ten sposób toaleta numer jeden pozostaje

najczystsza. Tak jak moja kryjówka miała pozostać niezauważona. Mimo to trzęsłam się jak liść. Trochę z zimna, ale przede wszystkim ze strachu.

– Ty się lepiej martw o psa – powiedział Krystian, gdy dokończył papierosa. – Ją zaraz się znajdzie i jeszcze poużywasz – dodał.

Nie wiem, czy to, co powiedział, nie zmotywowało mnie najbardziej. Przestałam się mazać. Wiedziałam, że jeśli uda mi się przeżyć, zdążę się jeszcze wypłakać za wszystkie czasy.

– Idę nad jezioro. – Latarka Kiry zdradziła, że przestąpił dwa kroki. Snop światła niebezpiecznie zbliżył się do mnie.

– Lepiej obszukaj dom, póki ten prorok śpi – zarządził Krystian, popisując się znajomością grypserki.

Łysy nie zakwestionował słuszności rozkazów. Miałam krótką chwilę, by obmyślić plan działania.

Światło latarki zdradzało każdy ruch Krystiana. Tu, nad jeziorem, było naprawdę ciemno. Ale z pewnością łatwiej poruszać się w tych ciemnościach komuś, kto zna to miejsce jak własną kieszeń. Gdy Krystian oddalił się, powoli i w miarę bezgłośnie wyczołgałam się spod samochodu. Po cichu przeszłam w stronę domu. W oknie na górze dojrzałam światło, więc pośpieszyłam do schodów. Wchodząc po drewnianych stopniach, ominęłam drugi z trzech – skrzypiał, od kiedy pamiętałam. Stałam w progu i nasłuchiwałam. Na palcach weszłam do środka. Wśliznęłam się do kuchni i czekałam, tłumiąc oddech. Kira nawet nie starał się być cicho. Nie należał do szczególnie bystrych. Absolutny brak empatii i skłonność do przemocy, w tym seksualnej, stawiały go znacznie poniżej średniej. Odczytałam to jako moją szansę. Do tego odniosłam wrażenie, że tym razem nikt mnie nie uspił. Dostałam w głowę. Wiedziałam o tym, bo lekko z tyłu, za skronią, rósł mi guz. Lepszy jednak guz niż stan, w którym znalazł się Witek. Jego z pewnością odurzono tym samym paskudztwem, co wcześniej mnie. Mówił powoli, a i tak plątał mu się język. Musiałam sprawdzić, co u niego. Podeszłam na palcach, macając rękoma delikatnie

przed sobą.

– Witek, nic nie mów. – Chwyciłam go za dłoń. – Ściśnij.

Delikatnie zacisnął dłoń. Był bardzo słaby.

– Nie wiem jak, ale jakoś... Trzymaj kciuki. – Nie wiedziałam, co mu powiedzieć na pocieszenie. Wciąż myślę, że wówczas wcale nie zabrzmiało to głupio czy naiwnie. Po prostu szczerze. Też uścisnęłam jego dłoń i poszłam w stronę schodów na piętro.

Pod stopniami znajdował się mały, zakurzony schowek. Ojciec trzymał w nim przetwory, jeszcze kiedy przyjeżdżaliśmy i spędzaliśmy razem święta i wakacje. Gdy ja przejęłam rządy w domku, składowałam tu drewno na opał. Jakiś czas temu przywiozłam połamane meble z lat dziewięćdziesiątych, których pozbywał się mój znajomy. Obiecywałam sobie, że je porąbię, ale nigdy się nie złożyło. Szybko znalazłam odpowiednio wyważoną nogę od krzesła, z wystającymi u góry gwoździemi.

– I tak cię znajdę – usłyszałam głos na górze.

Kira postanowił skorzystać ze strategii kolegi. Przyznaję, że się sprawdzała. Kiedy usłyszałam jego głos, od razu przypomniałam sobie, jak mówi: „Już tego nie lubię, zamknij ryj!” i wymierza mi cios w twarz. Teraz jednak nie przygniatał mnie ciężarem swojego spoconego, cuchnącego ciała. Sam się bał.

Schowałam się w ciemnościach pod schodami i czekałam. Słyszałam Kirę łąącego po piętrze. Wiedziałam, że gdy obejrzy obie sypialnie i przerzuci graty na strychu, zejdzie na dół. Czyli jakoś za chwilę...

Coś poruszyło się niewiele wyżej. Wiedziałam, że schody trzeszczą. Trzeszczały, gdy byłam dzieckiem, więc dlaczego miałyby nie dać znać pod nogami dorosłego mężczyzny? Trzeci schodek upewnił mnie, że bandzior schodzi na dół.

– Jesteś tu? – usłyszałam jego paskudny głos. – Macie tu piwnicę? Chowasz się w szafce czy co?

Zaczęłam dyszeć. Skoncentrowałam się i mój przyśpieszony, krótki oddech stał się głębszy i cichszy. Kiedy Kira stanął na stopniach, które znajdowały się na wysokości mojej twarzy, wyrzałam z ukrycia i uniosłam nogę od krzesła. Nie chciałam robić tego wcześniej, żeby się nie męczyć. Czekałam w bezruchu. Nie mogłam pozwolić mu się oświetlić. Prawie go nie widziałam, ale dzięki latarce byłam w stanie ocenić, jak powinnam się zamachnąć.

Napastnik zszedł ze schodów. Patrzył przed siebie, w stronę kuchni i mojego półprzytomnego brata. Snop światła drżał, zdradzając jego niepewność. Poczulałam ukłucie w ramieniu. Pierwszy znak, że słabną mi ręce. Nie mogłam zwlekać. Nigdy nikogo nie uderzyłam. Wiele razy wyobrażałam sobie, jak zachowam się w sytuacji, w której musiałabym walczyć o życie. Ale nie byłam tak odważna jak w swoich wyobrażeniach. Gdyby Kira ruszył do przodu, pewnie stałabym nieruchomo. Nie poszłabym za nim. Ale mnie sprowokował. Odwrócił się znieacka w moją stronę. Bez wahania, zanim jeszcze zdążył poświecić, zamachnęłam się na oślepa. Przez chwilę było cicho. Narastający ból w ramieniu zelżał. Wtedy zorientowałam się dlaczego. Gwoździe z nogi od krzesła utkwily w głowie Kiry. Próbowalam nawet wyszarpać swoją broń z jego ciała, jednak nie udało się. Ostre końce weszły w kości z cichym trzaskiem. Kira zastygł. Najpierw upuścił latarkę. Myślałam, że będę musiała go tłuc. Bić na oślepa. Ale nie. Potem osunął się na ziemię, wrywając drewniany pałak z moich rąk. Pomyślałam, że to nie może być prawda, i że za chwilę, niczym w klasycznym horrorze, facet wstanie i złapie mnie za kolano. Przypomniałam sobie słowa Adama: „To nie jest amerykański film”. Przygotowałam się na to, że będę musiała porwać następną nogę od stołu i tłuc go, dopóki nie zastygnie. Nic takiego się nie stało. Kira leżał na ziemi i się nie ruszał.

Jęknęłam cichutko. Bałam się, że Krystian może być już gdzieś w pobliżu. Usłyszy mnie i cały mój trud obróci się przeciwko mnie. Ale nic

się nie stało. Wokół panowała cisza, jedynym odgłosem był rechot żab, dochodzący z nad jeziora.

Podniosłam latarkę i popatrzyłam na Kirę. Jeden z gwoździ wbił się w skroń. Drugi wszedł pod oko, wyciągając je z oczodołu. Ten makabryczny widok i świadomość, że to ja to zrobiłam, sprawiły, że nie wytrzymałam. Odwróciłam się i wymiotowałam.

– Ola? – usłyszałam cichy głos, który postawił mnie na równe nogi. Witek.

– Wiciu... – stęknęłam. – Jak się czujesz? Bo chyba będę potrzebować pomocy.

Weszłam do kuchni.

– Co się stało? Czy on nie żyje? – zapytał brat.

– Tak mi się wydaje – odparłam trzęsącym się głosem.

– Rozetniesz to? – Witek mówił już lepiej. Działanie środka zwiotczającego zaczęło powoli ustępować.

– Spróbuję coś znaleźć.

Wiedziałam, że to nie jest dobry moment, żeby się rozklejać. Myślałam o Adamie i Witku, żeby dodać sobie sił.

Wyszłam z powrotem na korytarz i weszłam do łazienki. Pomieszczenie było małe i wiecznie zagracone. Przeze mnie zresztą. Ale wiedziałam, co i gdzie leży w tym całym bałaganie. Sięgnęłam do jednego z pudełek, w którym trzymałam przybory kosmetyczne, i wyjęłam z niego obcinacz do paznokci. Wróciłam do Witka.

– Jakbym zakłuła, to mów – powiedziałam i przystąpiłam do dzieła.

– Znalazłaś Adama? – zapytał.

Zastanowiłam się, co mu powiedzieć.

– Adam jest gdzieś w lesie. Ciężko ranny – wyszeptalam, nie wierząc, że mu to mówię. Z drugiej strony, wolałam być z nim szczerą.

– O nie...

– Odszukam go.

– Teraz na to za późno. Musisz znaleźć telefon i wezwać posiłki.

– Nie mów tak – skarciłam go. Nawet nie chciałam słyszeć takich rzeczy. Jakie za późno?

Więzy pękły. Pomogłam Witkowi usiąść.

– Ola... Teraz musisz chronić przede wszystkim siebie.

– I ciebie.

– Na siebie mam pomysł. Pomóż mi wstać – powiedział i z trudem przysiadł na kolanach.

Wciąż ubrany był w garnitur. Tak nosił się tylko w pracy. Czyli wzięli go z zaskoczenia.

Podeszliśmy do trupa.

– Wyjmiesz to? – zapytał brat. – Ja nie dam rady.

– Spróbuję.

Chwycałam za nogę od krzesła i wyszarpałam ją z czaszki Kiry. Tego odgłosu nie zapomnę do końca życia. Potem Witek złapał go za rękę.

– Bierz drugą i ciągniemy – zarządził.

Zatargaliśmy zwłoki do kuchni. Witek zdjął z trupa kurtkę.

– Przeszukaj – nakazał, sam macając jego spodnie i dresową bluzę.

– Mam telefon – stwierdziłam uradowana.

Wtedy mój brat zasłabł. Przytrzymałam go.

– W porządku – powiedział i zamarł w bezruchu.

– Co jest? – Wyszepiałam.

– Cśś – uciszył mnie. Milczał przez moment. – Słyszysz? – odezwał się po chwili.

– Samochód? – zapytałam. Ale on znów się osunął.

– Za dużo wrażeń – tłumaczył, niby dowcipnie, choć w tej sytuacji był to raczej wisielczy żart. – Pomóż mi – dodał i zdjął rękaw marynarki. Pomogłam mu się rozebrać.

– Co mam z tym zrobić?

– Ubieramy trupa.

Ubieranie martwego człowieka okazało się trudnym wyzwaniem. Jednak udało mi się naciągnąć marynarkę na Kirę i włożyć worek na jego głowę. Teraz to on był Witkiem, dzięki czemu mój brat mógł się ukryć na piętrze.

– Odprowadzę cię na górę i sprawdzę, co się dzieje. Zadzwońisz po policję. Jesteś prokuratorem. Zmusz ich do przyjazdu – wydyszałam. Zmęczyło mnie to całe ubieranie.

– Nie jesteś superbohaterką, siostra. Nie rób niczego ponad swoje siły. – Witek mówił coraz mniej wyraźnie. W świetle latarki wyglądał strasznie. Nie miał siły uciekać. Wiedział, że mam rację.

– Chcę tylko pójść po Adama – oznajmiłam.

Odgłos samochodu, niesiony z daleka po spokojnej tafli jeziora otoczonego lasem, stawał się coraz głośniejszy. Ktoś zmierzał tu po leśnej, dziurawej drodze. Najpewniej był to ten trzeci, o którym nie wiedział Witek. Miałam więc niewiele czasu.

– Do góry! – Przełożyłam jego rękę przez barki i pomogłam mu wstać.

Powoli zaprowadziłam go na górę, do mojego pokoju. Odgłos silnika był już wyraźny. Niepokój wzrastał we mnie z każdą sekundą. Zaczęłam żałować, że nie mam tu broni.

Posadziłam Witka na łóżku.

– Nie zawieźdź mnie – powiedziałam poważnie. – Zadzwoń po policję.

– Ma się rozumieć – powiedział. Zanim zdążył dodać coś jeszcze, wyszłam z pokoju, przymykając drzwi.

Zeszłam do kuchni. Kilka metrów od domu, obok auta Adama, stał drugi pojazd. Ktoś wysiadł z niego, nie wyłączając świateł. Zobaczyłam chmurę papierosowego dymu.

To była Teresa.

Z naprzeciwka zbliżał się ktoś z latarką. To musiał być Krystian. Chciałam ją jakoś ostrzec. Powiedzieć, że to on ją porwał, a potem mnie. Ale kiedy Krystian wszedł w snop światła, ona podeszła do niego i uderzyła go w twarz. A on... nie zareagował.

– Nawet to musiałeś spieprzyć? Czy coś ci w życiu wychodzi? – wrzasnęła na niego, tak samo, jak nie raz darła się na nas.

– Takim mnie urodziłaś – odwarknął.

– Ale nie tak wychowałam!

– Wychowałam... Dobre sobie! – Zaśmiał się grubym głosem.

– Jak śmiesz? – oburzyła się. Mowa ciała sugerowała, że jest wściekła. Już nie chciała go bić. Czyżby wyrzuty sumienia? Stałam tam w kompletnym osłupieniu, powoli przyswajając to, co widziałam.

– Nie trzeba było się puszczać za gówniary. Problem by się nigdy nie urodził!

Znów podeszła bliżej i podniosła rękę do uderzenia. Zawahała się. On stał i patrzył jej w oczy. Był o półtorej głowy wyższy i bardzo, bardzo wkurzony. Też bym się zastanowiła na jej miejscu. W końcu zrezygnowała.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Kto? Pies?

– Gówno mnie obchodzi pies. Gdzie Kira?

– Chyba w domu. Szuka... – Krystian zawiesił głos.

Teresa przypatrywała się mu bacznie.

– Szuka kogo?

– Jej.

– Jak to jej szuka? A gdzie ona jest?

Milczał.

– Dlaczego wszystko muszę załatwiać sama? – znów wybuchła.

– Dostała w łeb. Na pewno gdzieś teraz leży, nieprzytomna. Miałem właśnie sprawdzić z drugiej strony.

– To miało wyglądać na wypadek. A teraz? No, jak ci to teraz wygląda, co?

– Dorzucimy ich do twojej siostry. – Rozłożył ręce, jakby właśnie znalazł remedium na wszystkie problemy.

– Jak widzisz, torfowisko wypłuka to, co wchłonęło – syczała Teresa.

Stałam oniemiała. Byłam ciekawa, czy Witek to słyszy. Czy także zrozumiał z tej rozmowy, że nasza macocha jest morderczynią, tak jak uprzednio sugerował Adam?

– Idę go poszukać, bo się opierdala – rzucił Krystian i skierował kroki w stronę domu. Zmroziło mnie. Stąd nie miałam gdzie uciec. Teresa powtrzymała go jednak.

– Ja pójdę. Jego też muszę postawić do pionu. Idź na drugą stronę. Jak znajdziesz policjanta – dobij.

Krystian poszedł w stronę lasu, Teresa natomiast ruszyła do domu. Nie miałam gdzie uciec. Mogłam tylko wbiec po schodach na górę. Przeskoczyłam zwłoki Kiry i wskoczyłam na stopnie. Pokonując po dwa, dotarłam na piętro.

Weszłam do swojego pokoju. Witek oddychał ciężko. Znów nieprzytomny. Byłam pewna, że nie zdążył zadzwonić po pomoc.

– Kira? Jesteś tu? – usłyszałam ten suchy, niemal męski głos. Ona zawsze mówiła szybko. Zawsze wściekła. Nawet gdy się z czegoś śmiała, to najkrócej ze wszystkich. Teraz wiedziałam dlaczego.

Zbliżała się. Nakryłam Witka lnianą kapą i udrapowałam ją tak, by nie mogła go dostrzec w ciemnościach. Dla niej on wciąż leżał na dole, w worku na głowie. Jeśli któreś z nas miało zginąć, to nie mój młodszy brat.

– Oliwia...? – powiedziała nieco wolniej, jakby się rozpromieniając, przy akompaniamencie skrzypiących drzwi do pokoju. Zastygłam. Pewnie się domyśliła, że Kira może już nie wrócić. Światło księżyca wpadło przez okno, oświetlając kontury jej twarzy. – Serce matki czuje.

– Nie jesteś moją matką – odparłam drżącym głosem.

– Tak daleko zaszliście? Gdzie twój brat? On też powinien być przy tej rodzinnej rozmowie.

– Sprowadzi pomoc – powiedziałam, nieco pewniej.

– O ile gdzieś nie padnie po drodze, prawda? – Uśmiechnęła się. Albo mi się wydawało w tym mętym świetle.

– Dlaczego nam to robisz? – zapytałam.

– Oliwia, to nie jest...

– ...amerykański film? – przerwałam.

Zamilkła na sekundę.

– Widzisz, jak dobrze mnie znasz... – odezwała się po chwili, nie wiedząc, że zacytowałam kogoś, przez kogo teraz nie powinnam grać na zwłokę.

– Nie mogłaś po prostu przedstawić nam brata? Nie mogliśmy żyć normalnie? – domagałam się odpowiedzi.

– Normalnie? W tym od początku nie było niczego normalnego! – Popukała się w głowę. – Twój dziadek był pieprzonym tyranem. Nie poznałaś go, z czego powinnaś się cieszyć, tym bardziej że wady, także te psychiczne, ujawniają się co drugie pokolenie. Kto wie? Może padłoby na ciebie, gdybyś się z nim zetknęła? Stary kazał mi oddać mojego synka do domu dziecka, gdy był małym chłopcem. Bo piętnastolatka nie może mieć dziecka. Za jego czasów to było normalne, a za moich już nie. Ojciec Krystiana był uczciwym człowiekiem. Na pewno zostawiłby żonę...

– Dobrze sobie. To był... pedofil – wtrąciłam. – Poszedłby do więzienia. Pewnie się wszyscy dogadali i najbardziej ucierpiał na tym nieproszony na świat Krystianek, którego w nienawiści do całej rodziny wychowałaś na potwora. Tylko dlaczego skrzywdziłaś mnie? Bo twoje porwanie to mistyfikacja, zgadza się?

– A jak myślisz? – syknęła.

– Nie do wiary... Zgodziłaś się na to pobicie, stosunek płciowy...

Z kim? Z Kirą? Obrzydliwe... I to miało odwrócić uwagę od ciebie? Słabe – skwitowałam.

Wiedziałam, że nie powinnam z nią pogrywać. Właśnie dlatego żaden psycholog nie powinien prowadzić terapii bliskich osób. Brak dystansu gwarantuje porażkę. Teraz powinnam starać się ją zrozumieć. Powiedzieć, że jej wybaczam. Przekonać, by się opamiętała. Tymczasem szłam po bandzie, bo się we mnie zebrało i chciałam to z siebie wyrzucić.

– Słabe czy nie, ale zadziałało.

– To z nami, ze mną i Witkiem, to taka zemsta? – Próbowałam wyciągnąć jak najwięcej, wierząc, że stanie się cud i wyjdziemy z tego cało.

– Nie, to czysta kalkulacja – odpowiedziała.

– Nie rozumiem...

– Agata miała wszystko. Prywaciarz od kwiatków zarobił kasę. Po komunie ułatwił synkowi start i Julek się odkuł. Przyjechał na tę zapadłą wieś i zabrał ją do pałacu, który mu zostawili w spadku dziadkowie od strony mamuńci. Ona i tak tu wracała. Chociaż srała pieniędzmi. Była taka chytra, że polowała na dom ojca. Przyjeżdżała niby się nim zająć. Raz w jednej ciąży, potem w drugiej. Autem jeździła. Nikt wtedy nie miał auta. Tatusia na wycieczki zabierała. Tak naprawdę chciała po nim spadek. A ja po kryjomu jeździłam do syna, którego on mi zabrał. I nie miałam dla tego syna nic.

– Więc ją zabiłaś?

– Hm... – Zastygła. Musiało ją zboleć. Ostentacyjnie wyjęła komórkę i wybrała ostatni numer, nawet nie patrząc. – Wracaj, mam ją – powiedziała sucho.

Na dworze zaczęło się przejaśniać. Czarna noc ustępowała ciemnogrnatowemu przedświtowi. Dotąd nie usłyszałam strzałów. Może to dobry znak? Gorzej, że syren także nie było słychać. Za to ptaki zaczynały swój wczesny poranny rytuał, który zazwyczaj w miły sposób mnie budził.

– Dlatego zabiłaś Agatę i wrzuciłaś do torfowiska? – naciskałam, wiedząc, że Krystian wróci lada moment.

– Tego wieczoru pokłóciłam się ze starym. Uciekłam od niego do domu na torfowisku. A ona chciała być taka dobra, jak to Agatka, złoty człowiek... Przyszła i truła, że mi pomoże. Wystarczy, że poproszę. To „poproszę” mnie zirytowało. Nigdy o nic nie prosiłam. Wtedy też postanowiłam sobie wziąć. Powiedziałam, że jej coś pokażę w piwnicy, dzięki czemu zrozumie. Zgodziła się, naiwna. Dostała trzonkiem siekiery w łeb. Nadal coś majaczyła, to odciąłam jej ten łeb na pieńku, gdzie kiedyś stary oporządzał kury. Głowa potoczyła się pod ścianę, którą potem szorowałam przez dwa dni, po pracy. Nie wiesz, jaki to odgłos. Taki głuchy... Potem wrzuciłam wszystko do torfu. Po dwóch miesiącach, jak nabrałam pewności, że nie wypłynie, dosypałam staremu potasu, który brał na serce, do herbaty. Rano nie żył. A ja się przez to wszystko pochorowałam...

Teresa mówiła, a ja siedziałam na łóżku, oszołomiona. Zabrakło mi argumentów, pytań i przytyków w tej kłótni. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ona za to niezrażona kontynuowała, jakby to była jej terapia. Przez lata nikt poza jej synem nie znał prawdy. A teraz mogła to komuś opowiedzieć, zdjęć z siebie ciężar. Zrzucić odpowiedzialność na ojca, siostrę i nas zapewne też. Obwinić cały świat, nie dostrzegając własnej nikczemności.

– Teresa... – zaczęłam. „Mamo” nie przeszłoby mi przez gardło. – Miałam masę pacjentów, a historie wielu z nich przypominały mi twoją. Ale żaden z nich nikogo nie zabił. A ty wyszłaś za mojego ojca i czekałaś tyle lat, żeby się zemścić?

– Nie zemścić, tylko odebrać swoje. Tak bardzo przypominałam mu ukochaną, przynajmniej z wyglądu, że przyjął moją propozycję matrymonialną. Powiedziałam, że zastąpię wam matkę, która najprawdopodobniej uciekła, tylko muszę wyjść ze szpitala. Więc mnie

z niego wyciągnął. Brałam od Juliana pieniądze i łożyłam na syna. O niczym nie wiedział, bo to była wielka tajemnica. Agata milczała. Co roku jeździłam w miejsce, gdzie ją pochowałam, żeby jej za to podziękować. – Nagle Teresa przybrała chmurne oblicze. – Ale ona, suka, nawet zza grobu się zemściła. Bagno wypłuło jej łeb, a potem i resztę, w tym roku. Cała była czarna, włosy jej zrudziały. Ale to była ona, jak żywa. Dotknęłam jej nawet. Miała miękką skórę. Wyglądała, jakby chciała ożyć. Wrzuciłam ją z powrotem, następnego dnia znów tam była – mówiła, a język zaczął się jej plątać. Szaleństwo, w które wpędziły ją wyrzuty sumienia, zaczynało znów się odzywać. Wszystko do niej wracało. – Uświadomiłam sobie, że bez względu na to, ile razy ją pogrzebie, zawsze będzie wypływać. Julian się starzał, tak pięknie wszystko podzielił w tym cholernym testamencie. Trzeba było was wyeliminować, a po tym, jak zmieni treść ostatniej woli, także i jego. I spieprzać z tego kraju gdzieś, gdzie mnie nie znajdą. Razem z Krystianem.

– Jesteś chora. Powinnaś się cały czas leczyć. Nie opuszczać zakładu, do śmierci – podsumowałam.

– Załatwię sobie sanatorium. – Znów się rozpromieniła. – Tam, gdzie nie ma umowy o ekstradycję.

Nagle spośród ptasich śpiewów wyłonił się odgłos policyjnej syreny.

– Na głębę! Łapy na głowę – krzyczał jakiś mężczyzna.

Zakryłam ręką twarz.

– Mają go – szepnęłam teatralnie. – Musisz się poddać.

Teresa zawahała się. Jestem pewna, że rozważała zakończenie tego koszmaru w cywilizowany sposób. Zdecydowała jednak inaczej.

– Ty suko, wszystko zniszczyłaś! – wrzasnęła i rzuciła się na mnie.

Chwyliła mnie za gardło i zacisnęła ręce. Nie miałam pojęcia, że ma tyle siły w tych drobnych, pomarszczonych dłoniach. I te oczy. Zupełnie czarne...

Pod plecami wyczułam coś twardego. Buteleczkę. Wtedy

przypomniałam sobie mój pojednawczy gest wobec Adama z poprzedniego dnia. W szale moja macocha nie zauważyła, jak sięgam po spray na komary. Wyczułam palcem atomizer i skierowałam w jej stronę. Nacisnęłam kilka razy.

Odskoczyła. Zaczęła charczeć. Spuchła na twarzy, a z tą opuchlizną pojawił się obrzęk w gardle. Dusił się. Nie do uratowania bez odpowiednich leków. Wiedziałam, że policja jest na dole. Zostawiłam ją i rzuciłam się biegiem na dół, by znaleźć coś, co uratuje jej życie. W kuchni byli już funkcjonariusze, w kuloodpornych zbrojach, z długą bronią w rękach. Tacy, jakich widuje się na... amerykańskich filmach, o ironio.

– Stać! – Jeden z nich wymierzył we mnie. Zobaczyłam światełko lasera, skupione na mojej piersi. Uniosłam ręce w górę.

– Nazywam się Oliwia Pol. Na gorze mój brat, prokurator Pol, leży nieprzytomny, a nasza macocha się dusi. Proszę...

– Sprawdzimy to – powiedział i wybełkotał coś do krótkofalówki. – Panią proszę ze mną.

Złapał mnie za ramię i wyprowadził z domu. Na zewnątrz zobaczyłam kilka radiowozów. Podjechały tu bezgłośnie, bez syren, chwilę po akcji specjalnie wyszkolonej grupy. Mój kuzyn, aresztowany chwilę wcześniej, siedział już w radiowozie. Kiedy mnie zobaczył, wyraźnie się ożywił. Zaczął coś krzyczeć. Usłyszałam tylko: „To jej wina!”.

Znów poczułam mdłości. Nie mogłam uwierzyć, że to koniec. Że wszystko się wyjaśniło, a niebezpieczeństwo minęło. Ktoś okrył mnie kocem i podał coś ciepłego do picia. Zobaczyłam znajomą twarz. To był komisarz Mróz.

– Pani brat nas wezwał.

– Wiem. Sama kazałam mu to zrobić.

– Dobrze.

– Niedobrze. W lesie jest policjant, Adam Zamojski.

Najprawdopodobniej ranny. Musicie go znaleźć. – Wydawało mi się, że mówię nieskładnie. Chciałam mu powiedzieć wszystko naraz, jednym tchem. – W kuchni leży zabity pomocnik mojego kuzyna, który siedzi w samochodzie.

– Kuzyna? – zdziwił się Mróz.

– To długa historia. Do wczoraj mi nieznana.

– Zechce pani ją opowiedzieć na komisariacie?

– Wolałabym, żeby najpierw zobaczył mnie lekarz – powiedziałam obruszona.

– Jasne, zaraz panią zabierze i opatrzy, a potem będzie nad panią czuwał na komisariacie. Skoro ma pani siłę mówić, chcielibyśmy, żeby jak najszybciej, na gorąco złożyła pani zeznania.

Przytaknęłam. Rozumiałam, że to ważne.

Gdy zamknęły się za mną drzwi ambulansu, zobaczyłam kuzyna siedzącego ze zwieszoną głową. Był załamany. Już wiedział, że Teresy nie udało się uratować. Po kilku-nastu minutach ratownicy wynieśli nosze z ciałami. Witek wyszedł o własnych siłach, podtrzymywany przez lekarza. Krystian został sam. Gdzieś w głębi serca czułam, że został wplątany w potworną intrygę, która niszczyła mu życie. Od samego początku po dzień, w którym go aresztowano.

Epilog

Urywam.

Policjantka kończy notować. Patrzy na mnie z ulgą. Wreszcie wyznałam to wszystko, co dotąd podawałam jej w zagmatwanych odcinkach.

– Czy chciałaby pani coś dodać?

– Czy coś mi grozi? – pytam.

Sikora zawiesza głos.

– Pani Oliwio – zaczyna wolno. – Musimy jeszcze porozmawiać z resztą. To przesłuchanie nie minie ani pani brata, ani kuzyna, ani nawet Adama Zamojskiego, jeśli się znajdzie. Musimy ustalić, czy nie doszło z pani strony do przekroczenia granic obrony własnej.

– Adam... – zaczynam.

– Adam trochę przeholował – wtrąca się. Ona się wiecznie wtrąca. – Nie prowadzi się śledztwa w towarzystwie ofiary. Może mieć przez to nieprzyjemności.

– Gdyby nie on, nie poznałabym prawdy na swój temat.

– Słusznie, ale musimy z nim wyjaśnić tę sprawę. Jak i parę innych. Tymczasem, czy możemy wrócić...

Drzwi do pokoju otwierają się i wchodzi Tomek.

– Chciałbym paniom przerwać. Jeśli pani Pol grożą jakiegokolwiek zarzuty, wolę to z nią przedyskutować.

Sikorze rzadnie mina. Tomek siada koło mnie.

– Rozumiem. Jeszcze wrócę. – Sikora wyłącza sprzęt nagrywający, kamery i wychodzi z pokoju.

Tomek czeka chwilę. Uśmiecha się do mnie. Ten jego uśmiech...

– Wyluzuj – ścisza głos. – Wszystko załatwione. Witka zaraz puszcza. Muszą cię dziś zwolnić, bo wasze wersje się zgadzają...

– Tomek? – przerywam mu.

– Tak, skarbie? – Uśmiecha się do mnie.

– Kupiłeś?

– Tak.

– W jedną stronę?

– Kierunek Argentyna. Żegnaj, ekstradycjo.

Uśmiecham się nieznacznie. Nikt nie może tego zobaczyć.

– A testament? – pytam.

– O to się nie martw. Wszystko zostało zapisane na ciebie – szepcze pod nosem. – Możesz sprzedać tę upadającą klinikę i zapomnieć, że kiedyś ją miałaś.

– Na nas. – Chcę go pocałować, ale nie mogę. Nie mogę, bo Sikora chyba zwątpiła w moją wersję wydarzeń.

– Udało się. Jesteś czysta – zapewnia mnie Tomek, jakby czytał w moich myślach.

– Martwię się, wiesz? Boję się, że uwierzą Krystianowi.

– On nic nie powie. Dostał adwokata, który ma mu zabronić zeznań do wtorku. Dzentelmeńska umowa.

– Do wtorku musimy zniknąć, bo na pewno udowodni, że mnie nie porwał. – Mówię za dużo. Ale gryzie mnie to od środka.

Tomek jeszcze bardziej ścisza głos.

– Przecież zadbaliśmy, żeby nie miał alibi – broni naszego planu.

– A co, jeśli je ma? – niepokoję się. – Nie mogliśmy wziąć wszystkiego pod uwagę. Wystarczy, że na chwilę wyszedł do baru wieczorem i już ktoś je zapewni. A jeśli on i jego kolega mnie nie porwali, to... kto? Zaczną drażnić i znajdą twoich mafiosów. Nie licz na to, że nie wsypią papugi.

– Zapłacimy im resztę i się ulotnią, zobaczysz. Ci ludzie potrafią

wsiąkać jak woda w glebę. – Patrzy na mnie z troską. – Tyle się wycierpiałś, że teraz nie może pójść źle.

Kiwam głową. Nie dość, że dałam się porwać i zgwałcić, aby wszystko wyglądało naturalnie, to jeszcze im za to zapłaciłam. I tylko po to, by wysiudać z testamentu jedyne spadkobiercę. Krystiana. Perełkę Tereski.

– Byleby nie znaleźli zwłok – wtrącam nagle.

– Coś poszło nie tak? – Już wie, że coś mnie dręczy.

Biorę oddech.

– Nie pił, więc nie mogłam go udusić. Chciałam go postrzelić. Ale się zorientował. Więc musiałam załatwić go nogą od krzesła, tak jak tego drugiego.

– Wyjedziesz, zanim go namierzą.

– Tylko że... nie wiem, czy go skutecznie załatwiłam, rozumiesz?

– Kolegę twojego brata powaliłaś jednym ciosem – zauważa prawie niesłyszalnym szeptem.

– Ale z Adamem nie poszło tak łatwo.

– Jeśli dostał w głowę, to powinien niedługo umrzeć, spokojnie.

– Pamiętasz, jak poznaliśmy się w sądzie? – wtrącam nagle.

Kiwa głową i dziwnie się uśmiecha. Oficjalnie pierwszy raz spotkaliśmy się przecież nad rzeką, po moim porwaniu. Prawda jest taka, że kilka miesięcy wcześniej zeznawałam jako biegła w sądzie, w jednej z jego spraw. Dwa dni później poszłam z nim do łóżka, zdradzając narzeczonego, o czym się dowiedział i... no cóż. Pies z nim.

Denerwuję się coraz bardziej. Mam wrażenie, że dopadają mnie wyrzuty sumienia. Powinnam się ich wystrzegać w takiej chwili jak ta. W pokoju przesłuchań.

– Jak zobaczyłam wtedy świadka, Krystiana Sawickiego, z dwukolorowymi tęczęwkami, od razu domyśliłam się, że to musi być mój

brat. Ten ze zdjęcia, znalezione w jej zadymionym sanktuarium, które podrzuciłam do walącej się chaty na torfowisku. I wiedziałam, że Teresa może mieć więcej sekretów.

– I miała. Do czego dążysz? – pyta.

– Może po prostu trzeba było pogadać z ojcem? Jestem pewna, że o tym nie wiedział. Może wtedy nie odmówiłby mi pożyczki?

– Oliwia. Po prostu trzymajmy się planu, dobrze? – Tomek zaczął się irytować. – To twój brat i Teresa upozorowali jej porwanie, by wyrwać od Juliana pieniądze. Kiedy im się nie udało, porwali ciebie, żeby zmylić śledczych i naprowadzić na trop Juliana. Ty zaczynasz drążyć i odkrywasz, że masz brata, a matka wcale cię nie urodziła. Do tego zabiła twoją prawdziwą matkę...

– No, to jest akurat prawda. Coś najwyraźniej po niej odziedziczyłam... – kwituję.

– Nie wątp w nasz plan, kochanie – naciska. – Twój przyrodni brat nie jest specjalnie inteligentny. Nikt nie uwierzy mu, że zaprosiłaś go z „rodziną” do domu nad jeziorem w środku nocy, a potem zabiłaś jego kolegę i matkę. Szczególnie że oni nadal myślą, że on cię porwał i pozwolił brutalnie zgwałcić. Gdybyśmy tylko wtedy nie pomylili tych butów i zamiast twoich postawili buty Teresy, mógłby mówić, co chce, a i tak by mu nie uwierzyli. Tylko to nam nie poszło. Resztę dopracowaliśmy w każdym detalu.

– Jesteś tego pewien? – Uspokajam się nieco.

– Nie trać animuszu, nie daj się złamać i myśl o tym, że wymierzyłaś sprawiedliwość zabójczyni Agaty. Przecież poza pieniędzmi, które należą się tylko i wyłącznie tobie, a które Teresa bezczelnie odkładała dla jakiegoś bękarta, chodziło właśnie o tę sprawiedliwość. Prawda?

Nagle drzwi otwierają się z impetem, a my podskakujemy na swoich siedzeniach. Do pokoju wpada Sikora. Czuję, że krew odpływa mi z twarzy. Czy mogła mnie usłyszeć?

– Pani Pol, Adam się znalazł.

Znów zakrywam ręką usta.

– Żyje? – pytam półgłosem, choć sędzę, że znam już odpowiedź.

– Nie jest z nim dobrze, ale żyje. Lekarze już się nim zajmują.

Opadam z sił. Kątem oka widzę, że Tomek zbladł.

– Jest pani wolna, póki co – dodaje Sikora. – Tylko proszę nie wyjeżdżać. Nawet do domu nad jeziorem. Będziemy chcieli porozmawiać. Jasne?

Kiwam głową z niedowierzaniem. Tomek odwraca się do mnie.

– Odwiozę klientkę do domu – mówi oficjalnym tonem, choć bezwiednie, nerwowo przęłyka ślinę.

Wychodzimy. Idziemy powoli, bo pośpiech nie jest teraz wskazany. Mój brat niczego się nie domyśla. Tak jak ojciec, pogrążony w podwójnej żałobie (po obu siostrach Sawickich). Mijamy pokoje przesłuchań, a Tomek odruchowo przyśpiesza kroku. Ja zwalniam. Na mojej drodze w pewnej odległości staje Mróz.

– Proszę się nie oddalać od miasta – mówi już z daleka.

– Oczywiście – odpowiadam jak w hipnozie. – Komisarzu?

– Słucham? – pyta zniecierpliwiony. Teraz to on nie ma dla mnie czasu.

– Do którego szpitala zabrano Adama Zamojskiego?

Za pomoc w napisaniu niniejszej książki dziękuję:

Profesorowi Tadeuszowi Doboszowi

Mecenas Natalii Żmudzińskiej

Psycholog Hannie Tree

Kapitanowi Andrzejowi Bochenkowi